M. JOKAI. Serce kamienne T. II

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		Z przesyłką pocztową:	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs.	6	kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). . . .	„	3	„ —
Kwartalnie (za 13 tomów). . . .	„	1	„ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Swiat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 99.

SERCE KAMIENNE

POWIEŚĆ

Maurycego Jokaya,

Z PRZEDMOWĄ.

TOM II

Zeszyt

J. J. Chrzętowskiego

Cena 40 kop.

W prenumeracie 30½ k.

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Swiat 47.

1899.

Dubl do 1 105 304

Maurycy Jokay.

Serce kamienne.

POWIEŚĆ.

Z PRZEDMOWĄ.

D. 13. 113

Tom II.

J. I. Chrzstowski

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego
47. Nowy-Świat 47.

300884

В 105304

097612

Дозволено Цензурою.

Варшава, 4 Августа 1899 года.

276505

ROZDZIAŁ I.

Te, co prawdziwie kochać umieją.

Skończył się wreszcie sen piękny.

Budzimy się—to noc.

Straszna, ciemna, kruczo-czarna noc.

W jednej ze stolic świata nie świeci się żadna latarnia, z żadnego okna nie jaśnieje światło. W ulicach ciemność zupełna, a w labiryncie wysokich jak wieże domów nocnemu wędrowcowi równie trudno się zoryentować, jak w gąszczu lasów dziewiczych. Niebo nawet jeszcze czarne, ciężkie, ołowiane; zda się, że to wielka kopuła tego więzienia o mnogich uliczkach, których gmachy może prowadzą do katakumb. Kto to wie?

Odgłos kroków nawet nie przerywa ciszy.

Czasem tylko w długich, dwugodzinnych przestankach, z najwyższej miasta wieży wznosi się krwawoczerwona rakieta, znacząc na czarnem niebie ognisty znak zapytania, Bóg wie, do kogo zwrócony.

A przecież to nie obraz chorobliwej, rozognionej fantazyi, obliczony na postrach czytelnika — to Wiedeń!

Żyjemy w ostatnich dniach października; miasto jest z trzech stron oblężone. Część mieszkańców uciekła, część stoi w szeregach walczących; co pozo-

stało w mieście, kryje się w mieszkaniach; rury gazowe zburzono, bo i dla kogoż oświetlać miasto? Istny to obraz Niniwy w przededniu jej zburzenia.

Na końcu długiej, ciemnej ulicy tamuje drogę wysoko piętrzący się, silny szaniec. To barykada.

Na jej wierzchołku powiewają dwie chorągwie; i one w tej ciemnej nocy zdają się czarne, a przecież miały kiedyś piękne barwy.

Gromadka wojowniczych postaci otacza barykadę. Nie palą się tu jednak obozowe ogniska—i tu ciemno i głucho. Kilku zasypia; — za poduszkę służy im twardy odłam granitu. Inni, którzy w tę noc złowrogą nie mogą zasnąć, rozmawiają zcicha.

Dwaj młodzieńcy siedzą na lawecie, prowadząc gawędkę.

Jeden z nich ma już jedno tylko ramię—drugie gdzieś zostawił.

— Wiesz co, Mausmann — mówił kaleka—dziwnie mnie dziś dręczą przeczucia; zdaje mi się, że się odnajdziemy niezadługo, ja i moje odcięte ramię.

Towarzysz jego nie pozbył się dotąd zwyczaju odpowiadania rymami.

— Czemużby nie — mówią, przeczucie nie kłamie.

— Głos jakiś wewnętrzny wciąż mi powtarza: koniec dziś twego zawodu.

— Nie był on w zgodzie z policyą — potrzeba ci było więcej chłodu.

— Posłuchaj, jednej rzeczy od ciebie żądam, przyrzec mi to musisz koniecznie.

— No, no, już wiem!

— A skoro miecz katowski zawiśnie nad moją głową...

— Ty wtedy pokaż tyranowi... swoją kartę wizytową.

— Dobry rym, chłopcze. „Moją kartę wizytową.“ Tak, zanieś jej moją kartę wizytową razem

z wieścią o mojej śmierci. Może ją spotka to szczęście, że ją obleją łzy uwielbianej.

— Tak, jeśli: *Mamselle, je vous aimais!* — przeczyta na niej.

— Idź do licha ze swemi nędznemi rymami! Pomówmy nareszcie rozsądnie.

— Do kogo pijesz?—do siebie, czy do mnie?

— Czy przyrzekasz mi, że sam oddasz Alfonsynie ostatnie moje pożegnanie?

— Gdyby nie było tak ciemno, mógłbym skreślić słów kilka.

— Patrz, już ci świeci granat—wywołałeś z lasu wilka.

I w tejże samej chwili wpadł granat z trzaskiem w barykadę i na kilka minut oblał krwawem światłem ze snu zbudzoną gromadę.

Mausmannowi i w tej potrzebie nie zabrakło rymu.

— Chciałeś światła, masz kochanie, pisz przy niem swe pożegnanie!

Fryc pośpiesznie napisał, przy blasku syczącego płomienia, na bilecie wizytowym te słowa: „Kochałem cię. Żegnam.“

Przy ostatniem słowie pękł granat, a rozpalone jego odłamki ze świstem przebiegły nad głowami obu młodych ludzi.

Ledwie na to zwrócili uwagę, do takich drobnostek oddawna już byli przyzwyczajeni.

Fryc oddał Mausmannowi bilet.

Po chwili przemówił ostatni.

— Wiesz ty, Fryc, co mi teraz przyszło do głowy?

— Czy mam do tego rym dorobić?

— O, przepraszam, to moje rzemiosło. — Słuchaj! Albo się bardzo mylę—albo te anioły zdradzały nas.

— Co cię też naprowadza na podobne myśli?

— W przeciwnym obozie zawsze są jak naj-

dokładniej zawiadomieni o wszystkich naszych najskrytszych planach.

— Dowód to tylko, że mają dobrych szpiegów...

— A ja sądzę, że najlepszych mają w Plankenhorstach.

— A ja ci mówię, nie, i raz jeszcze nie — zawołał Fryc dobitnie.

Nadeszła nowa pikieta i zwolniła ich ze służby. Mogli już teraz iść na spoczynek. W murach zburzonej cukrowni czekało na nich posłanie z przegniłej słomy, na którem zaczerpnąć mieli nowych sił do walk dnia jutrzejszego.

Przez ciemne ulice posuwał się jak błędny ognik powóz z dwiema latarniami na przodzie; światła ich powiększały tylko ciemność, zalegającą dokoła.

Powóz zatrzymuje się przed domem Plankenhorstów. Stangret sam zsiada z kozła, otwiera bramę i wjeżdża w dziedziniec.

Z powozu wysiadają dwie kobiety: zakonnica i młode dziewczę. Z pod opadłego kapturka wychyla się wiecznie wesoła twarz Edyty.

— Doprawdy, przychodzisz jak z nieba zesłana, siostro Remigio—szepnęła pani.

— Bo też potrzeba nam było niebieskiej opieki, aby w tę noc tak straszną przybyć tu z klasztoru. Ani jednej latarni nigdzie, a bruk na wszystkich ulicach powyrywany.

— Niebiosa zsyłają swych aniołów na straż wybrańcom pańskim, aby o kamień nie obrazili swej nogi.

— Istotnie, codziennie zawdzięczamy cudowi, że żyjemy jeszcze. Ale gdzież znów uciekła ta dziewczyna? Muszę jej strzedz ciągle, jak gemza swego koźlęcia.

— Pobiegła już najprzód do sali, aby się dowiedzieć, co u nas słychać nowego; zasypuje Alfon-

synę pytaniami. No, dziś będę jej mogła udzielić wiadomości, których jej chyba na całe życie wystarczy.

I pani Antonina zaprowadziła siostrę Remigię do sali jadalnej, gdzie już czekał na nie stół zastawiony zimnemi mięsiwami, wybornemi winami i likierami; w maszynce do herbaty wrzała woda.

— Alfonsyno, bądź tak dobrą i zajrzyj do kuchni, czy tam niema kogo z ludzi; nie chcę, żeby nam przeszkadzano.

Edyta chciała wyręczyć kuzynkę.

— Nie, zostań, moja kochana, tyś tu gościem, ciebie przecież oszczędzać należy.

Edyta w odpowiedzi na tę szyderczą czułość ruszyła ramionami i pozwoliła ciotce zdejmować z siebie kolejno płaszczyk i kapturek.

— Proszę siadać do stołu

Pani Antonina usadziła wygodnie siostrę Remigię na sofie, przed którą stał stół okrągły; Edyta zajęła obok niej miejsce.

Skoro już pani Plankenhorst przekonała się ponownie, że nikogo nie było w przyległym pokoju, zamknęła drzwi, poleciła Alfonsynie przygotować herbatę, a sama usiadła tuż obok siostry Remigii.

— Cóż kazał powiedzieć generał?

— Jutro dzień stanowczy. Jutro szturm przypuszczą do wszystkich linij wałów — szepnęła Remigia i teraz jeszcze oglądając się trwożnie dokoła, jakby nie dowierzała, czy czasem ściany, obrazy i posągi nie mają uszu.

— Czy wiesz, siostro, że może być źle jeszcze?!

— Jak to?

— Powstańcy liczą na tajemne jakieś porozumienie z częścią wojska oblegającego. Goldner wypaplał się z całym planem przedemną. Ja udawałam naturalnie strasznie zaklopotaną tym smutnym obrotem rzeczy; co się z nami stanie, skoro miasto zosta-

nie wzięte, jak się obejdzie zwycięzca z nami, które grałyśmy w rozruchach tak wybitną rolę? Wtedy poczciwe chłopczysko, aby mnie uspokoić, powiedział, że na wypadek, gdyby wszystko źle poszło, jeszcze jest obmyślony plan ucieczki dla tych, dla których pobyt w mieście mógłby być niebezpiecznym. Pomiędzy cmentarzami Mariahilf a Lerchenfeld stoi szwadron huzarów, stanowiący część oblężniczego łańcucha. Z tym oddziałem wojska od dość dawna już przyjaźniła się aula i liczy na to, że huzary w chwili stanowczej nie tylko otworzą im drogę, ale nawet uciekających zasłonią. Tym sposobem ufają, że im się uda przerznąć do Galicyi lub Węgier. Lecz tylko dowodzącego szwadronem rotmistrza stoi dotąd całemu temu planowi na przeszkodzie. Tym rotmistrzem jest Ryszard Baradlay.

— Ten sam, który rozpędził pospólstwo z przed naszego klasztoru?

— To znów zawdzięczacie jedynie pięknym oczom mojej siostrzenicy Edyty

— O ile wiem, rotmistrz i później nie przyjaźnił się z aulą, ani z przywódcami ludu

— Pozostał nieprzystępnym, dotąd nie udało im się wciągnąć go do spisku. Żołnierze byliby po ich stronie, gdyby nie przywiązanie do rotmistrza, dla którego gotowiby skoczyć w ogień; jeśli ten w danej chwili każe im się bić, gotowi uderzyć choćby na własnego ojca. Teraz wszakże buntownicy zyskali niespodzianego sprzymierzeńca.

— W kimże to?

— W kobiecie.

— W kobiecie?

— I to w niebezpiecznej kobiecie, takiej, która nie cofa się przed najszaleńszym zamiarem, w matce młodego Baradlaya.

— Oh, ale jakimże sposobem mogła się tu przedostać przez kordon oblężniczy?

— Sposobem szalenie, nie do uwierzenia śmia-

łym, Fryc mi to wszystko opowiedział. Ta wypieszczoną wielka pani w Szwechat wdziała na siebie wiejski ubiór przekupki, handlującej jarzynami, i w towarzystwie tejże przekupki z koszem kartofli i cebuli na plecach przeszła pieszo przez wszystkie forpoczty i placówki, sprzedając po drodze żołnierzom jarzyny i wódkę. Tym sposobem dotarła do miasta i znajduje się tu przy Singerstrasse pod numerem 17, w składzie owej zieleniarki.

Zadziwiająca odwaga u tak wielkiej pani. I czegoż tu chce?

— Chce uprowadzić obu swych synów

Dwa błyski padły przy tych słowach z oczu Edyty: gniewu i dumy.

Spojrzenia obu panien skrzyżowały się.

— Chce uprowadzić swych synów? — zapytała zdziwiona zakonnica.

— Tak, chce ich nakłonić, aby razem z nią uciekli do Węgier, w których wybuchło powstanie i wstąpili na służbę tamtejszego rządu.

— I czy już mówiła ze swymi synami?

— Szczęściem dotąd jeszcze nie mogła. Przybyła dopiero dziś po południu. Goldner z nią mówił. Zwierzyła mu się, że ma zamiar dzisiejszej nocy przejść raz jeszcze linię nieprzyjacielską; tym sposobem mogłaby widzieć się z rotmistrzem, którego z łatwością przeciągnie na swą stronę. Niechaj przełożona da o tem znać generałowi. Jutro wieczorem (w tym to czasie zamierzoną jest wycieczka) niechaj rozkaże generał otoczyć cały szwadron huzarów. Kto tam stoi w pobliżu?

— Pułkownik kirysyerów, Otton Palwicz.

— Tak, tego nam właśnie potrzeba. Huzarów się zdziesiątkuje, a pan Ryszard zostanie rozstrzelany.

I Edyta musiała słuchać tego wszystkiego!...

Czemu właśnie wobec Edyty rozwijała pani Antonina swe szlachetne plany?

Zimna, obliczona rozwaga nakazywała jej mówić to wszystko wobec kochającej narzeczonej. Czytelnikowi, który w końcu powieści zaledwie dojdzie do zrozumienia tego powodu, wolno przypuszczać, że ślepa nienawiść i okrutna radość, jaką jej sprawiała boleść innych, skłaniały ją do pastwienia się nad sercem Edyty, że jej dusza niewieścia pragnęła się nasycić mękami innego kobiecego serca.

Nie doznała jednak tej przyjemności.

Ani jeden rys twarzy Edyty nie zdradził, że to, co mówiono, mogło ją dotykać w czemkolwiek.

Zjadła kolacyę z najlepszym apetytem.

Kiedy mówiono o rozstrzelaniu jej narzeczonego, ogromnym kawałkiem szynki zapchała sobie usta, a po chwili zażądała jak najspokojniej trochę octu do galarety, której sobie nałożyła na talerz.

Alfonsynę zalewała żółć na widok tej bezprzykładnej obojętności. Nie mogła sobie odmówić przyjemności zauważenia z zimnym, zjadliwym gniewem jaszczurki:

— Zdaje się, że myśl o rozstrzelaniu twego narzeczonego nie psuje ci apetytu!

Edyta wzięła na widelec kawałek galarety i poruszając nim, odparła obojętnie:

— Wolę narzeczonego trupa, niż żywcem pogrzebanego.

I włożyła najspokojniej galaretę w usta.

— *Indomptable!* [1]) — mruknęła pani Antonina przez zęby.

Edyta za nic w świecie nie chciała okazać, że widzi, jak te trzy bazyliszki współubiegają się o zadanie jej śmiertelnego ciosu, że te usiłowania ją bolą. Spokojnie wyciągnęła ku Alfonsynie kryształową szklaneczkę.

— Bądź tak dobrą, nalej mi trochę Chartreuse.

---

[1]) Nieokiełznana.

Mam zostać zakonnicą, trzeba się więc przyzwyczajać potrochu.

Alfonsyna postawiła przed nią butelkę, ciekawa, co z nią pocznie.

O dziwo! ręka Edyty nie zadrżała nawet, nalewając szklankę zielonym likierem, aż po brzegi. Następnie napełniła szklankę i siostry Remigii.

— Pijmy, siostro Remigio, coś nam przecie trzeba mieć na pociechę—rzekła z filuternym uśmiechem.

Siostra Remigia drożyła się przez chwilę, ale czar ulubionego napoju przemógł.

Pani Antonina wszakże nie dokończyła jeszcze swych instrukcyj.

— A nie zapomnij, siostro Remigio, adresu mieszkania pani Baradlay: Singerstrasse 17, w składzie jarzyn, w suterenach, bo powróci, aby pozyskać i uprowadzić z sobą drugiego syna. Nie powinniśmy wypuszczać jej z ręki. Jutro rano zawiadomcie generała zwykłym sposobem, ale nie śpieszcie się zanadto, żeby przypadkiem Ryszard nie zwąchał pisma nosem. Ten człowiek musi umrzeć; śmierć ma go już w swych szponach, a choćby nawet pułki aniołów strzegły każdego jego włosa, nie ujdzie jej.

Straszna dziewczyna z tej Edyty!

Teraz jeszcze prosi Alfonsynę, aby jej podała kawałek *fromage de brie* i popija *Chartreuse'ą* i siostrze Remigii nalewa jedną szklankę po drugiej.

Może chce się odurzyć, prawdziwie miałaby słuszny do tego powód.

Biedna dziewczyna!

Jakiegoż heroizmu potrzeba na to, aby się zmusić do potraw i napoju, aby udawać głodną i spragnioną, podczas, gdy serce szarpie się w kawały, gdy każde wyrzeczone słowo obosiecznym mieczem przeszywa piersi.

A przecież musi odgrywać tę rolę. Niechaj wierzą, że już znajduje upodobanie w klasztornem

życiu, że myślą nie wybiega dalej, jak w raj po za światem i dobrze zastawiony stół na ziemi.

Wkrótce zaczęła udawać, że walczy ze snem, że jej opadają ciężkie powieki. Głowę przechylała na poręcz fotelu i zamknęła oczy. Z po za osłony jednak długiej swej jedwabnej rzęsy pilnie przyglądała się każdej twarzy. Reszta towarzystwa była pewna, że Edyta zasnęła. Ciotka i kuzynka nie patrzyły już na nią z wyrazm nienawiści i szyderstwa; w ich spojrzeniach migała raczej czatująca baczność trucicielki.

— Więc Ryszard Baradlay istotnie już dla niej stracony?

— Nieodwołalnie. Tak, czy owak. Jeśli matka zdoła z nim mówić, z pewnością go nakloni, aby z całym szwadronem uszedł na Węgry. Jednego z synów już popchnęła w ogień; dziś jest komisarzem rządu i werbuje do wojska ochotników. Pierwotny syn rodu Baradlay'ów! Gdyby jednak nie miał się zejść z matką, gdyby miał zabronić swym żołnierzom przejść na stronę buntowników, w takim razie czeka go kula. Fryc mi mówił, że we własnym jego szwadronie są dwaj ludzie, gotowi rozstrzaskać mu czaszkę.

— I czy rzeczywiście stanowcza chwila jest tak blizką?

— Skoro jutro szturm się ponowi, nie zdołają się już utrzymać dłużej, niż do wieczora. Nocą przedrą się od strony dzielnicy Lerchenfeldzkiej, tam, gdzie właśnie Baradlay stoi. Ma więc dzień jeden czasu. Jeżeli panicz zobaczy się z matką, to go jutro wieczorem schwycą, a po utrze żyć już nie będzie; jeśli się widzieć nie będą, padnie jutro wieczorem. Mnie to wszystko jedno. Nie życzę mu nawet śmierci na placu egzekucyi, jakkolwiek zyskał sobie zupełne prawo do mej nienawiści.

— Za dwa dni więc wszystko się skończy?

— Skończy się cała komedya!

— Toż wtedy będziemy się śmiały!

— Ha, ha, ha!

I śmiały się już naprzód.

A Edyta jednem drgnieniem twarzy nie mogła się zdradzić, że słyszy to wszystko, że czuje całą ohydę tych kobiet, że do głębi niemi pogardza; spokojne jej rysy muszą kłamać sen — sen próżniactwa i odurzenia. Potem wysłuchać musiała do końca, co te trzy parki opowiadały sobie o sprawach, które przyniesie dzień jutrzejszy, o planach operacyjnych, przy wykonaniu których padną setki, tysiące, o oczekiwanych dobrych przyjaciołach, na których powitanie wybiegnie się z uśmiechem i uściskiem, a którzy owe uwielbiane sztandary, szyte i wieńczone delikatnemi tych pań rączkami, w proch rzucą i podepczą. Jak tych samych ludzi, których dziś jeszcze zwały bohaterami, braćmi, będą wyszydzały jutro, wlokły na ławę oskarżonych, zdradzały, więziły i zakuwały w kajdany. I o tem wszystkiem mówiły z krwią zimną i spokojem, z niezrównaną niczem obojętnością.

Dziewczęciu zaś nie było wolno zdradzić się ze swemi wrażeniami. Jakąż walkę staczać musiała dusza z ciałem, aby naraz nie zaczęły drgać wszystkie nerwy, aby febryczny dreszcz nie zatrząsł wszystkiemi jego członkami i zęby nie zaczęły dzwonić o siebie jak u dziecka, które usłyszy odgłos pożarnego dzwonu. Wreszcie nadeszła chwila odjazdu.

Edyta poczuła, że jakaś ręka, jak wąż zimna, przesunęła po jej twarzy Nie wolno jej było przerazić się.

To też pozwoliła się wstrząsać i trącać, zanim nie dobudzono się jej z wielkim trudem. Zaspane, na wpół śpiące dziecko, z głośnem ziewaniem rzuciło się na szyję siostry Remigii, która sprowadziła je po schodach aż do powozu.

Pani Antonina towarzyszyła im na sam dół.

— Nie mamy ani kawałka mężczyzny w domu—wymówiła baronowa—nie ma nawet kto otwo

rzyć bramy; wszyscy są na barykadach, nawet nasz portyer i lokaj. Jesteśmy zupełnie same. Gdyby stary stangret nie był kulawy i głuchy, byliby go pewnie także zabrali.

Nie dlatego jednak zeszła na dół, ale po to, aby własnemi oczyma przekonać się, czy siostra Remigia zabierze z sobą Edytę. Gdyby jednak miała...

Podejrzliwość nie zasypia nigdy.

Dopiero, gdy Edyta wcisnęła się w kącik powozu i znów w sen zapadła, a bezwładna głowa zwiesiła się jej na piersi, uspokoiła się pani Antonina i powróciła do swych pokojów.

Ciężki powóz tymczasem toczył się zwolna po ciemnych, pełnych wybojów ulicach; bruk był powyrywany miejscami zupełnie. Jazda ta szła bardzo powolnie; może i stangret się zdrzemnął.

Skoro już otoczyła je ciemność, Edyta otworzyła nagle oczy.

Gdzież tak spogląda? Czego szukają jej źrenice? O czemże może myśleć? Jedna myśl zawładnęła nią całą—uciec.

Uciec, choćby szatanów tysiące strzegło tego powozu, choćby wszystkie duchy tych, co dziś polegli, zapełniały ciemne uliczki miasta.

Zaczęła z natężoną uwagą śledzić swą towarzyszkę.

Spała już prawie.

Nie Edyty to oczy po obfitej wieczerzy nie zdołały się oprzeć sile snu, lecz przeciwnie, oczy jej dozorczyni.

Kiedy ze śródmieścia wyjechały na zewnętrzny stok wałów, chrapała już siostra Remigia na dobre. Chartreuse'a przyczyniła się do tego niepomiernie.

Zaledwie zauważyła to Edyta, cichuteńko otworzyła drzwi powozu i jednym skokiem była już na ulicy.

Stangreta nie potrzebowała się obawiać; raz, że nie dosłyszał, a powtóre może i on zasnął.

Pospiesznie, jakby ją gnała miotająca jej sercem burza, biegła aleją plantacyi napowrót ku miastu. Dopiero, dobiegłszy ciemnej uliczki, rzuciła wzrok po za siebie i zobaczyła, jak w oddali posuwały się zwolna latarnie powozu jej ciotki.

Gdybyż tylko zimny podmuch nocnego wiatru nie zbudził zakonnicy!

W takim razie razie pewnoby ją dogoniono!

Czemprędzej skręca w boczną uliczkę i kroczy wśród nocy ciemnej, czarnej.

O północy, w nieoświetlonem ani jedną latarnią wielkiem mieście, idzie dziewica, dziecko—bez obrońcy, bez przewodnika, idzie szukać uliczki, domu, w którym nie była nigdy, a w nim kobiety, której nigdy w życiu nie widziała.

Nieograniczona miłość tylko, wzrosła w sercu takiego dziecka do rozmiarów bóstwa, mogła użyczyć jej sił potrzebnych do podobnego przedsięwzięcia.

Gdzie się tu zwrócić? W ciemnościach rozpatrzeć się nawet niepodobna.

Olbrzymia wieża św. Szczepana była dla niej wskazówką.

Ulica, do której dąży, leży na przeciwnym końcu miasta. Trzeba więc biedz ku kościołowi św. Szczepana, a tam może spotka kogo, może znajdzie jaką życzliwą duszę, która jej dalszą wskaże drogę.

Z ludności, co tylko odważniejsze, pobiegło za bramy miasta, na barykady; co trwożliwsze obawia się dać znak życia i kryje się po norach i piwnicach, które do dziś dnia uważają jeszcze za bezpieczne przed pociskami dział schronienie Ulice są puste.

Dziewczę nie słyszy nawet odgłosu własnych kroków, tak cicho, bez szelestu biegnie naprzód. Drży i lęka się nocy, samotności, ale trwogę tę jak paroksyzm febry—opanowuje w niej myśl o grożącem

ukochanemu niebezpieczeństwie; i myśl ta użycza słabemu dziecku istnej odwagi szaleństwa.

Od chwili do chwili tylko staje na odgłos zegara. Już dwukrotnie w swym biegu słyszała jego uderzenie. Więc już biegnie pół godziny; w przeciągu pół godziny można przejść całe śródmieście z końca do końca, zwłaszcza, gdy się je zna, jak ona. Zabłądziła więc widocznie.

Nagle stanęła na rogu krzyżujących się ulic.

Znów zobaczyła wieżę św. Szczepana, ale na ten raz już po prawej stronie.

Więc nie zbłądziła!

W tej stronie musi leżeć Singerstrasse, ale jak odczytać jej napis, jak odszukać numer domu w tej otaczającej ją ciemności.

Na rogu ulicy zatrzymała się i usiadła na kamieniu. Była zmęczoną.

Po raz trzeci rozległ się uroczysty głos dzwonu z wieży kościoła świętego Szczepana. Biła dwunasta.

I równo z uderzeniem zegaru na krwawem niebie zakreśliła krwawa rakieta wielki znak zapytania, Bóg wie od jak dalekiego przyjaciela domagająca się odpowiedzi.

Przy blasku tej rakiety oczy Edyty szukały z gorączkowym pospiechem nazwy ulicy.

Elektryczna iskra radości przebiegła wszystkie jej żyły. Tuż nad jej głową wielkiemi ówczesnemi literami widniał napis: Singerstrasse.

Miała już nić Aryadny w ręku. Rakieta pękła i równo z jej zgaśnięciem rozlała się znów czarna ciemność nocy, ale Edyta już wiedziała, że dom, przy którego rogu się zatrzymała, był numerem pierwszym oznaczony; domy więc po tej stronie położone nosiły liczby nieparzyste i dość liczyć bramy, aby dojść do numeru siedemnastego.

Zaczęła szukać. Jej oczom zdało się, jakby po zgaśnięciu rakiety noc o wiele stała się ciemniejszą.

W ciemności tej musiała iść po omacku, szukając drogi przed sobą, jak niewidoma.

Każdych drzwi musiała dotknąć ręką, aby wejścia do handlów nie wziąć czasem za bramę. Tak szła coraz dalej od domu do domu, licząc numera. „Trzynaście.“

— Piętnaście. Teraz nadchodzi już siedemnasta brama.

— Kto tam! — krzyknęła nagle zlękniona, gdy w głębi bramy siedemnastej trąciła nagle kogoś stojącego i pochwyciła go z całą gwałtownością przestrachu.

— Jezus, Marya i św. Anno!—krzyknęła z kolei owa żywa istota. To jakaś waryatka!

Była to stara kobieta.

— Nie, nie, przepraszam! — zawołała zdyszana Edyta, puszczając róg kaftana, pochwycony konwulsyjnie. Ale tak się was zlękłam.

— No, a cóż dopiero ja! Czego panna tu chce?

— Szukam domu numer 17.

— A czego panna szuka w tym domu?

— Chcę się do niego dostać.

— I do kogożto chcesz się panna dostać tak późno w nocy?

— Muszę się widzieć z pewną kobietą.

— Z jakąż to kobietą?

— Z pewną handlarką jarzyn, która z inną jeszcze zieleniarką dziś wieczorem tu przybyła.

— A czego panna chce od niej? Jeśli mnie panna powie, to cię do nich zaprowadzę.

— O, nie pytajcie mnie, wierzcie mi tylko, że jak Bóg w niebie, chodzi tu o jedno—nie, o dwa życia ludzkie; o mój Boże, o życie lub śmierć wielu, wielu ludzi. Jeśli wiecie, gdzie jest ten dom, to mnie do niego zaprowadźcie.

— Tu jest ten dom—rzekła stara kobieta—jeśli panna chce, to proszę iść za mną.

276505

Edyta nie namyślała się długo.

— Zadzwońmy!

— Ja mam klucz od bramy w kieszeni—odpowiedziała stara i otworzywszy furtę w bramie, puściła Edytę przodem, a drzwi zamknęła znów za sobą.

Teraz dopiero przyszło na myśl Edycie, jak nierozważnie postąpiła. W obcym, nieznanym domu, o tak spóźnionej godzinie, zdała się na łaskę lub niełaskę zupełnie nieznanej sobie osoby.

W głębi wązkiego kurytarza migotał, poruszany przewiewem, płomyk nocnej lampki, postawionej na ziemi.

Otyła staruszka, z silnie zarumienioną twarzą, podniosła lampę z ziemi i przy jej blasku przyglądała się nowoprzybyłej. Na widok dobrze jej znanego ubioru wyrzekła zdumiona:

— Najświętsza Panno! toż to wychowanica klasztoru!

Twarz Edyty, cała jej postać opromieniona była w tej chwili jakąś aureolą wielkości, która w staruszce mimowiedną cześć budziła. Wydało jej się, że stoi przed nią święta jakaś męczennica.

— A więc z handlarką jarzyn chciała panna mówić?

— Nie, nie z nią, ale z tą kobietą, która dziś do niej przybyła.

— A wie też panna, kto jest ta kobieta?

— Wiem wszystko.

— W takim razie i to musi panna wiedzieć, że taką wiadomość można przypłacić głową.

— Wiem o tem.

— Dobrze. Proszę więc iść za mną.

Stara szła naprzód, migającym się płomykiem oświetlając wązki kurytarz; tak doszły do węższego jeszcze wejścia do piwnic. Tu kobieta powiedziała dziewczęciu, aby szła przodem.

Edyta nie wahała się. Zeszła po schodach, ręc-

ką opierając się o zimny mur wilgotny; przyszło jej wtedy na myśl, że gdyby ten anioł stróż, co ją dotąd prowadził, tu jej nie osłaniał gwiazdzistym swym płaszczem, to w tych wązkich podziemnych jaskiniach mogłaby stać się ofiarą wszystkich okropności, jakie zdoła wymyślić zbrodnia. Ta kobieta, a może i inni, (bo któż wie, kto zamieszkuje te podziemia?) mogli z nią zrobić, co im się podoba, mogliby ją zabić i tu pochować, a żywa dusza nigdyby się o tem nie dowiedziała.

To też schodziła ostrożnie, zwolna po schodach. Nieznana kobieta pochwyciła ją za ramię silną swą kościstą ręką, może, aby się czasami nie potknęła.

Zszedłszy po schodach, wstąpiły w wilgotną, duszną sionkę.

— Na prawo!—szepnęła stara.

Edyta dała się prowadzić w tym labiryncie korytarzy, skręcających się trzykrotnie; wreszcie zatrzymały się przed staremi drzwiami, przez których szpary przedzierał się blask świecy, jakkolwiek drzwi te były z zewnątrz zamknięte.

Kobieta otworzyła kłódkę i wyjęła ją.

— Może panna wejść!

Ale zanim drzwi się otwarły, wiedziała już Edyta, że była u celu. Przez szczeliny uderzył ją silny zapach włoszczyzny. Odetchnęła lżej. Żółta marchew nie marzyła pewnie nigdy, że jej kuchenny aromat może być kiedy witany taką radością, jak woń olimpijskiej ambrozyi.

To skład zieleniarki!

— A uważnie, bo tam jeszcze jeden stopień — wołała przekupka; potem zamknęła za nią drzwi i pozostała zewnątrz.

Edyta znalazła się w sklepionej niszy, w której w jednym rogu leżały stosy marchwi i ziemniaków, sznury cebul wisiały na ścianach.

W pośrodku stały dwa krzesła wyplecione sło-

mą; na jednem z nich paliła się łojowa świeca, oprawiona w lichtarz z wydrążonego kartofla; na drugiem siedziała kobieta w zwykłym ubiorze wiedeńskich przekupek.

Kobieta spojrzała spokojnie ku wchodzącemu dziewczęciu. Twarz ta nie zdradza nigdy zdziwienia. Nie jest to jedna z tych twarzy, co ulegają nerwom.

Dziewczę zaś rzuciło się gorączkowo ku niej i pochwyciwszy jej ręce, padło przed nią na kolana; pełne trwogi spojrzenie wielkich, szeroko rozwartych oczu mówi pierwej już to, co z ust ma wybiedz.

— Pani Baradlay, syna twego chcą zamordować!

Kobieta drgnęła, ale na ustach stłumiła okrzyk, wyrywający się z jej piersi. A przecież te słowa do głębi rwały jej serce.

— Ryszarda?—wyszepnęła, zapominając się.

— Tak, tak!—zawołało dziewczę gwałtownie— Ryszarda, twego Ryszarda. O, pani, ratuj go!

Kobieta popatrzyła uważnie w twarz dziewczęcia.

— Wszak tyś Edyta?

Dzieweczka spojrzała ku niej zdumiona.

— Czy pani już kiedy słyszała to imię?

— Znam je z listów mego syna. Czytam je w tych rysach, w tych słowach; wiem, że ty nie możesz być kim innym, jak narzeczoną Ryszarda.

— O, pani! jam raczej narzeczoną grobu, małżonką katakumb. Wiem to dobrze, bo wobec mnie mówiono, że mój narzeczony musi umrzeć, jeśli nie na placu egzekucyi, to z ręki skrytobójców. Dlatego przybyłam tu do pani. Pani jesteś jego matką. O, błagam cię, wybierz mu śmierć piękną!

— Ale zkądże ty wiesz to wszystko? Zkąd wiesz, że ja tu jestem, kto jestem, że życiu Ryszarda grozi niebezpieczeństwo?

— Ja to pani wszystko opowiem. Jesteście zdradzani. Najlepsi wasi sprzymierzeńcy, studenci,

w młodzieńczej nieoględności pozwolili sobie wyłudzić powierzoną im tajemnicę; powiedzieli wszystkc dwom przebiegłym, światowym damom, które im nadskakują i odgrywają wobec nich rolę bohaterek wolności, w rzeczy samej zaś są narzędziami nieubłaganego wroga. Te panie w mojej obecności opowiadały, że jutro już twego syna i ciebie, pani, oddadzą w ręce nieprzyjaciół; jeśli Ryszard zdoła zobaczyć się z panią, uwięzą go i przed sąd wojenny postawią; jeśliby zaś nie przyszło do rozmowy, właśni jego ludzie go zabiją. Czemu opowiadały to w mojej obecności, chyba, aby mi rozedrzeć serce. Bóg jeden wie, czemu mnie druzgoczą, czemu chcą mnie popchnąć do szaleństwa!

Edycie wyrwało się tlumione łkanie, ale chwilę trwało to tylko, zaraz wróciła jej dawna gorączkowa żywość.

— Ale się przerachowały, nikczemne! Sądziły, że zlamały już całą moją siłę, że mnie zdruzgotały zupełnie, alem ja się ich rękom wydarła, uciekłam im, sama przebiegłam całe miasto; noc była strasznie ciemna, a jednak doszłam tu; nigdy w życiu przedtem nie widziałam pani, a jednak poznałam cię, bo Bóg mnie prowadził i strzegł wszystkich dróg moich. On mnie i dalej wieść będzie.

— Uspokój się, moje dziecię, a potem pomówimy spokojnie; jak widzisz, na wszystko jestem przygotowana. Wobec ciebie więc mówiono, że jutrzejszego rana nas wydadzą?

— Wiem to napewno.

— Mamy więc jeszcze przed sobą połowę nocy, aby im ujść.

— Pani chcesz iść do syna?

— Natychmiast.

Dziewczę złożyło błagalnie dłonie.

— O, zabierz mnie z sobą, pani!

Kobieta zdała się namyślać chwilę.

— Dobrze, możesz iść z nami.

Edyta uderzyła w dłonie z radości.

— Pomyśl, że narażamy życie.

— Toć to mnie cieszy właśnie.

— Chcąc iść z nami, musisz włożyć na siebie również ubiór wieśniaczy.

Pani Baradlay zawołała przekupkę.

— Matko Barbaro, trzeba nam zaraz wyruszyć w drogę.

— Bardzo chętnie—odpowiedziała stara.

— Ale i ta panienka pójdzie z nami.

— Tak? to i dla tej panienki potrzeba innego odzienia.

— Czy macie tam jakie pod ręką?

— Oh, do wyboru.

Matka Barbara podniosła wieko starej skrzyni i wyszukała z niej kilka sztuk ubioru, stosownych dla młodej wiejskiej dziewczyny. Był tam tego zasób cały.

— Ale, matko Barbaro, podobno lepiej będzie całą twą garderobę spakować i przenieść gdzieindziej, bo o naszem mieszkaniu wie już więcej ludzi, niż potrzeba.

— I ja tak sądzę.

Przekupka włożyła Edycie suknie wieśniacze na jej ubiór klasztorny; na szyję zarzuciła jej kraciastą chustkę; na głowę włożyła jeden z owych oryginalnych słomianych kapeluszy, jakie noszą wiedeńskie przekupki, a które tak zasłaniają cały profil, że z niego zaledwie koniec nosa można dojrzeć.

— A co, czy nie śliczna przekupeczka! Teraz proszę wziąć jeszcze kosz na plecy. Nie prawdaż, że czegoś podobnego nigdy się nie nosiło? Ale nie ma się znów czego obawiać; już ja wybiorę najlżejszy, pleciony, z płótnem, a wewnątrz włożymy czerstwych bułek, żeby nie ciężył. My dwie za to musimy dźwigać kartofle i cebulę.

Edyta przyrzekła być spokojną i wesołą, ale

prawdziwego humoru „wiedeńskich przekupek“ nie mogła żadną miarą jakoś przywołać.

Pani Barbara prowadziła je przez ulicę, którą mimo ciemności poznała Edyta. Była to ulica, przy której stał dom Plankenhorstów. Tu przejęło ją jeszcze silniejsze drżenie.

Mijając dom Plankenhorstów, spojrzała w górę ku jego oknom. Wszystkie były ciemne, w dwóch pokojach tylko jeszcze świeciło się przyćmione, blade światło. To sypialnia jej ciotki i Alfonsyny.

— Co ci tam znów? toż ty drżysz, Lino, jak teatralna księżniczka—zagadnęła pani Barbara.

— Już ja zaraz drżeć przestanę, podaj mi tylko, matko Barbaro, dwa kartofle ze swego kosza, ale tylko dwa wielkie kartofle.

— Cóż ty u licha chcesz robić z kartoflami?

— Zaraz to pani Barbara zobaczy.

I rzuciła jeden z kartofli w jedno, a drugi w drugie okno; obie szyby zabrzęczały i posypały się w kawałki.

A potem jak gdyby nigdy nic, pobiegła dalej, wyprzedzając swe towarzyszki.

Oczywiście, że po tym zamachu dwie starsze kobiety podążać musiały za nią, aż ją wreszcie z trudem dogoniły.

— Cóż u licha opętało cię, Lino? — zawołała zadyszana przekupka. — Czyś oszalała? wybijać okna i w dodatku tak nas zgonić, mnie i panią Gertrudę. Oj, ty niemądra dziewczyno.

Ale Edyta pochwyciła rękę pani Baradlay i bez tchu jeszcze przemówiła do niej:

— Tam właśnie mieszkają te przebrzydłe baby, z których przyczyny muszę teraz po nocy się błąkać. Ach, jak one tam z łóżek wyskoczą i łamać sobie będą głowy, kto im przesłał takie dobranoc. Ha, ha, ha!

Pani Baradlay, zamiast zgromić Edytę, uścisnęła w milczeniu jej rękę. Pojęła ją zupełnie.

— No!—zawołała Edyta, gdy już przeszły w inną ulicę, czy pani Barbara zadowolona teraz z mego humoru wiedeńskiej przekupki? A może mam pani Barbarze zaśpiewać piosneczkę?

I nie czekając odpowiedzi, zanuciła czystym swym pięknym głosem znaną ludową romancę:

Und ewig kennt das Vaterland und nennt
Die letzten zehn vom vierten Regiment.
La, la, la...

Nie dość, że niebo było czarne, zaczął jeszcze deszcz padać.

— No, to sobie mogło było poczekać do jutra— odezwała się pani Barbara niechętnie.

— Toć nie jesteśmy z cukru — zaśmiała się Edyta, pocieszając ją.—Deszcz ma tę dobrą stronę, że nas lepiej osłania.

Trudno uwierzyć, jak wiele znieść może kobieta! Kobieta, co jest matką—matka, która kocha swego syna i kraj!

Edyty nie trzeba było pytać, czy jest zmęczoną. Tańczyła przodem, biegnąc ze swym koszem. Z kościelnych wież Wiednia rozległo się uderzenie drugiej godziny w chwili, gdy opuszczały miasto.

Przekupka prowadziła swe towarzyszki długim rowem, porosłym teraz gęstą trawą; od kilku już miesięcy nie padało.

W jednem miejscu, gdzie się rozsypały kamienie, któremi rów był wyłożony, wdrapała się naprzód przekupka, a obejrzawszy się ostrożnie, zawołała zcicha:

— Jesteśmy u celu.

Kazała sobie podać kosze.

— Te możemy tu postawić, mój zupełnie wystarczy. Tam stoją huzary.

W oddaleniu dwustu kroków od rowu błyszczał ogień biwakowy, przy którym rozpoznać było można dwie oświetlone postacie żołnierzy. W niejakiej od-

ległości połyskiwało pięć do sześciu jeszcze ognisk w jednej gromadce. Tam był cmentarz, obozowisko szwadronu.

— Nie pomyliłam się. Teraz niech pani Gertruda idzie dalej naprzód. Ja tu już niepotrzebna.

Pani Baradlay wzięła Edytę za rękę i szła prosto ku ognisku.

Pikieta spostrzegła je zdaleka, ale nie rozległo się zwykłe pytanie; dopiero gdy już zupełnie podeszły, schylił się jeden z żołnierzy z konia i zawołał cichym, głębokim głosem:

— Stój! Kto tam?

— Swój—odpowiedziała pani Baradlay.

— Hasło!

— Siodłać konie i wracać!

Na to zeskoczył jeździec z konia, podszedł do kobiety w wieśniaczym stroju, ukląkł przed nią i z czcią głęboką ucałował jej rękę, nie dotykając jej swojemi dłońmi.

— Czekaliśmy jaśnie pani.

— Poznałeś mnie, Pawle? Poczciwy stary!

— Niebu niech będzie chwała, że jaśnie pani jest już tu.

— Gdzie mój syn?

— Zaraz zaprowadzę jaśnie panią. A ta ładniutka panienka?—spytał wskazując na Edytę.

— Pójdzie razem ze mną.

— Rozumiem.

Stary huzar oddał cugle swego konia towarzyszowi i przeprowadził pieszo obie kobiety.

Mały obielony domek, zwykłe mieszkanie grabarza, przeistoczono teraz na kwaterę rotmistrza. Zajął on w nim maleńki pokoik, którego okno wychodziło na miasto.

Właśnie powrócił był z nocnego patrolu, otworzył drzwi kluczem, który nosił przy sobie i zapaliwszy świecę, gniewnie uderzył pięścią w stół.

— Znów.

— Cóż znów?

Na stole leżą starannie ułożone najświeższe peszteńskie dzienniki, których pojedyncze artykuły pozakreślano nawet czerwonym ołówkiem.

— Precz z tem, w ogień!

Ale nie mógł przenieść na sobie, ażeby nieprzeczytane w piec wrzucić. A skoro je czytać zaczął, już nie miał odwagi ich palić. Kto wie, czyby się nawet spaliły? Czyby z popiołów nie zmartwychwstały.

Z łokciem wspartym o stół, z czołem chmurnem, pochylonem na dłonie czytał i czytał ciągle zakreślone wiersze, a czoło posępniało mu coraz bardziej.

— To nie prawda! to nie może być prawda!— wołał w wewnętrznej sam z sobą walce — wszystkie kłamią, to niemożebne, ażeby coś podobnego działo się pod słońcem.

Ktoś nadchodzi. Zgniótł pospiesznie dzienniki w ręku.

To pan Paweł.

Ryszard wpadł na niego z gniewem.

— Co za złodziejskie plemię podrzuciło mi znów te przeklęte gazety na stolik?

Pan Paweł odpowiedział ze zwykłą niezmąconą flegmą:

— Że złodziej coś z domu wynosi, to pojmuję. Ale o złodziejach, którzyby coś podrzucali, jak żyję, nie słyszałem.

— Na mój stolik przemyka się codzień paczka gazet przez drzwi zamknięte. Kto to robi?

— Co ja mam wiedzieć o dziennikach, ja, co nie umiem czytać nawet.

— Kłamiesz, łotrze! alboż to ja nie wiem, że ty stary ośle na starość uczysz się czytać już od trzech miesięcy? Kto jest twoim nauczycielem?

— Proszę go zostawić w pokoju. Biedaczysko—wczoraj wyciągnął nogi. Trębacz. Był wypę-

dzonym studentem i dawno już nosił się ze śmiercią. Kolego, powiedziałem mu, nie bierz z sobą do grobu całej swej mądrości, zostaw mnie choć trochę.

— I pocóż to uczyłeś się czytać?

Stary huzar wzniósł głowę w górę i odpowiedział stanowczym głosem:

— Panie rotmistrzu, byłoby mi łatwo na to pytanie odpowiedzieć jakimbądź wykrętem; gdybym miał ochotę kłamać, mógłbym powiedzieć, żem się nauczył czytać dlatego, aby raz wreszcie módz zostać podoficerem. Ale tego nie powiem, powiem prawdę: nauczyłem się na stare lata czytać po to, aby wiedzieć, co się dzieje u nas w domu.

— Więc i ty to czytasz? Ale jak wy dostajecie te świstki?

— Zostawmy to na później. Teraz co innego mam zaraportować panu rotmistrzowi. Dwie kobiety chciałyby mówić z panem rotmistrzem.

— Kobiety? Jakże się tu dostały? Zkąd przychodzą?

— Z miasta.

— Jak je mogła przepuścić placówka?

— Znały hasło.

— Znów kłamstwo. Przed godziną zmieniłem je; o tem jeszcze w mieście nikt nie mógł wiedzieć.

Pan Paweł z chmurnym, zuchwałym spokojem przyznał się do prawdy.

— Weszły z innem hasłem...

— Z innem hasłem? A więc tu kto inny jeszcze, oprócz mnie, wydaje hasła? Więc to spisek! Ale damy z sobie z tem radę! Obie te kobiety każę rozstrzelać.

Ryszard był wściekły, rzucił gwałtownie szablę o ziemię; pan Paweł za to patrzył nań tak dobrodusznie, jak stary, poczciwy dziadek patrzy na wybuchy gniewu swego maleńkiego wnuczka.

— Jedna z tych kobiet jest rodzoną matką pana rotmistrza.

Pan Paweł miał zupełny odwet; gniewny jego rotmistrz z wściekłości przeszedł nagle w osłupienie przestrachu. Oczy młodego człowieka patrzyły nieruchomie przed siebie — szeroko rozwarte, stał tak z otwartemi ustami, z ręką w powietrzu, jak ją wzniósł, rzucając szablę.

Ryszardowi zdało się, że to był sen chyba, gdy stary sługa drzwi otworzywszy, wywołał z ciemności naprzód tę łagodną, kochaną, czczoną twarz, a po niej drugą, uroczą twarz dziecięcą, z której poglądała nań miłość głęboka, prawdziwa, tem więcej mu się to snem wydało, że obie postacie miały na sobie ubiór wieśniaczek, przemokły deszczem, obryzgany błotem.

To, co Ryszard przed kilku chwilami jeszcze czytając w gazetach miał za bajkę, za złudę wyobraźni, stało się teraz rzeczywistością. Miał przed sobą dwie z takich kobiet szlacheckich rodzin, w których podwoje nocą wpada krwiożercza horda—małżonków i braci w ich oczach zabijając; ocalone cudem, w ubiorze pożyczonym od litościwych wieśniaczek, chronią się ucieczką, przebiegają znaczne przestrzenie i odarte, zbryzgane błotem, bose, zjawiają się nagle, jak straszne widma, u oddalonych przyjaciół.

Taki obraz miał przed oczyma.

Oniemiały rzucił się ku matce i objął ją w swe ramiona, twarz jej i ręce okrywając pocałunkami. Jakżeż zmaczane jej suknie, jak zziębnięta twarz i ręce. Nie śmiał jej o nic pytać.

Na Edytę spojrzał, ale tak trwożnie, jakby nie wierzył, że to ona. Może jest jeszcze druga twarz jaka, tak rażąco podobna do jej twarzy, bo zkądżeby się tu znajdować mogła.

Obawiał się spytać matki, kto jest jej towarzyszką.

I nikt też nie wymówił słowa; jednym odglo-

sem tylko brzmiał cały pokoik — odgłosem potężniejszym niż najwymowniejsze wyrazy — cichem łkaniem.

Ryszard czul niepojęty, nieokreślony ból jakiś w piersi, kiedy tak matkę swą zobaczył, kiedy ją objął uściskiem; nie mógł dłużej panować nad sobą; rzucił się twarzą na stół, na którym leżały jeszcze owe złowieszcze pisma, i zapłakał gorzko.

— A więc to wszystko prawda, co tu piszą?

Matka rzucila okiem na gazety.

— To tylko tysiączna część prawdy! Przysięgam ci to na moją miłość dla ciebie.

— Nie przysięgaj, matko. To jedno, że cię tu widzę, jest mi straszliwszem świadectwem niż wszystkie przysięgi.

Zamilkł na chwilę.

— Od dziś dnia nie ma człowieka, nie ma Boga, coby mi mógł rozkazywać. Twoim tylko rozkazom, matko moja, będę posłuszny Powiedz, czego żądasz odemnie?

Pani Baradlay pochwyciła rękę Edyty i pociągnęła ją ku niemu.

— Patrz, oto ta, która mi powiedziała, czego mam żądać od ciebie. Jeszcze przed godziną nie wiedziałam sama, jakie ci stawić żądania.

— Edyta!—szepnął Ryszard, dotykając podanej mu ręki, dotąd jeszcze nie oschłej. — Tak, to ręka Edyty—to jej twarz. Ale jakże to być może?

— Mój synu, żyjemy w czasach dziwnych jakichś dusz wędrówek; wszyscy staliśmy się innymi ludźmi... W czasach, gdzie kamienie mają duszę i podnoszą głos swój do nieba. Tym tylko, co broń noszą, zakazano mieć serce. Las bagnetów ma przeciw matkę, której na imię: ojczyzna. Ale wieczysta ta matka jest niemą, nie może zawołać o pomoc. O tem oni wiedzieli. Można chłostać jej ciało, deptać ją nogami, rozćwiertować, ona nie zawoła: synu, ratuj mnie! Ale o tem nie pomyśleli, że kiedy

z tych, co noszą palasz u boku tam, w domu, ma matkę i że jeżeli dwakroć sto tysięcy matek podniesie jęk boleści, jęk ten dojdzie do uszu synów. A myśmy głos podniosły. My wszystkie, zarówno wielkie panie, jak kobiety z ludu. Odszukałyśmy nasze dzieci, napisały do nich, użyłyśmy całej siły wymowy, aby ich przekonać. I synowie nie pozostali głuchymi na nasze wołania. Był to rozkaz straszliwy. Matki kazały synom powrócić do domów, a synowie rzucili wszystko i powrócili. Tyś nas tylko nie usłyszał.

— Już cię słyszę, matko moja!

— Patrz, oto młoda dzieweczka, wychowanica klasztoru; wobec niej dziś opowiadano sobie, że zaprzysiężono śmierć jej narzeczonemu. Wymyślono plan szatański na jego zgubę, co bądźby uczynił. Pójdzie jedną drogą — czeka go śmierć na placu egzekucyi; obierze drugą — śmierć z ręki skrytobójców. Tu już wydany rozkaz uwięzienia — tam broń już nabita. Ona to słyszy — i nie rozważa, co jej czynić należy. Nie płacze, nie wpada w rozpacz. Udaje swobodną, bezmyślną, wesołą i, pochwyciwszy sposobną chwilę, ucieka swym stróżom. O północy, w ciemności błąka się wśród pustych ulic wielkiego miasta, aby odszukać matkę ukochanego, upaść jej do nóg i tak do niej przemówić: Kobieto, chcą ci zamordować syna, gotują dlań śmierć straszną, hańbiącą! o, spiesz do niego... i wybierz mu jaką śmierć piękniejszą!

— Edyto — wyjęknął Ryszard i zimną dłoń jej przycisnął do swego palącego czoła.

— Jam ci ją wybrała, mój synu:

— Nazwij ją, matko.

— Jest jeszcze jedno pole, gdzie po synach, którzy tam padną, matki nie leją łez innych, prócz łez radości.

— Co mi czynić każesz?

— Dowiedz się tego od twych żołnierzy. Ha-

sło, z którem przeszłam twe forpoczty, brzmi: siodłać konie i wracać. Wymawiając to hasło, będziesz wiedział, kędy twoja droga. Jak tam zajdziesz — to już rzecz Boga i twego miecza.

— Niechaj tak będzie!

Ryszard podszedł do drzwi, Paweł w nich straż trzymał.

— Idź—rzekł mu cicho—podaj podoficerom nowe hasło: Siodłać konie i wracać!

Stary huzar nic nie odpowiedział—tylko pobiegł pędem.

— Mój los już rozstrzygnięty — rzekł Ryszard, wracając do matki i narzeczonej—ale co się z wami stanie?

— Nad nami czuwa Ten, którego oko nie zasypia nigdy.

— Do miasta nie możecie powrócić, bo jutro ze wszech stron szturm do niego przypuszczą; tam więc nigdzie nie znalazłybyście bezpiecznego schronienia. Ja muszę wyruszyć natychmiast, póki jeszcze ciemno i póki deszcz ulewny sprzyja naszej ucieczce. Najlepiej byłoby dla was udać się razem ze mną, a w pierwszej napotkanej wiosce nająć wóz i uciec do Węgier. Matko, ty nie odstąpisz Edyty!

Obie kobiety wstrząsnęły głową przecząco.

— Ja, mój synu, powracam do miasta.

— Matko, pomyśl, jutro miasto zostanie wzięte, a ciebie już zdradzono.

— Myślę o tem tylko, że tam, w mieście, mam jeszcze jednego syna; powracam więc do tego miasta, a choćby stało w płomieniach i pełne było nieprzyjaciela, ja zeń uprowadzę mego syna, ja im syna mego nie zostawię!

Ryszard ukrył twarz w obu dłoniach.

— A, moja matko, jakimże ja jestem karłem wobec twej wielkości!

Potem spojrzał na Edytę, jakby bolesnem tem

spojrzeniem chciał ją zapytać: A cóż się z tobą stanie, lilijko, oderwana burzą od swej łodygi, gdzie rzucą cię wichry, gdzie znajdziesz przystań, jakie dni cię czekają?

Edyta zrozumiała to nieme smutne pytanie i odpowiedziała nań:

— O mnie się nie troszcz, Ryszardzie. Twoja matka odprowadzi mnie do klasztoru, tam powrócę. Nie martw się z mojej przyczyny. Wymierzą mi może jaką karę, ale przecież głowy nie zetną. Tam będę czekała ciebie póty, aż powrócisz z chwałą zwycięzcy. W tem oczekiwaniu będę szczęśliwą. Gdyby jednak niebiosa przeznaczyły ci piękniejszą odemnie narzeczoną — śmierć walecznych, „śmierć piękną“, jak ją zwać zwykli jej zalotnicy — wtedy będę wiedziała przynajmniej, klęcząc codziennie na zimnych kamieniach kościelnej posadzki, za co się modlę.

Pani Baradlay popchnęła zlekka dziewczę w objęcia syna i podczas gdy oboje w smutnym tym uścisku przysięgali sobie miłość wieczną, matka wzniosła nad niemi drżące ku niebu dłonie i polecała ich opiece Wszechmocnego.

Z dworu dobiegały ich uderzenia kopyt końskich szeregujących się huzarów.

— Czas ubiega, mój synu—zawołała pani Baradlay—nie wolno ci tracić ani chwili.

Ryszard otarł łzy, raz jeszcze uścisnął matkę i wyszedł z obiema kobietami.

Deszcz lał wciąż jeszcze strumieniami.

Huzary stali już w szeregach przed rowem cmentarnym.

Ryszard dosiadł konia i wyjechał przed front szwadronu.

Kiedy obie kobiety przechodziły obok jeźdźców, powitał je cichy, ale jakby z jednych ust wyszły — nie okrzyk, lecz szept: Eljen. Brzmiał on jak oddech wichru, jak szmer lasu, ton powtórzony stoma usty,

stu ścieśnionym piersiom się wyrywający, głuchy, stłumiony głos: Eljen.

— Siodłać konie i wracać — rozległo się ciche hasło, a jeźdźcy ruszyli z miejsca. Nie było trębacza, wczoraj umarł; ale go też nie potrzebował ten dzielny hufiec. Zniknął, jak widmo.

Obie kobiety zaś odprowadził pan Paweł aż do biwakowego ogniska, gdzie czekała na nie przekupka. Przy tem ognisku miał pan Paweł pozostać z drugim huzarem aż do świtu, aby zmylić patrol i nie dać powodu podejrzenia; potem dogonią resztę. Deszcz leje zawsze jeszcze strumieniami.

— No, byłby też już czas pomyśleć o powrocie do domu — wołała zdaleka zniecierpliwiona Barbara.—Deszcz się na nas zawziął; teraz już nie możemy powrócić tą samą drogę, którąśmy przyszły; wszystkie rowy pełne wody.

— W takim razie trzeba sobie będzie dopomódz własnym przemysłem, jak wczoraj—dodawała jej ducha pani Baradlay.—Jako przekupki, które przynoszą na sprzedaż żywność i wódkę, przejdziemy spokojnie przez biwaki.

— Prawda, że wczoraj było dobre i dziś niem być może, tylko, że... wczoraj byłyśmy same. Dwie takie stateczne, jak my, kobiety, mogą przejść przez cały obóz. Dziś zaś ta jest z nami.

Stara wskazała Edytę.

— Do nas się tam żaden nie zbliży, choćbyśmy się nie wiedzieć jak wykrzywiały; ale takie młode stworzenie to kole zaraz tych urwiszów mężczyzn w oczy. Nie mówię, ażeby nam się, broń Boże, przytrafić miało jakie nieszczęście, ale taki delikatny dzieciaczek nie przywykł do zaczepek, a jak jaki śmiałek uszczypnie ją w policzek, albo zacznie jej w oczy zaglądać, zdradzi się, że jest panną z dobrego domu.

— O, nie bój się, matko Barbaro — uspo-

kajało ją dziewczę — mnie wychowywano na służącą.

I mimowolnie przypomniała jej się w tej chwili pierwsza znajomość z Ryszardem.

— Więc tylko roztropnie, Lino, moje dziecko, a zawsze ochoczo.

Wzięły znów na siebie kosze. Kanałami droga już była niemożebną; przeszły więc most i weszły na ścieżkę, która, jak utrzymywała pani Barbara, znająca dobrze tę drogę, prowadziła do ogrodów warzywnych; ztamtąd znała już przejście między parkanami.

Padało bezustannie i strasznie było ciemno dokoła, mimo zbliżającej się czwartej godziny zrana. Nie wiedziały nawet, czy idą właściwą drogą, że jednak szły ku miastu, miarkowały z kierunku deszczu, który miały za sobą idąc do obozu, a który teraz twarz im siecze.

Nagle przestało padać, chmury się rozstąpiły i przerażone kobiety znalazły się wpośród głównego obozu wojsk.

Na prawo i lewo siedzieli na koniach rozstawieni kirysyerzy, których białe płaszcze odbijały od czarnego tła nocy.

Cofać się już było zapóźno.

O jakie dwanaście kroków przed niemi stała chata, którą zamieniono na szynk tymczasowy. Wesołe żołdactwo zbiegło się tam gromadnie; z wnętrza dobiegał głos katarynki; kto wie, może tam tańczą.

Przed drzwiami stało kilku kirysyerów.

Zaledwie spostrzegli kobiety, podeszli ku nim i otoczyli je kołem.

— Ho, ho, bratku! — zawołała pani Barbara do pierwszego z brzegu—tylko mnie nie zjedz. Cóż to, czyście nie poznali starej matki Ahn, która wam zwykle nosi kartofle?

Ale panowie żołnierze rozochoceni mało dbali

o krzyki starej i posunęli się rezolutnie ku młodszym. Jakiś filut odkrył niebawem młodą i ładną dziewczynę.

— Wejdź z nami, potańczymy!

Pani Baradlay szepnęła Edycie:

— Zgubione jesteśmy.

— Mniejsza o nas—szepnęła jej Edyta—ale Ryszard?

— To jest właśnie pułk Palwicza, który ma rozkaz nadzorowania szwadronu Ryszarda. Deszcz przestał padać i za chwilę dowiedzą się, że jego oddział znikł i puszczą się za nim w pogoń. Mój Boże! Tu trzeba działać!

Edyta odtrąciła nagle swawolnego żołnierza, który ją ciągnął za suknię do szynku, odrzuciła kosz i z nakazującą postawą zwróciła się do wachmistrza, do którego przemówiła poprawnym językiem:

— Panie wachmistrzu, proszę nas zameldować panu pułkownikowi. Gdzie jest pułkownik Otton Palwicz? Myśmy do niego posłane. Powiedzcie mu tylko, że tu czeka Brygida.

— Co czynisz?—szepnęła jej pani Baradlay.

— Pozwólcie teraz mnie działać! Albo się uda, albośmy zgubione.

— Szalona dziewczyno! — mruknęła Barbara, która w przestrachu zapomniała o swym „ochoczym“ humorze.—Gotowa nas zaprowadzić w samą paszczę piekła.

Wachmistrz rozpędził żołnierzy, otaczających kobiety, przywołał wartę i z dobytym pałaszem odprowadził je do najbliższego domku; tu weszli.

Kobiety pozostały w przedpokoju, wachmistrz sam poszedł do pułkownika.

Po upływie kilku minut powrócił.

— Brygidy mogą wejść.

Pani Baradlay i Edyta weszły do pokoju.

Pułkownik był sam. Przed nim stał wysoki, silny mężczyzna, o ostrych rysach twarzy i wybit-

nym nosie niezwykłej długości; wgłębione oczy patrzą nieufnie, usta okrąża wyraz szyderczy, gorzki.

Uważnie wpatrzył się w stojące przed nim kobiety, zanim do nich przemówił:

— Z kim chcecie się widzieć?

— Z pułkownikiem Palwiczem.

— Palwicz jest podpułkownikiem tylko — zauważył oficer.

— Wczoraj wieczorem awansowano go na pułkownika.

Surowa twarz mężczyzny złagodniała nagle, wszelka podejrzliwość znikła.

— Zkąd przybywacie?

— Z Jerycho.

— Kto was przysyła?

— Rahab.

— Do kogo?

— Do Jozuego.

Oficer skinął głową w milczeniu.

Były to hasła, których podczas mniemanego snu Edyty pani Plankenhorst uczyła mozolnie siostrę Remigię.

— Cóż wam polecono powiedzieć?

— Gibbonici i Emoreusz już się porozumieli.

Oczy oficera zabłysły.

— Byłem tego pewien. Przychodzą, czy też odchodzą?

— Przychodzą.

— Stawię się.

Otton Palwicz natychmiast też wydał rozkaz znajdującemu się w przyległym pokoju adjutantowi, aby cały pułk zebrał się jak najspieszniej. Sam nawet wyszedł dojrzeć.

Wychodząc prosił panie, aby odpoczęły.

— Co znaczyły te wyrazy? Coś ty mu powiedziała? — spytała pani Baradlay cicho, gdy pozostały same.

— Jerycho—to Wiedeń; Rahab—przełożona kla-

sztoru; Jozue—to generał; Gibbonici i Emoreusz—to huzary i aula.

— Tyś ich zdradziła.

— Pst... Oddawna już miano na nich baczne oko. O Gibbonie tylko nie wiedziano, co zamyśla. Czy pójdzie do Jerycho, albo odejdzie do Kannaanu. Ja im oznajmiłam, że przychodzą.

Pani Baradlay mimo tego tłómaczenia nic jeszcze nie rozumiała; z przerażenia zdrętwiały jej wszystkie członki.

Otton Palwicz powrócił; nie mogła już o nic pytać.

— Panie wybaczą... wyruszamy—rzekł grzecznie pułkownik do obu kobiet.

Te przewiesiły znów kosze przez plecy.

— Jakaż będzie odpowiedź?—spytała Edyta.

Zasyłam pozdrowienie Rahabie. U bram przedmiejskich będę czekał Gibbonitów.

Sam wyprowadził kobiety i dał im eskortę z dwóch żołnierzy dla bezpieczeństwa. Ci szli za niemi w należnem oddaleniu; przekupkę zaś odprowadzał trzeci, który szacownej tej damie udzielił przyjacielskiej rady, aby się nie oglądała, w przeciwnym bowiem razie mógłby ją spotkać los żony Lota.

W pobliżu Lerchenfeldzkiej bramy wszyscy trzej się oddalili.

Kobiety przechodząc niestrzeżoną barykadą, postawiły kosze na stosach kamieni i zatrzymały się, aby odpocząć chwilę. Teraz dopiero zapytała pani Baradlay Edytę:

— Cóż się więc stanie?

— Stanie się to, że kiryserzy pułkownika Palwicza obsadzą wszystkie trakty, prowadzące do Wiednia, ażeby Ryszardowi zajść drogę. Tam będą stać do rana, skoro zaś spostrzegą swą pomyłkę, Ryszard już zyska cztery godziny czasu i nie będą mogli go dogonić.

— Dzielna z ciebie dziewczyna! zawołała pani

Baradlay, przyciskając Edytę do piersi.—Jak w Boga wierzę, tak i w to wierzę silnie, że przyjdzie czas, w którym u bramy starego zamku Baradlay'ów moje kolano będzie progiem, po którym doń z powozu wstąpi twa noga. Ale jakże długą drogę mamy wszyscy troje przed sobą aż do owej chwili!

— Idźmy nią tylko wytrwale, droga pani!

— Czemuż nie nazywasz mnie matką?

— Nie żądaj pani tego odemnie. Muszę się przyznać, żem przesądna trochę. Mnie się wydaje zawsze, że kiedy kto się cieszy mając słuszne powody smutku, popełnia taki sam grzech, jak ten, co się śmieje w kościele zamiast się modlić. Od dziś obcą mi będzie wszelka radość. Kto wie, może w tej samej godzinie, w której nazwałabym panią imieniem matki, pani przestałabyś mi być matką i utraciłabyś syna. Proszę, pozostaw mi pani moje przesądy; a teraz zechciej mnie odprowadzić do klasztoru.

Okrzyk zgrozy powitał powracającą w refektarzu klasztornym. Cała ludność klasztoru nie zmrużyła tej nocy oka, tak wielkiem było zamieszanie, gdy siostra Remigia sama jedna wjechała w dziedziniec, gdy spostrzeżono otwarte drzwiczki powozu, a zakonnica nie umiała powiedzieć, co zrobiła z Edytą. Całą tę rzecz pogorszała znacznie potrzeba unikania wszelkiego rozgłosu. Dniało już, gdy stanęła wśród przerażonego grona. Ze wszech stron zasypano ją pytaniami, gdzie była, gdzie się włóczyła po nocy?

— Wieczorem powiem wszystko, ale nie prędzej.

— Niesłychana krnąbrność!

Ponieważ wszelkie łajania i groźby nic nie pomagały, wzięto się do kar, tego argumentu wszech-indagacyj.

Pobożne dziewice przeraziły się niepomiernie, gdy rozbierając Edytę, dostrzegły, że wszystkie jej

suknie były zabłocone i podarte. Kto wie, gdzie się wałęsała za miastem?...

Od niej jednak nie mogły się niczego dowiedzieć.

Przyniesiono rózgi, dyscyplinę, ale ani rózgi, ani dyscyplina nie zdołały wydobyć z niej żadnego zeznania.

Omdlałą zaniesiono do łóżka. Dostała silnej gogączki, a gdy się zbudziła, dzień chylił się już ku wieczorowi; cały dzień więc przespała widocznie.

— Teraz się już przyznam do wszystkiego — rzekła do otaczających.—Byłam w koszarach huzarskich, a noc spędziłam w pokoju mego kochanego rotmistrza. Wolno wam to rozgłosić.

Przełożona załamała ręce nad głową, słysząc to okropne wyznanie. Naturalnie, że o tem nigdy i nigdzie nie wspomniano; co więcej, po wszystkie czasy tajemnica nie wyszła po za obręb murów klasztornych. Nie dziw, wieść taka zaszkodziłaby bardzo zakładowi. Ale teraz dopiero wyjaśniło się znaczenie pewnych arcymiłych słów, które, wysłany o 7 ej zrana umyślny posłaniec, przyniósł jej w odpowiedzi od pułkownika Palwicza:

— Niech sto piorunów trzaśnie w cały wasz klasztor.

Kiedy wysłany przez siostrę Remigię żeński poseł stanął przed pułkownikiem i wymieniwszy hasła, powiedział mu, że matka Gibbona dziś rano przebrana ma się udać do syna, aby go nakłonić do ucieczki, pułkownik zapienił się z gniewu.

— Niech dyabli wezmą całą tę sprawę—zawołał.—To one mi uciekły! Ja im sam ułatwiłem drogę i szpiegom nieprzyjacielskim dodałem straż bezpieczeństwa aż do samych bram miejskich! Gdybym tylko mógł wiedzieć, kto była ta mała czarownica w sukniach wieśniaczki, która mnie tak w pole wywiodła!

Oczywiście, że mu tego nie powiedziano nigdy.

ROZDZIAŁ II.

Słońce zachodzi krwawo.

Słońce skłania głowę na spoczynek nocny; krwawe obłoki pokrywają niebo; zda się, że wre tam jakieś wielkie bezbrzeżne morze stopionej lawy.

Z po za ognistych rąbków i smug purpury widnieje tylko maleńki skrawek nieba — jasno-zielona nieba plamka.

Jednej chmury tylko, jednego obłoku nie zdołało słońce ozłocić; wielki ten czarny obłok klębi się od ziemi ku niebu i rysuje olbrzymie cienie, jak dwa skrzydła kruka na krwawem tle widnokręgu. To czarna dymu kolumna palącego się kościoła.

Ciężki, ponury tuman toruje sobie drogę ku niemu i stanowi zarazem tło czarne długiej, zachodzącem słońcem prześwietlonej ulicy. Tam, gdzie pada cień domów, jest już zupełnie ciemno.

Głęboka cisza.

Zamilkły dział gromy, zamilkł ogień rotowy i szczęk broni przebrzmiał.

Tam, z ciemnego tła, które tworzy dym palącego się kościoła, wynurza się samotna postać, z trudem wlokąca się przez ulicę. To młody bojownik z legionu Auli.

Ma już jedno tylko ramię, a i to nie dźwiga dziś broni; tą jedną ręką, która mu pozostała, przytrzymuje sobie płaszcz na piersiach; nim przyciska ranę zadaną bagnetem. Każdy krok swój krwią znaczy.

Pragnie ocalić się jeszcze nim pogoń trafi na trop jego. Jakże bojaźliwie ogląda się na te krwawe ślady, nie wskażąż one drogi nieprzyjacielowi?

Ze wszystkich okien znikły już chorągwie wolności. Tylko z balkonu Plankenhorstów powiewają jeszcze,

O, te kobiety są wierne dobrej sprawie, wierne do ostatniej chwili.

W drodze często musiał się zatrzymywać i o mur opierać, aby nowych sił zaczerpnąć.

Ilekroć się zatrzyma, liczy w tej chwili spoczynku krople krwi ubiegającej z rany na bruk uliczny. Tem czas mierzy.

Przy dwudziestej trzeciej kropli dowlókł się do bramy.

Ale brama była zamknięta.

Niepojęte! Rada gminy wydała przecież rozkaz, aby wszystkie bramy domów stały otworem dla uciekających i rannych. A dom Plankenhorstów zamknięty!

Jednoręki zaczął pięścią uderzać w bramę.

Uderzenia tu budzą echo w pustym przedsionku, ale nie sprowadzają nikogo.

— Alfonsyno, Alfonsyno! — jęknął ranny.

Nikt go nie słyszy.

Gnie się, łamie, pada na próg bramy.

Ponownie zaczyna walić pięścią w drzwi zamknięte.

Cichym głosem wymawia swe imię. Może je wiatr zaniesie w górę, może je ona usłyszy:

— To ja, Goldner! to ja! Fryderyk, jednoręki, bojownik barykad!

Żadnej odpowiedzi.

Może i one uciekły — może dom cały stoi pustkami...

To bardzo możebne.

Umrze przynajmniej na tym progu.

Rana pali go coraz silniej i ponure, senne widziadła mgłą jakąś owiewają mu głowę.

Tak się poddać temu obezwładnieniu—nie sposób. Wspiera się na łokciu, nawpół podnosi i pięcami wojska w kąt bramy.

Patrzy przed siebie nieruchomie i zdaje mu się, że ta trójkolorowa chorągiew, z którą igra wieczorny wietrzyk ochładza go swym powiewem, że mu przynosi ulgę.

Umierający młodzieniec jeden już tylko widzi przedmiot: trójkolorowy sztandar. Widocznie go tam zapomniano. I dobrze — w jego cieniu umrzeć mu będzie lekko. Prawda, że tam nikt nie słyszy jego westchnień, że brama wciąż zamknięta.

Nagle spostrzega, jak zwolna wznosi sie w górę chorągiew, niewidzialna jakaś ręka wciąga ją przez okno.

Więc one są w domu.

Wiec dla niego tylko chciały być nieobecnemi...

Gorycz śmiertelna ogarnia pierś jego. Każda kropla, co teraz spada mu z rany, jest kroplą piekielnego jadu potępieńców.

Więc są w domu, a jemu bramy nie otwarto!

Słyszą jęk jego konania, a nie mają serca te kobiety.

W kilka minut później widzi, jak z tego samego balkonu inna rozwija się chorągiew; owa chorągiew, przeciw której walczył przed godziną, w imię której zadano mu śmiertelną ranę, która, jak Moloch nieubłagany, z młodego jego życia zażądała ofiary. Teraz, chcąc pokryć śmiertelną jego walkę, spływa z okien gorąco przezeń ukochanej kobiety i cień swój rzuca na konające jego oblicze.

Umierający młodzieniec odrywa na ten widok rękę od rany, którą dotąd przyciskał, z niepojętym krzykiem boleści wznosi ją teraz ku niebu i uderza zbroczoną dłonią o próg tego domu, aby na nim pozostał krwawy stygmat; potem pada twarzą na bruku kamienie i umiera.

ROZDZIAŁ III.

Ów trzeci.

Ostatnie te dni Jenö Baradlay przepędził w domu Plankenhorstów; zakwaterował się tam kompletnie. Kamerdyner poszedł na barykady, a pokój jego urządzono dla Eugeniusza; tym sposobem mógł dniem i nocą być w domu ukochanej.

Niezwykłe czasy niezwykłe też przynoszą z sobą sytuacye.

W innych czasach jakiż czar miałaby dla niego ta myśl, że spędzi trzy dni i trzy noce obok ukochanej! W każdej godzinie módz ją widzieć, budzić ją ze snu, to znów przez nią być budzonym, być bożyszczem tej do ubóstwienia ukochanej kobiety; widzieć, z jaką go trwogą żegna, gdy się oddala na chwilę, być witanym niewymowną radością, czuć łzy na swojej twarzy i jej oko tonące w swem oku, nie, to byłoby szczęście niepojęte! Idyliczne to szczęście wszakże przestaje niem być, gdy przerażenie ścina krew w żyłach i szarpie bezustannie nerwy.

Cały ten kielich rozkoszy zatruwa mu jedna kropla piołunu—myśl: co przyniesie dzień jutrzejszy?

Tajemnicza wyrocznia mówi tysiącem języków, każdemu z pytających odmienną daje odpowiedź. A często nawet tysiącznemu pierwszemu nie powie jeszcze przybliżonej prawdy.

W ostatnich tych dniach często wpadała mu w ręce Lamartine'a „Historya Żyrondystów," leżąca na stole salonu. Jenö czytał w niej opis dziejów kilku par narzeczonych, które wieziono w jednych taczkach na plac tracenia.

Wyobraźnia jego oswoiła się z tym obrazem.

Wrósł on w jego duszę i Jenö najmocniej był przekonanym, że gdyby Alfonsynę miano pociągnąć do odpowiedzialności, onby jej nie przeżył.

Jeśliby ją uwięziono, poruszyłby niebo i ziemię, aby ją oswobodzić; w razie zaś, gdyby mu się to nie udało, gdyby krew jej miała poplynąć—i on już na śmierć był gotowym; w głowach jego łóżka leżał nabity w tym celu pistolet.

Wieczorem dnia trzeciego skończyła się walka.

Większość obrońców miasta poddała się, rozproszone tylko drobne oddziałki biły się jeszcze w ulicach odległych przedmieść, podczas, gdy w główne ulice śródmieścia wkraczało już zwycięzkie wojsko, z huczną muzyką na przodzie.

W salonie Plankenhorstów trzy się tylko znajdowały osoby: obie panie i Jenö.

Bohaterowie dnia wczorajszego, co tak niedawno jeszcze gwarem napełniali ten salon, polegli lub rozpierzchli się.

W chwili, gdy przed domem ozwała się kapela przechodzącego ulicą wojska, posłyszał Jenö przyspieszone kroki na schodach. Przychodzą! przychodzą wprost tu!

I na wszystko był już przygotowany, tylko nie na to, co zobaczył.

Dawni znajomi, owe *ci-devant* znakomitości wieczorków na salonach Plankenhorstów wchodzili kolejno z uśmiechem tryumfu na ustach. Każdego zosobna grzeczna gospodyni witała serdecznym rąk uściskiem i zaczęła się gawędka, śmiechy i wrzawa, jak to zwykle bywa, gdy się rozproszone nieszczęściami kółko znajomych znów przy jednem zejdzie ognisku. Każdy czuje się wtedy tak swobodnym, jak w domu, i chórem idzie opowiadanie przeżytych wypadków, robi się wrzawa ogólna, jeden mówi przez drugiego, a wszyscy weseli, odurzeni zwycięztwem, żartujący i winszujący sobie wzajem—i rzecz dziwna, panie domu odrazu w ton gości trafiają; nie razi ich bynajmniej ten niespodziany, dziwaczny przeskok, jakby ośm ubiegłych miesięcy, z wszystkiemi swemi wypadkami, co światem wstrząsnęły, były tylko

sennem marzeniem, prześnionem w ciągu zeszłej nocy.

O Eugeniusza nikt się nie pyta.

Nie zwrócono nawet uwagi, że jest na świecie, nie pytano, co na nim robi?

Z gości nikt nie bawił tu długo; każdy chciał pokazać, że żyje i że tryumfuje; na miejsce oddalających się przychodzili nowi. Całe dawniejsze towarzystwo podążało za wojskiem.

Jeden gość wreszcie raczył zauważyć obecność Eugeniusza.

Gościem tym był pan Ridegvary.

Wpadł z wielkim hałasem, z głową butnie zadartą, zdala już winszował damom, ściskał ich ręce w obu swych dłoniach i zamieniwszy zcicha kilka słów z panią Antoniną, odszukał wreszcie wzrokiem Eugeniusza, który wciśnięty we framugę okna, spoglądał na rozgrywającą się przed nim komedyę.

Zaledwie wszedł nowy jakiś znajomy i zaczął bawić panie, Ridegvary zwrócił się do Eugeniusza i zagadnął go z półurzędową uprzejmością:

— *Servus*, mój młody przyjacielu, jak to dobrze, że cię tu znajdujemy. Mam z tobą pomówić o rzeczach ważnych, dotyczących twego losu. Zechciej udać się do domu i oczekiwać mnie w swem mieszkaniu.

Jenö był jeszcze tak dziecięco posłusznym, że nie przyszło mu na myśl zaprotestować przeciw temu wysłaniu do domu *in optima forma*.

— Służę waszej ekscelencyi. Ale trudzić się do mego mieszkania byłoby zbytecznem, czasowo bowiem zajmuję w tym domu pokój na drugiem piętrze po prawej stronie schodów.

— Proszę, nic o tem nie wiedziałem — odparł polygon zdziwiony; — czekaj mnie więc tam, bo muszę ci kilka ważnych słów powiedzieć.

Jego ekscelencya zwrócił się znów ku damom;

Jenö zaś niezadowolony opuścił salon i udał się do swego pokoju.

Tak niedawno jeszcze, gdy tu był po raz ostatni, też same cztery ściany skromnej izdebki zawierały dla niego raj i piekło, ważące się naprzemian na szali losu; z chaotycznego tego zlania występowały wyraźnie: bezgraniczna miłość i przerażający upiór trwogi; dwa te uczucia walczyły z sobą o berło panowania, ścierały się bezustannie. Szczęście i śmiertelna obawa, to ołtarz weselny, to rusztowanie, kolejno opanowywały jego wyobraźnię. Teraz już wszystko skończone. Piekło i raj znikły, ich miejsce zajęła jałowa proza codziennego życia.

Jego ekscelencya długo jakoś bawił na dole.

Z tego oczekiwania wyrwał go nagle szelest jedwabiu u drzwi; ktoś je odemknął bez szmeru i w miejsce Ridegvarego stanęła na progu panna Alfonsyna.

Zdawało mu się, że zmysły chyba go łudzą.

Alfonsyna odbiegła niepostrzeżona całe towarzystwo.

Była dziwnie wzruszoną, pomieszaną; przyjście jej wydawało się skutkiem jakiegoś wzburzenia chwili. Rzuciła się ku Eugeniuszowi, padła w jego objęcia, rękoma otoczyła mu szyję i drżącym, namiętnym głosem szepnęła:

— Chcą nas rozdzielić!

— Kto? — spytał Jenö zupełnie nieprzytomny, przerażony jej nagłem wejściem, uściskami i wymówionemi słowy.

— Oni! oni!—zawołała panna stłumionym głosem, wybuchając nagle spazmatycznym płaczem i przytulając się do Eugeniusza jeszcze silniejszym uściskiem.

Przerażenie Eugeniusza wzrastało.

— Na miłość Boską, Alfonsyno, bądź ostrożna. Za chwilę nadejdzie Ridegvary. Gdyby cię miał zastać...

Biedny, poczciwy chłopak dbał więcej o dobre imię Alfonsyny, niż ona sama.

— Oh, on tu nie przyjdzie tak prędko — zapewniała go. — Rozmawiają na dole oboje z matką; postanowili już, że masz natychmiast powrócić do swego mieszkania. Nie możesz już nadal u nas pozostawać. Oh, wiem ja, czem się to skończy. Chcą nas na zawsze rozdzielić!

Eugeniusz czuł zawrót głowy; każde jej słowo padało mu kamieniem na piersi.

Panna Plankenhorst zaś mówiła dalej, coraz to goręcej, coraz to namiętniej:

— Ale oni nas nie rozerwą; ja im tego nie dam dokonać. Pozostanę twoją, twoją na wieki, na śmierć i życie twoją. Twoją małżonką, twoją niewolnicą na dolę i niedolę życia—bo ja cię ubóstwiam, uwielbiam, jam gotowa iść z tobą na śmierć, w samo piekło!...

Jenö upadł drżący na kolana i namiętnym objął ją uściskiem.

Piękną syrenę przebiegł dreszcz nerwowy, z lękiem odtrąciła go od siebie!

— Eugeniuszu! spokoju! ty mi dziś być musisz rozumem, gdym mój utraciła. Któż, jeśli nie ty, obroni mnie przeciw mnie samej?

— A teraz przysięgam ci, mój przyjacielu, mój ukochany, moje wszystko, że należeć będę do ciebie, lub do grobu. Żadna moc ziemi nie wydrze mnie z twych objęć, dla ciebie zrzeknę się z radością rodziny, wiary, własnej matki, gdyby nam miała stanąć na drodze do szczęścia. Z tobą pójdę na wygnanie, z tobą gotowam o żebraczym chlebie świat przebiegać. Cokolwiekbądź stanie się twym udziałem—życie lub śmierć—ja je z tobą podzielę.

Uroczystość chwili odebrała Eugeniuszowi resztę rozsądku. I on chciał przysięgać.

Ale ukochana położyła delikatną swą dłoń na jego ustach.

— Nie mów, nie przysięgaj! znam twe serce do głębi. A zresztą jesteś mężczyzną—dość ci chcieć— na co ci przysięgi!

I raz jeszcze uścisnęła mu rękę, potem wybiegła pośpiesznie.

W drzwiach już otwartych zwróciła Alfonsyna twarz swą zapłonioną i z uśmiechem rozkosznym, z promieniejącym radością wzrokiem od ustek swych uroczych przesłała mu jeden jeszcze pocałunek.

Zniknęła.

Jenö pozostał oszołomiony; myśli jego błąkały się chaotycznie.

Byłaż to rzeczywistość, czy sen?

Ani sen, ani rzeczywistość, tylko poprostu — komedya.

Biedny, łatwowierny chłopcze!

Banda kuglarzy bawi się tobą, a smutna to, krwawa zabawa.

Alfonsyna, opuściwszy Eugeniusza, nie powróciła już do salonu, gdzie dotąd Ridegvary układał się z panią Antoniną, lecz udała się do pokoju swej panny służącej.

Betty doniosła jej, że siostra Remigia czeka na nią w sypialni; zanim pójdzie do jaśnie pani, chciałaby pomówić z jaśnie panną.

Alfonsyna otarła starannie ślady łez z twarzy, w czem jej dzielnie dopomagała Betty, różnemi toaletowemi bielidłami nacierając zaczerwienione oczy i rozpalone policzki, poczem panna Plankenhorst udała się do siostry Remigii.

Kilka słów tylko miały z sobą zamienić.

— Czy tu jest Palwicz?—spytała Alfonsyna.

— Wczoraj powrócił — odpowiedziała zakonnica—daremnie ścigał Baradlay'a, nie mógł go już dopędzić.

— Czy odpowiedział co na mój list?

— Tak jest.

Siostra Remigia oddała list, a sama korytarzem przeszła do salonu pani Antoniny.

Alfonsyna pozostała z listem w ręku w swej sypialni. Zamknęła wszystkie drzwi starannie, aby jej nikt nie naszedł. Potem usiadła przed stolikiem, złamała pieczątkę i czytała następujące wyrazy:

„Łaskawa pani!

Skoro mi zdołasz odnaleźć to, coś umiała porzucić, wtedy też odzyskasz to, coś utraciła."

Twarz Alfonsyny nie potrzebowała już bielidel—tak strasznie, przerażająco była teraz bladą; oparła o stół rękę, w której list trzymała, głowę zwiesiła na poręcz krzesła; list drżał w jej ręku.

Nieruchomie wpatrzyła się w światło lampy.

Blask jej przyćmiewał klosz porcelanowy; na nim malowany był obraz dość pospolity: anioł, unoszący w obłoki śpiącą dziecinę.

Piękna pani patrzyła tak uparcie w przezrocze tego obrazu, jakby się chciała dowiedzieć, dokąd anioł z dziecięciem uleci.

. . . . . .

Jenö u drzwi swego pokoju wyczekiwał aż ostatni gość się oddali z salonu, aby pobiedz do pani Antoniny...

Była już sama w swoim buduarze.

— Pani baronowo — rozpoczął najmłodszy Baradlay — od wczoraj odmieniło się wiele; pozwól mi pani ufać, że jedno pozostało niezmiennem: mój stosunek do panny Alfonsyny, który wzrósł w oczach pani baronowej. Dla mnie ten stosunek jest kamieniem węgielnym bytu. Racz mi, pani baronowo, powiedzieć, czy w tej mierze zachodzi jaka różnica między dniem wczorajszym a dzisiejszym?

Pani baronowa bynajmniej za złe nie wzięła tej otwartej przemowy, przeciwnie, męzkie wystąpienie Eugeniusza, przyjemnie ją zdziwiło.

— Mój kochany panie Baradlay, pan to wiesz dobrze i możesz być tego pewnym, że jesteś nam zawsze równie drogim. W tej mierze nie dostrzegłeś pan zapewne dotąd żadnej zmiany i nie dostrzeżesz jej nigdy. Moja córka nie kryje się ze swą skłonnością dla pana i nie myśli o nikim innym; dla mnie związek z rodziną Baradlay'ów będzie zaszczytem. Z tej strony nie byłoby więc żadnych przeszkód. Nie sposób przecież, aby uszła uwagi pańskiej zmiana, jaką przyniósł z sobą nowy zwrot rzeczy, a zmiana ta polega na tem, mój kochany panie Baradlay, że pan... no, czyż pan nic nie zgadujesz?

— Nie mogę się domyślić, o czem pani baronowa chce mówić.

— Nie? hm! czemże pan jesteś teraz?

— Ja? niczem.

— To właśnie chciałam panu powiedzieć; od dnia dzisiejszego jesteś pan niczem. Świat cały podzielił się na dwa nieprzyjacielskie obozy, z których każdy pragnie wypłynąć. W tej walce mogą jedni lub drudzy odnieść zwycięztwo; możebnem jest nawet pojednanie, które jednych i drugich wyniesie. Ale w każdym razie straconym człowiekiem jest ten, co nie należał do żadnej z obu partyj. Kancelarya nadworna, w której pan poprzednio pracowałeś, została zwiniętą. Miałeś pan wolny wybór zwrócenia się w którąkolwiek stronę. Mogłeś pan, idąc za przykładem braci, udać się do Budy w służbę węgierskiego rządu; tam byłbyś został może jakim rządcą wydziału lub sekretarzem ministeryum, jak niejeden z pańskich dawnych kolegów. Lub też, jeśli pan to uważałeś za stosowniejsze, trzeba było iść jedną drogą z dawnymi swymi przyjaciółmi i dziś razem z nimi powrócić. Gdybyś pan był obrał ostatnie, miałbyś dziś stanowisko. My kobiety nie bawimy się w politykę, wierzymy na słowo mężczyznom i pozwalamy im się prowadzić. Córka moja byłaby z pewnością udała się razem z panem do Pesztu, do

Budy, gdziekolwiek chciałbyś pan wreszcie — choćby na koniec świata, a wszędzie zastosowałaby się do barwy tam panującej. Ale pan wolałeś pozostać na uboczu, nie przechyliłeś się na żadną stronę, wahałeś się ciągle i dziś należysz do tych, na których żadnej nie zwraca się uwagi. Przebacz pan, że tak otwarcie z nim mówię.

Jenö zagryzł wargi; przeczyć nie było można. Jedynem jego usprawiedliwieniem była miłość, a czuł, że ta go usprawiedliwić nie zdołała.

— Prawda, że jako szlachcic, jako syn węgierskiego magnata, zawsze możesz pan zająć w świecie dość wysokie stanowisko. W tym względzie jednak nasuwają się dwie uwagi, których żadną miarą milczeniem pominąć nie mogę. Naprzód, że pan jesteś nieletnim, a powtóre, że dobra pańskie leżą na Węgrzech. Jakie tam są obecnie stosunki, dobrze to panu wiadomo. Czytałeś pan historyę francuskiej emigracyi i przypominasz sobie niezawodnie tę moc margrabiów i wicehrabiów zeszłych na żebraków, którzy zaleli zagranicę. Dziś ziemię bierze jeden zwycięzca, jutro drugi. Wlicz pan w to jeszcze, że rodzina pańska, na której mógłbyś się oprzeć, nienawidzi nas śmiertelnie. Ja zaś nie jestem ani dość bogatą, aby prowadzić dwa domy, ani tak zdolną do poświęceń, aby dla miłości mych dzieci zrzec się zupełnie świata. Wypowiedziałam panu wszystko szczerze i otwarcie. Nie bierz pan słów moich za odmowę; nie chciałabym, ażebyś pan mnie źle zrozumiał. My pana serdecznie lubimy i pragniemy tego związku istotnie. Nie myślę bynajmniej, jak teść Jakubowy, wyznaczać panu siedmioletniego terminu; skoro tylko uda się panu zająć jakiekolwiek wybitniejsze w świecie stanowisko, skoro przestaniesz pan należeć do katoryi ludzi, na których nie zwraca się uwagi, wówczas ja pierwsza przyjmę pana z otwartemi rękoma. Jeśli to jutro nastąpi jutro — jutro... Bóg z panem!

Jenö na całą tę tyradę nie miał odpowiedzi, nie pozostało mu nic więcej, jak otrzymaną nauczkę zachować w sercu i zabrać z sobą do swego mieszkania.

Tam będzie mógł spokojnie oddawać się rozmyślaniom o wynalazczych, niewyczerpanych w pomysły kaprysach losu, który biednym śmiertelnikiem rzuca jak piłką i w chwili, gdy tenże marzy poetycznie o wszystkich mękach, jakie mu gotuje dzień jutrzejszy, gdy przed oczyma snują mu się krwawe obrazy własnej śmierci, własnego pogrzebu — nagle zsyła nań najprozaiczniejszą, najcodzienniejszą katastrofę. A niemniej jednak był to pogrzeb. Jenö wiedział już teraz, co to znaczy być złożonym do trupiarni. I nie może nic nawet przeciwstawić tej kobiecie, która go z takim wdziękiem kładzie w ziemię, grób jego pokrywa darniną, ba—nawet zasadza mu nad głową wierzbę płaczącą i cieszy go błogą nadzieją zmartwychwstania.

— Pan jesteś niczem — powiedziała mu. I zaprzeczyć temu nie sposób.

Na domiar, miesięczna gaża, którą mu zwykle przysyłała matka, na ten raz go nie doszła, wskutek czego w ostatnich dniach narażony był nawet na pieniężne kłopoty.

Próżna sakiewka ma coś z własności kamfory— otrzeźwia.

Serce go nawet nie boli; „nic" nie ma do tego prawa; jemu trzeba być milczącym, pokornym i nie zawadzać ni sobie, ni drugim.

Nim się jednak rozpatrzył w tem nowem swem położeniu, wszedł służący z oznajmieniem, że jego ekscelencya pan Ridegvary go odwiedza. Czy miał powiedzieć, że pana nie ma w domu?

Jenö pomyślał, że człowiek leżący pod ziemią, winien mieć w grobie towarzysza—kreta.

Niechajże sobie wchodzi w imię Boże. Uciec przed nim niepodobna.

Pan Ridegvary powitał Eugeniusza z serdecznością, w której widocznym był przymus.

— Sam tu przyszedłem, mój synu, zamiast cię wezwać do siebie, dlatego, że stoję w hotelu i w przyległych pokojach mógłby kto dosłyszeć naszą rozmowę; a mam ci ważnych udzielić wiadomości. Proszę cię, usiądź!

Ridegvary usiadł na sofie i zmusił Eugeniusza, aby zajął miejsce naprzeciw niego, po drugiej stronie okrągłego stolika.

— Naprzód mam ci list oddać. Jest to list od twojej matki. Schowaj go, bo w nim są pieniądze; przeczytać możesz później. Wiesz zapewne, że głównodowodzący armią oblężniczą od dwóch już tygodni przejmował wszystkie poczty, aby żadna wiadomość z nieprzyjacielskiego obozu nie doszła do miasta. Wszystkie listy otwierano; rozporządzenie to było konieczne. Przypadkowo poznałem na kopercie tego listu rękę twej matki i uratowałem go od losu innych; na moją prośbę oddano mi go; nikt go nie czytał. Zresztą napewno list ten traktuje o rzeczach, któreśmy już przebyli i o których osobiście niezawodnie pomówi z tobą matka, może już za kilka godzin.

— Miałażby tu być moja matka? — spytał Jenö zdziwiony.

— Istotnie, kręci się tu podobno — i żeś się z nią nie spotkał dotąd, to chyba z tego powodu, żeś głównie przebywał u Plankenhorstów, do których ona z uzasadnionych pewnie przyczyn nie chciała się udać. Tego wszakże możesz być pewnym, że była już tu ze dwadzieścia razy i że dziś jeszcze przyjdzie.

— Ale cóż tu robi moja matka?

— Nic dobrego. Niestety, dowiedziano się już, że przybyła tu, aby skłonić brata twego, Ryszarda, do przejścia z całym swym szwadronem na stronę węgierską.

— I namówiła go?

— Tak! Ryszarda ścigają już od trzech dni. Schronił się wprawdzie w Karpaty, ale ztamtąd nie będzie mógł konno przedostać się przez granicę. Matka twoja zaś ukrywa się w mieście i należy do listy tych osób, na które wyrok uwięzienia już wydany.

— Święty Boże! — wykrzyknął Jenö, zrywając się z krzesła.

— Ale siedźże! Do jutra rana nie ma żadnego niebezpieczeństwa. W mieście wprawdzie sporo jest wojska, ale władze cywilne jeszcze nie są w biegu. Jawna i tajna policya dotąd nawet nie zorganizowane. To nie idzie tak spieszno, jakby ci się zdawać mogło. Wszystko jeszcze w chaotycznym nieładzie. Kto chce uciec, może się schronić z domu do domu, z ulicy na ulicę przez tę jedną dobę zwłoki. Z miasta tylko nikt ujść nie zdoła, bo rogatki są strzeżone; każdego przechodnia zatrzymują, a kto nie okaże paszportu, zawizowanego przez nowe władze, tego prowadzą prosto do więzienia. Najzręczniejsze nawet sfałszowanie podpisu, stempla i pieczęci na nicby się tu nie przydało, paszporty bowiem opatrzone są tajnemi znakami, których brak zdradza skompromitowanych. To też wyjście z miasta jest niemożliwe.

Eugeniuszowi zdawało się, że na barki jego kładł się w tej chwili cały Atlas niemożliwości i że ziemia cała wirowała z nim strasznem kołem.

— Ze słusznych wprawdzie powodów—ciągnął dalej Ridegvary—zachowałem dla twej rodziny gorzkie wspomnienia; bądź co bądź wszakże, nie mogę patrzeć obojętnie, aby wdowa po twym ojcu tak smutnie kończyć miała. Patrz, wystarałem się dla niej o paszport; skoro więc do ciebie przyjdzie, zechciej go jej oddać; z tym kawałkiem papieru łatwo się jej będzie z miasta wydobyć. Paszport jest na imię lady Tankervill. Twoja matka dobrze mówi po

angielsku, żadnych więc nie dozna trudności przy wyjeździe z miasta.

Ridegvary czytał zdumienie w rysach Eugeniusza.

— Wiesz, mój chłopcze—mówił dalej— jak bezwzględnie matka twoja i bracia odtrącili mnie od siebie, ale ten czyn, choć bolesny, nie pozostawił w mej piersi nienawiści. Przekonania nasze są różne, a ja umiem szanować przekonania przeciwnika nawet. Dla politycznych przekonań można iść na śmierć niechybną, gubić się wzajem, ale nie wolno się nienawidzić. To też ja nie zapominam nigdy o uczynionym twemu ojcu ślubie: czuwania nad jego rodziną. Paszport tu zostawiam, a resztę powierzam twemu rozsądkowi, starajże się odwrócić od swej familii grożące jej nieszczęście.

Dreszcz przeszedł Eugeniusza, gdy dotknął paszportu. Przerażała go myśl, że w jego rękach spoczywał los matki. Jakaż straszna odpowiedzialność, jeśli rzeczy nie pójdą pomyślnie.

— A teraz pomówmy o tobie — rzekł pan Ridegvary, zmieniając ton mowy. — Z członków twej rodziny ty jeden tylko jeszcze, jak w to pragnę wierzyć, przyznajesz mi prawo sterowania swym losem. Zechciej mnie dobrze pojąć! Nie myślę bynajmniej mieszać się w twoje sercowe sprawy, chciałbym pomówić wyłącznie o kwestyi twego bytu. Pozostając w czasie dni marcowych w Wiedniu, udowodniłeś tem jasno, jak się zapatrujesz na obecne przewroty. Najrozumniejszem w całej tej sprawie jest zachowanie neutralności i absolutnej obojętności. W tym przypadku i ja się znajduję. Człowiek rozsądny, człowiek spokojnej, zimnej rozwagi, nie rzuci się na oślep w wir namiętności, nie wiedząc o tem, po której stronie będzie zwycięztwo. Z tego powodu jednak geniusz nie może, nie powinien skazywać się na zwichnięcie świetnej karyery.

Nazwa geniuszu, i to z ust tak surowo sądzą-

cego człowieka, połechtała przyjemnie próżność Eugeniusza.

— Słusznie uczyniłeś—mówił pan Ridegvary—żeś się nie związał podczas rozruchów ni z jedną ni z drugą stroną; ależ to nie powód jeszcze, aby twe światło chować pod korzec. Szczęśliwy przypadek zdarzył, że odemnie zależy obsadzenie pewnego ważnego miejsca. Zdolności twoje pozwalają mi przypuszczać, że jeśli kto, to ty będziesz najodpowiedniejszym do zajęcia tej posady. Chodzi tu o miejsce pierwszego sekretarza przy rosyjskiej ambasadzie naszej.

Eugeniuszowi gwałtownie biło serce.

Od ojca słyszał często, że o tym świetnym urzędzie marzył dla najstarszego swego syna.

— Posada ta jest pierwszym szczeblem do świetnej karyery—prawił dalej Ridegvary—i jako oddalona od pola działalności wyważonego z swych posad naszego społeczeństwa, ma ona za sobą tę jeszcze dogodność, że umożliwia zupełne usunięcie się od towarzystwa, w którem dziś równie trudno wybrać sobie przyjaciół, jak przeciwników, w którem trudno jest pogodzić skłonności z obowiązkami. Tam staniesz ponad wszelkiemi stronnictwami, na wyżynie europejskiej, o którą nie roztrącają się nasze fale burz komitatowych. I z materyalnej strony rzecz biorąc, jest to świetne miejsce: dwanaście tysięcy guldenów rocznej pensyi, nie licząc w to odpowiednich sum reprezentacyjnych. A potem, co za przyszłość ono otwiera! Masz do niej drogę przed sobą.

Jenö czuł zawrót głowy wobec tej olśniewającej propozycyi. Przewyższała ona wszelkie jego marzenia.

Ridegvary niby nie zauważył nawet usidlającego czaru słów własnych, spojrzał na zegarek i powstał nagle.

— Zasiedziałem się u ciebie, a tam mnie czekają. Do jutra zostawiam ci czas namyślenia się nad

moją propozycyą. Rozważ tę sprawę dojrzale, bo powzięte postanowienie stanowić może o całej twej przyszłości. Rozpatrz się więc wszechstronnie we wszystkich okolicznościach. Polecam ci nawet, ażebyś w tej mierze zasięgnął rady matki; być może, że znajdzie jakieś ważne argumenta, zbijające moje twierdzenia. Wtedy połóż je na szali przeciw moim, i wedle tego, co przeważy, postanów.

Wyszedł, pozostawiając Eugeniusza samego

O, jego ekscelencya wiedział dobrze, jak świetne te propozycye podziałały na miękki umysł Bradlaya. Pilnie strzedz się będzie rozmowy o tym przedmiocie z matką. I wtedy nawet, gdy łaskawie oddany mu list jej przeczyta.

Skoro tylko wyszedł pan Ridegvary, złamał Eugeniusz pieczątkę listu; więcej niż zawarte w nim pieniądze zajmowała go treść dołączonych kilku wierszy. Matka pisała je własnoręcznie.

„Kochany synu! Przeczytałam list twój, w którym mnie prosisz o współudział w twem szczęściu i miłości dla kobiety, którą nazywasz swą narzeczoną. Skoro twe serce napełnia szczęście, nadmiar onego i na mnie zleje. Do stanowiska, majątku, urodzenia nie przywiązuję żadnej wagi. Jeśli weźmiesz za żonę dziecko ludu, uczciwą, pracowitą, prostą dziewczynę, córkę wyrobników, ja ci dam moje błogosławieństwo i dumną będę z ciebie. Jeśli wybór twój padnie na modną, światową damę, o opinii ogólnie zachwianej, na kokietkę, rozrzutnicę z pustem sercem i głową, wtedy prosić będę Boga, aby złe w dobre swem błogosławieństwem przemienił, i ją nawet uznam za córkę. Ale, jeśli ożenisz się z taką Alfonsyną Plankenhorst, ani Bóg, ani matka nie pobłogosławią tego związku! Wtedy rozbrat między nami wieczny!“

Jak ostry sztylet słowa te przeszyły serce kochającego.

A więc lekkomyślna kobieta stoi w jej mnie-

maniu wyżej jeszcze, niż wybrana przez niego, ubóstwiana istota; najpospolitszą dziewczynę, córkę wyrobników powitałaby jako narzeczoną swego syna, lecz nie Alfonsynę!...

Czemże względem niej zawiniła Alfonsyna? Jakiego wogóle dopuściła się występku? Skoro się kobiety wmieszają w politykę, namiętność ich nie zna granic, ani kresu, ani celu. Ale i wtedy nawet antypatya matki ściągaćby się mogła wyłącznie do pani Plankenhorst; Alfonsynie obce są wszelkie intrygi dyplomatyczne.

W uszach jeszcze brzmiały mu jej słowa:

— Dla ciebie zrzekam się mych zasad, mych przekonań, mojej rodziny, własnej matki nawet!

I czuł dotąd te pocałunki gorące, te namiętne uściski, co tak wymownie popierały jej słowa.

Nie dbała o gniew, o przekleństwo matki. — Gdyby mi przyszło nawet o żebraczym chlebie świat przebiegać, pójdę za tobą!

A jemu miałożby zabraknąć odwagi, ażeby tak samo czuć i mówić? Więc większą moc ma nad nim przywiązanie do matki, niż miłość dla ukochanej? Co tu ma wyrokować: słabość, czy siła? Nie jestże zależność od matki słabością, a miłość męża dla kobiety siłą? Toć on już nie jest dzieckiem! Z jakiemże szyderstwem, z jakiem urąganiem powiedziała mu przed chwilą owa druga matka: — Teraz pan jesteś niczem! jesteś człowiekiem, na którego nikt nie zwraca uwagi! Odznacz się pan czemkolwiek, zajmij jakieś wybitniejsze stanowisko w hierarchii społecznej i wtedy dopiero zgłoś się. Jeśli to nastąpi jutro, to jutro.

Jenö polecił służącemu, ażeby w razie przybycia kobiety, która się o niego pytała kilkakrotnie w ostatnich dniach, wpuścił ją natychmiast bez oznajmienia.

Daremnie jednak czekał, matka nie przybyła.

Długo w noc czuwał; wreszcie zmęczony poło-

żył się; sen jednak miał niespokojny; różnego rodzaju męczące widziadła budziły go co chwila ze spoczynku.

Ledwie mógł doczekać ranka, który jesienną porą tak leniwo się zbliża.

Matka nie pytała o niego; widocznie więc albo ją uwięziono, albo też zdołała uciec.

Zanim nie nabędzie w tej mierze pewności, nie może być spokojnym.

Jak tylko nastał ranek, w wielkomiejskiem tej nazwy znaczeniu, to jest ów czas, w którym niższy urzędniczek nie obawia się zastać swego przełożonego przy rannej kawie, kazał sobie Jenö sprowadzić dorożkę i podążył do Ridegvarego.

Pierwszem jego zapytaniem było:

— Nie wiesz pan nic o mojej matce? do tej chwili nie była jeszcze u mnie.

— Owszem wiem. Już uciekła. Tej nocy aresztowano zieleniarkę, w której mieszkaniu ukrywała się twoja matka; ta zeznała, że przebraną wyprowadziła baronowę Baradlay ogrodami warzywnemi z miasta; tam oczekiwał już na nią wóz wynajęty, a obecnie jest niezawodnie w Preszburgu.

Eugeniuszowi spadł kamień z serca.

Matka uszła niebezpieczeństwa i on już oswobodzony od matki.

Teraz może chcieć.

— Jakże? rozważyłeś już moją propozycyę?— zagadnął go Ridegvary.

— Powziąłem stanowcze postanowienie; przyjmuję miejsce sekretarza ambasady.

Ridegvary uścisnął dłoń młodzieńca.

— Byłem tego pewien. Ażebyś się mógł przekonać, jak bardzo liczyłem na ciebie, jak ufałem w twój sąd zdrowy, patrz! oto leży twoja nominacya gotowa.

Wyciągnął szufladę biurka i podał Eugeniuszowi papier.

Jenö był zachwycony tą uprzejmą pieczołowitością.

Wieszczki tylko dawnych baśni tak się troskały o swych ulubieńców.

— Jutro złożysz przysięgę na wierność, a potem z całym spokojem będziesz się mógł zabrać do uregulowania swoich interesów w Wiedniu, jak należy człowiekowi, który się na czas dłuższy wydala. Zerwij więc, co masz zerwać, a co chcesz nawiązać, zwiąż silnie.

Jenö zrozumiał tę delikatną aluzyę.

— Nie stanie się to bez waszej wiedzy, ekscelencyo.

— Pojmuję. Śpiesz więc, dokąd ci najpilniej.

Pani Plankenhorst dnia tego jakoś niezwykle szybko załatwiła się ze swą toaletą. Temu też zawdzięczała jedynie, że ją Jenö nie napadł w garderobie, bo bezwątpienia i tam byłby jej poszukał.

Dziwić się nawet nie można, że wczorajszy koncypient zniesionej kancelaryi, który wzamian za skromny swój etat dwóch tysięcy guldenów otrzymuje posadę z roczną pensyą dwunastu tysięcy reńskich, gotów głową przebić drzwi, które wczoraj zamknęła mu matka ukochanej, jako odrzuconemu zalotnikowi.

Niemniej przeto pani Plankenhorst udawała niezmiernie zdziwioną.

I on się nie spodziewał czego innego, naprzód już cieszył się tem zdumieniem, jakie wywoła.

Z całą też pewnością siebie postąpił ku dumnej kobiecie i rozpoczął przysposobioną przemowę.

— Łaskawa pani zapewne przypomina sobie słowa, które wczoraj do mnie wyrzekła: „jeśli jutro, to jutro.“ Owo jutro nadeszło i ja jestem dziś czemś.

A na dowód prawdy swych słów podał pani Antoninie nominacyę.

Pani Plankenhorst odczytała ją z uśmiechem

przyjemnego zdziwienia, potem podała Eugeniuszowi rękę.

— Serdecznie się z tego cieszę.

Jenö zauważył, że pochylenie się w objęcia przyszłej mamy należało do konieczności chwili. Jest się przecież czemś i to czemś wielkiem.

— Wolnoż mi więc ponowić moje wczorajsze pytanie.

— Już na nie odpowiedziałam — rzekła pani Plankenhorst nadzwyczaj łaskawie. — Czy życzysz pan sobie, ażebym zawiadomiła o tem Alfonsynę?

— Błagam panią o to.

Pani Plankenhorst wyszła tylko do przyległego pokoju, zkąd powróciła natychmiast z Alfonsyną.

Panna miała minę zakłopotaną i z pewnem ociąganiem wchodziła do salonu niby nie rada, że ją niepokoją niepotrzebnie.

Ale pani Antonina podprowadziła ją do Eugeniusza.

— Sekretarz naszej ambasady u dworu rosyjskiego—wymówiła, przedstawiając.

— Ah! — zawołała przeciągle Alfonsyna, teraz dopiero podnosząc oczy i z wdziękiem wyciągnęła ku niemu drobną swą rączkę.

Jenö pochwycił ją drżący.

— Zatrzymajże pan na zawsze tę rękę -- szepnęła pani Antonina z życzliwym uśmiechem.

Za tę macierzyńską delikatną niedyskrecyę rzuciła się Alfonsyna na szyję mamie, prawdopodobnie, ażeby ukryć rumieniec zawstydzenia; Jenö zaś pochwycił rękę przyszłej świekry i ucałował ją z zapałem, wzamian za co poczuł na swem czole mroźny pocałunek; zdawało mu się, że go dotknęły usta marmurowego posągu.

Alfonsynie nie sposób było podnieść raz spuszczonych powiek. Wszakże to był już jej narzeczony.

— Kiedy pan chcesz, abyśmy uroczyste obcho-

dzili zaręczyny?—spytała pani Antonina.—Wszak jutro, nieprawdaż? O dwunastej w południe? Czy nie umiem zgadywać pańskich myśli?

Jenö nie miał dość słów na wyrażenie swojej wdzięczności.

— A więc jutro o dwunastej. Panu oczywiście wolno przyjść już wcześniej. Nie prawdaż, Alfonsyno?

Tu Alfonsyna uznała za stosowne ponownie ukryć twarz w koronkową krezę mamy.

— No, odpowiedz przecie. Wszak to do ciebie należy.

Interpelowana zdołała zaledwie wyszeptać cichuteńko:

— Tak.

Cóżbo winna temu dziewica, że sama ta myśl, iż ją jakiś mężczyzna pragnie mieć za żonę, wprawia ją w takie pomieszanie? To okropne.

Ale owo wyszeptane „tak“ uszczęśliwiało nad wyraz Eugeniusza. Uszczęśliwiało go tak dalece, że już zapomniał nawet swej nominacyi na stole salonu; ale sama pani Antonina dogoniła go i skorzystała z tej sposobności, ażeby raz jeszcze uścisnąć rękę swego przyszłego zięcia i z wyrazem zachwytu zawołać:

— Jestem z ciebie dumną, panie Eugeniuszu!

Jenö pobiegł do domu. Czuł, że teraz dopiero żyć zaczyna.

To, co leżało po za nim, było raczej wegetacyą. Dziś dopiero stał się człowiekiem.

Szczyt swoich marzeń osiągał w jednym dniu. Stanie się ważną osobistością i małżonkiem, godnym zazdrości ogółu...

Cały świat zdał mu się innym.

A jednak i to jego szczęście nie było bez chmurki, jak słońce listopadowe, co jaśnieje na niebie, a nie zdoła przebić się przez mgły owijające zię-

mię; połowa blasków jego promiennych rozpryskuje się i ginie, nie ogrzewając świata.

Ową mgłą, zaćmiewającą blask jego szczęścia, jest myśl, że matka nic o tem nie wie, że to się dzieje wbrew jej woli, że nie podzieli jego radości.

Szczęście to osiągnął, nie zwalczywszy zarzutów matki, nie zwyciężywszy kochającego macierzyńskiego serca samą potęgą swej miłości. Nie, on uciekł przed nią, ukrył się, jak tchórz przed niebezpieczeństwem, i dziś nawet czuje tajoną radość, że uniknął spotkania się z nią, że mu oszczędzono tej walki.

Jakiś duch niepokojący nie odstępuje jego boku, jakieś widmo zakłóca mu sny ambicyi i szczęścia jednem w ucho słowem: „tchórzu!“

Daremnie radby ten głos zgłuszyć, daremnie się przed nim usprawiedliwia i wmawia w siebie, że cieszy się z tego wyłącznie, iż matka uszła przed niebezpieczeństwem. — Kłamiesz — szepcze mu sumienie—ty się cieszysz, żeś uszedł przed matką.

Im bardziej wieczór się zbliża, tem więcej potężnieją wyrzuty sumienia. Dłużej już nie może wytrzymać w czterech ścianach swego pokoju; musi wyjść na miasto, choć ani ulice, ani lokale Wiednia nie nastręczają dziś jeszcze wiele sposobności do rozrywki.

Gdy stał przed lustrem, wiążąc krawat, odskoczył nagle przerażony.

Owo widmo, którego się tak obawiał, które mu bezustannie rzucało w ucho krwawą obelgę, wcieliło się niespodzianie i wystąpiło z ciemności pokoju.

Widzi matkę.

— Matko—zawołał Jenö, a strach tamował mu głos w gardle.

Równocześnie poczuł na swej twarzy gorączkowy pocałunek matki. Jakiż różny od tego, który dziś rano złożyła mu ową drugą matką na czole.

— Zkąd tu przychodzisz, droga moja, ukochana matko?

— Daleką przebyłam drogę!...

— Mnie powiedziano, żeś już uciekła, żeś w Preszburgu.

— Tak też było. Przez trzy dni szukałam cię daremnie; wreszcie zrzekłam się już nadziei znalezienia ciebie i opuściłam Wiedeń. W Preszburgu jednak dowiedziałam się czegoś, co mnie znaglilo do powrotu.

— Czemuż powróciłaś, mateczko?

— Aby pomówić z tobą.

— Pocóż było się narażać? Alboż nie dość było zawiadomić mnie, byłbym zaraz pośpieszył do ciebie. Czemuż nie rozkazałaś mi, matko?

— O, mój synu, jam się oduczyła rozkazów. Przybyłam tu nie po to, aby rozkazywać, ale po to, aby błagać. O, mój synu, nie lękaj się mnie. Nie uważaj mnie za widmo, co staje między tobą a twemi życzeniami. Ja ciebie nie chcę zachwiać w tem, coś już postanowił, nie chcę cię do moich pojęć nakłaniać. Przyszłam tu po to jedynie, aby cię o coś błagać.

— Matko, zaklinam cię, nie przemawiaj tak do mnie!

— Przebacz mi, nie chciałam cię drażnić. Przed kilku dniami miałam jeszcze prawo stawiać żądania mym synom, dziś już nie. Wtedy to napisałam do ciebie list. Czyś go otrzymał? Dumny list, co cię mógł zmartwić. Podrzyj go, wymaż ze swej pamięci! Gniewna kobieta go pisała. Dziś ta gniewna, dumna kobieta już nie istnieje. Tak, ciężkie ciosy upokorzyły nas, zgięły, a nie tak prędko koniec im będzie. Dziś, jam biedna, żałobna wdowa, co nad otwartemi grobami swych synów żebrze miłosierdzia. Kogo o nie prosi? Sama nie wie. Może tych mogił, aby się nie zawarły nad swemi ofiarami.

— Droga mateczko, toż twoi synowie żyja wszyscy!

Oczy kobiety z po za łez błysnęły gromami. Gwałtownie pochwyciła rękę Eugeniusza.

— A czy ty wiesz, jakie ich życie? Czy wiesz, gdzie oni teraz? Jeden bije się za Karpatami, w ojczyźnie. Jest ścigany, otoczony, zamknięty ze wszech stron; u stóp jego leży bezdenna przepaść wezbranego gór potoku. Nad głową szaleją burze i sępy krążą stadami. Jeśli go wróg nie pochwyci, nie uwięzi, jeśli nie zginie z głodu, jeśli nie zatonie w falach, może szczęśliwie dotrze do placu boju. Tam go już czeka mój syn drugi na czele oddziału ochotniczego. Czy ty wiesz, z jakich wojowników składa się ten zastęp? Z niedorostków, dzieci prawie, co uciekły swym matkom, z ojców rodzin, co żony i dzieci pozostawili w domu. Zdaje się, straszliwa jakaś gorączka szaleństwa gna ich na plac boju po śmierć niechybną.

— Ale czemuż biegną tam po zgubę?

— Czemu? Bo innego ratunku nie znajdują na ten ból dojmujący, głęboki, co wgryzł się w ich serca.

— A jeśli zwyciężą? Matko, przecież mogą zwyciężyć!

— O, tak! jak Bóg żywy, oni zwyciężą. Ale to im się na nic nie przyda. Ze zwycięztw tych wyrośnie większa jeszcze dla nich niedola. Cudów waleczności dokazywać będą, zmuszą świat, aby ich uczcił; gwiazda ich rozbłyśnie jasno na horyzoncie Europy, pogrążonej w nocy ciemności. Ale tem gorzej dla nich. Wyrok na nich już zapadł; już go przypieczętowały wszystkie mocarstwa świata. Jeśli ich pierwszy cios w proch nie zetrze, zadadzą im drugi, dopókąd nie upadną. Dowiedziałam się o tem w Preszburgu z przejętych listów i to mnie tu sprowadziło. Pozwól mi usiąść; daleką przebyłam drogę i to po większej części pieszo.

— O, biedna, kochana moja matko!

Jenö pociągnął matkę na sofę obok siebie i otoczył ją swemi ramionami.

— Jakże nie miałam tu powrócić, aby cię raz jeszcze zobaczyć, raz ostatni w życiu.

— O, nie mów tego, matko moja!

— Odjeżdżasz od nas daleko i biada nam, gdybyś miał powrócić. Dumni ludzie ułożyli plan zręczny, aby się pomścić na twej matce za to, że ich upokorzyła.

— Któż są ci ludzie?

— Twoi przyjaciele, twoi protektorowie. O, nie obawiaj się, ja im zlorzeczyć nie będę. Oni ci lepszą gotują przyszłość niż ta, której jabym pragnęła dla ciebie. Jabym cię popchnęła do zguby — oni cię ratują. Życie, którebym ja ci wybrała, byłoby twardem, pełnem cierni, odartem z wszelkiej radości; oni obdarzają cię miłością i świetną karyerą. Ja z nimi nie mogę podjąć walki. Nie, mój synu, wy macie słuszność — ty i oni. Myśmy marzyciele, co dlaczegoś niepochwytnego, dla idei, dla sennej jakiejś mary, poświęcamy życie całe, idziemy na męki, na śmierć nawet. Obyś nas nigdy nie zrozumiał! Pozostań szczęśliwym człowiekiem. Idź z tymi, co chcą zawrzeć przymierze z mocarstwy Europy przeciw twej buntowniczej ojczyźnie. Jako Węgrów boli ich to niezawodnie, jak boli ciebie, że na własną matkę, na własnych braci naprowadzać muszą nieubłaganego wroga. Czynią to przecież w przeświadczeniu, że matkę i braci ujarzmić potrzeba, że tego wymaga ich dobro. Herbowa tarcza Baradlayów splamiła się dwoma imionami: Oedöna i Ryszarda. Twoje imię ją ozloci, nowym odświeży ją blaskiem. Jakimże świetnym protestem będzie dla świata wieść, że przeciw dwom braciom odszczepieńcom stanął ich własny brat trzeci, aby przyzwać na kraj swój potężnego sprzymierzeńca.

Twarz Eugeniusza była blada, jak ściana; nie-

ruchomym wzrokiem spoglądał przed siebie. O tem nikt mu nie powiedział. A przecież powinien sam się był tego domyśleć.

— Wynik nie może być wątpliwym, to pewna—mówiła dalej matka.—Myśmy zgubieni. Ale ty ocalejesz. Nie możemy podjąć walki z dwoma mocarstwami, z dwiema takiemi potęgami. I choćbyśmy byli wszyscy ze śpiżu, pochłonie nas ten potok wrzącej lawy — pogrzebie. Bracia twoi padną, jeden tu, drugi ówdzie. Śmierć jest równie łatwą wszędzie. Ale ty będziesz szczęśliwym, położysz kamień węgielny dla nowej rodziny. Staniesz się głową rodu Baradlayów, małżonkiem pięknej kobiety, której ci ogół będzie zazdrościł; wysoko położonym, wpływowym człowiekiem, dumą nowej ery.

Gorycz słów, jakiemi matka kreśliła świetną jego przyszłość, ciężkiem brzemieniem padała na głowę Eugeniusza.

— Niezadługo wielu nieszczęśliwych, zrozpaczonych przychodzić będzie do ciebie i proch twych stóp całować i błagać o łaski. Będziesz mógł czynić wiele dobrego i wiem, że czynić będziesz, bo masz serce poczciwe, kochające ludzkość, wrażliwe na ludzką niedolę. W rzędzie próśb, które tobie, jako wielkiemu, potężnemu panu, u nóg składać będą, znajdziesz i moją; nie zapomnij tedy o niej, mój synu. Pomyśl, że ja byłam pierwszą z tych, co cię błagają.

Jakże był ciężko upokorzonym! Gdybyż to, co mu mówiła matka, było szyderstwem przynajmniej, ale nie, to była nieubłagana prawda.

— Nie proszę cię za sobą, ani za twymi braćmi. Nas wkrótce doścignie los przeznaczony. A choćby on się zawahał, wierzaj mi, my mu się sami oddamy w ręce. Twój brat, Ryszard, jest bezżennym; po nim nikt nie pozostanie. Ale Oedön ma dzieci, dwóch ślicznych, miluteńkich chłopców. Młodszy urodził się dopiero przed miesiącem. Niezawodnie

za twe wielkie zasługi świetnie cię wynagrodzą. Zabiorą dobra twych braci i oddadzą je tobie w posiadanie.

Jenö zerwał się przerażony z siedzenia, jak Saul, gdy czarownica z Endoru wywołała przed jego oczy ducha proroka.

— A gdy będziesz wówczas bogatym i możnym panem, gdy posiądziesz to wszystko, co my dziś z tobą dzielimy, gdy będziesz opływał w szczęście i zaszczyty, wtedy, synu mój, przypomnij sobie o tej chwili, o słowach, jakiemi cię błagała matka: synu! nie dozwól, aby dzieci twego brata poszły żebrać!

— Matko! — zawołał nieprzytomny, dręczony strasznemi wyrzutami sumienia Eugeniusz i rzucił się ku biurku, z gorączkowym pospiechem wyciągnął szufladę, pochwycił z niej swą nominacyę i podarł ją tak gwałtownie, że kawały papieru rozbiegły się po całym pokoju.

Potem z płaczem rzucił się matce na szyję.

— Matko, ja tam z nimi nie pójdę!

Radość, jaką te słowa napełniły serce kobiety, nie da się z niczem porównać. Jakże całowała, jak tuliła do piersi to najmłodsze, najukochańsze swe dziecko!

Nie wahała się nawet wyznać mu, że jej był najdroższym ze wszystkich trzech synów.

— Wszak pójdziesz ze mną, moje kochane dziecko?

— Pójdę, mateczko.

— Ciebie ja nie pozwolę w wir walki pociągnąć. Ty musisz pozostać z nami. Będziesz naszym pocieszycielem. Ja chcę, abyś ty żył, abyś był jeszcze szczęśliwym. Nieprawdaż, tego mi się spodziewać wolno, z czasem, w przyszłości?

Jenö westchnął ciężko. Przyszło mu na myśl to, co już dlań było straconem. Widzi gdzieś na dnie morza jakiś obraz, obraz śnionego szczęścia —

ale on martwy, nieruchomy, nie ożyje, wszakże sam go tam zepchnął.

Nie odpowiedział nic, tylko raz jeszcze uścisnął matkę. Za tę cenę, której od niego żądają, on nie chce być szczęśliwym. Za inną nie ma już dlań szczęścia.

— Uciekajmy ztąd jak najspieszniej.

Nagle przypomniał sobie paszport.

— Ten paszport leżał tu przygotowany dla ciebie, mateczko, gdybyś była przybyła wczoraj. Dziś możesz go użyć.

— Kto go ci dał?—spytała matka.

Jenö zastanowił się chwilę, jakby odpowiedzieć, nie wymieniając nazwiska.

— Dawny znajomy naszej rodziny, ten sam, który postarał się o moją nominacyę.

— I ty sądzisz, że ja przyjęłabym cośkolwiek bądź z tej ręki?

Pani Baradlay rzuciła zdarty paszport o ziemię.

— Coś zrobiła, matko? Jakże ujdziesz teraz? wszystkie wyjścia są strzeżone.

Kobieta wzniosła dumną już teraz twarz swoją w górę.

— Jakbym ja nie umiała obejść wszystkich ich straży. Weź płaszcz na siebie; ja cię poprowadzę tak, że cię żadne oko ludzkie nie wyśledzi.

* * *

A nazajutrz daremnie czekał jego ekscelencya na sekretarza ambasady, któremu miał towarzyszyć przy złożeniu przysięgi; daremnie czekały na niego narzeczona i jej matka i całe towarzystwo sproszone na zaręczyny—nie przyszedł.

Niezawodnie więc ta straszliwa kobieta uprowadziła i trzeciego syna.

Gdzie się podział, jak się mógł przedrzeć przez

pilnie strzeżone rogatki, to pozostało nierozwiązaną tajemnicą.

Nikomu nie przyszło na myśl, że w takich czasach i Dunaj jest dobrą drogą dla tych, którzy mają dość odwagi, aby nocą, w ciemności, wpośród mgły gęstej, z dwoma u steru rybakami, gotowymi na skręcenie karku, na wątłej łódce życie swe falom powierzyć.

ROZDZIAŁ IV.

Przed nimi woda, za nimi ogień.

A teraz dokąd?

Było to pytanie, rozstrzygające o życiu lub śmierci zbiegłego szwadronu huzarów.

Po jednej stronie mieli przed sobą całą armię, z której sztandarów wyrwali swoje przed chwilą; po drugiej mieli przed sobą dwie rzeki: Dunaj i Morawę; dalej łańcuch gór, Małe Karpaty. Którędy więc iść? Tam, gdzie trakty wygodne i zamieszkałe miejscowości, nie sposób, bo tam się roi od wojska, dążącego ku głównej armii; gdzie zaś znów pole wolne, tam nie ma ani drogi, ani schronienia, ani żywności.

Przez półtorej godziny jechali drożyną polną, o której wiedzieli, że prowadzi do Dunaju; skoro zaś nagle wiatr rozwiał chmury i deszcz ustał, zaczęli rozpatrywać się w położeniu.

Na prawo widniał Dunaj, którego wielkie, czarne zwierciadło rozlewało się pod oponą ciemnych obłoków.

Na prawym jego brzegu stała spalona budowla, niegdyś karczma przewoźników. Przed pięciu dniami jeszcze bronili się w niej styryjscy strzelcy przeciw oddziałowi Kroatów, przyczem zgorzała.

Tam to skierował Ryszard swój szwadron.

Okopconych murów pustkami stojącego domu nikt nie strzegł. W wielkim dziedzińcu dość było miejsce dla całego oddziału.

— No, chłopcy—przemówił Ryszard, gdy wszyscy zebrali się wokoło niego—teraz stanęliśmy u drogi, która prowadzi do ojczyzny lub do piekła. Sami to wiecie, mimo to raz wam jeszcze powtórzę: ile jest możliwych niebezpieczeństw, czekają nas one kolejno, a czasami nawet gromadnie. Dniem i nocą nie zsiądziemy z konia, musimy przebywać rzeki i bystre górskie potoki, wdzierać się na strome góry; nie wolno nam zmrużyć oka i nieraz trzeba będzie zażyć pragnienia i głodu, i nieraz wypadnie iść przebojem; kto na tej drodze ustanie — zgubiony. Dlatego nie namawiam nikogo, aby szedł za mną, ale sam idę przodem. Nie obejrzę się po za siebie i liczyć nie będę, wielu pójdzie za mną z tych dwustu dwudziestu, którzy wczoraj stanowili szwadron. Od nikogo nie wymagam przysięgi. Jest ciemno; kto się rozmyślił inaczej, ten może pozostać i powrócić. Ale skoro raz wejdzie słońce, niech wie każdy, co do tej pory szedł razem ze mną, że od tej chwili poddaje się karności wojennej i rozkazów moich musi słuchać bez sarkania i oporu. A więc za mną, kto chce! To pierwsza dopiero próba, na którą was wystawiam.

A próba ta była tego rodzaju, że pozbawić mogła odwagi tego, któryby nie śmiał zajrzeć śmierci w oczy. Rotmistrz Ryszard zamierzał w bród przejść Dunaj.

Z dawniejszych czasów, z manewrów odbywanych w okolicy, znał dobrze łożysko rzeki, jej tonie i ławy piaszczyste; dla niego i dla jego starych huzarów fraszką było przejść Dunaj bez mostu; ale młodszych strach mógł ogarnąć na widok pierwszego konia, zanurzonego po górną część uda w wodzie, za którym w ślad mieli przebyć szerokie to wód

zwierciadło, siedząc na siodle i w pełnym rynsztunku.

Na przeciwległym brzegu rzeki leżał gaik topolowy.

Tam zebrał Ryszard swych towarzyszów.

— Teraz policzmy, ilu nas jest.

Wachmistrz policzył huzarów.

— Dwustu dwudziestu.

— Nie może być—odrzekł Ryszard—zostawiliśmy przecież dwóch ludzi na pikiecie.

— Już są—odezwał się jakiś głos głęboki, w którym Ryszard poznał natychmiast często skrapiany winem bas pana Pawła.

— Jesteś już, Pawle!—zawołał rotmistrz uradowany—więc nas znalazłeś?

— Znam ja wszystkie pańskie drogi i ścieżki.

— Dzielnie się sprawiłeś, stary. Jakież wieści z obozu!

— Kiedym odjeżdżał, właśnie przeciągali kirasyerzy; szli na miasto tak, jakby nam chcieli zejść z drogi; wtedy pomyślałem sobie: po cóż mamy tu dłużej stać na pikiecie? Chodź, bratku, i dogońmy resztę.

— Nie słyszałeś nigdzie alarmu?

— Wszędzie było cicho; deszcz powygaszał wszystkie ognie.

— Cóż się stało z porucznikiem i chorążym?

— Nie chcieli iść z nami, więc zamknęliśmy ich w grobowcu.

— Jakto? żywych?

— A tak, żywych. Na drzwiach napisaliśmy, że tam są zamknięci; kogo obchodzą, może ich sobie zabrać.

— Czy i mnie bylibyście tam zamknęli, gdybym nie poszedł z wami?

— Niezawodnie, z tą różnicą tylko, że pana rotmistrza nie zamknęlibyśmy żywcem.

— Czemu nie żywcem?

— Sądziliśmy, że pańskiemu honorowi winniśmy byli tę przysługę.

— Dziękuję wam. A teraz złóżcie tak życie wasze w moje ręce, jak ja wam moje powierzam. Weź sztandar, ty go nieść będziesz. Formujcie czworobok.

Huzarzy ustawili się; w środku czworoboku stanął Ryszard i niosący sztandar.

Na wschodnim skraju widnokręgu wązki pas żółty oddzielił niebo od ziemi, jeszcze dobitniejszemi zwiastunami zbliżającego się ranka były oddalone błyski armatnich strzałów; baterye oblężnicze zaczęły już gradem pocisków obsypywać miejsce barykady.

Dzień się zaczyna!

Przy pierwszym dnia brzasku, oświetlonym dalekiemi strzały, wpośród głębokiej lasu ciszy zaprzysięgło dwustu dwudziestu ludzi swemu przywódcy ślepe posłuszeństwo, ślepą odwagę i niezachwianą stanowczość aż do chwili powrotu w rodzinne zagrody.

Gdy słońce złotą kopułą wzniosło się ponad górami, uchodzący zastęp dostrzegł, że sztandar, powiewający nad jego głową, miał dobrze mu znane węgierskie trójbarwy.

Naprzód!

— Mamy pół dnia czasu przed sobą—przemówił Ryszard — najpierwszy zauważy nasze zniknięcie Otton Palwicz, major kirasyerów. Puści się za nami w pogoń; ślady tu go doprowadzą i wtedy spostrzeże dopiero, że przepłynęliśmy Dunaj. Ciężka jego kawalerya nie zdoła tego dokonać. Będzie musiał wrócić się aż do pontonów, aby się przedostać na drugi brzeg rzeki. Tym sposobem zyskaliśmy pół dnia czasu. Jeśli do wieczora nie zsiądziemy z konia, nie dogonią nas, mimo największych wysiłków.

Ryszard rozdzielił całą gotówkę, jaką miał z sobą, między swych ludzi i zalecił im surowo, aby

gdziekolwiekbądź przyjdą, płacili za każdą rzecz wziętą i nie dopuszczali się rabunku.

Następnie puścili się w dalszą drogę. Najbliższa polna drożyna doprowadziła ich do jakiegoś zamku, własności czeskiego magnata.

Zastali w nim samą tylko panią domu.

Mąż jej należał do stronnictwa „Korony czeskiej."

Rotmistrz pomówił z samą panią, która rozkazała wydać wojsku wódkę, chleb i wędlinę, oraz owsa dla koni; Ryszardowi zaś wręczyła dokładną topograficzną mapę, w której oznaczoną była najdrobniejsza nawet drożyna aż do granic czeskiej i morawskiej, była to rzecz na razie najpotrzebniejsza.

Po dwugodzinnym wypoczynku przeprowadził ich gajowy krętemi dróżkami do sąsiedniego lasu, w którego cieniu zniknęli.

Zmrok już zapadał, gdy stanęli na dość wyniosłym pagórku, z którego w dali w okrąg widać było okolicę. W górach wszędzie dostrzedz było można płonące ogniska.

— To na naszą cześć — uśmiechnął się Ryszard. — Są to sygnały, oznajmiające naszą ucieczkę.

Przez lunetę, przy blasku tego ognia, dostrzegł Ryszard zbliżający się oddział jezdnych.

— Oni już tuż za nami; pospieszyli się bardziej, niż się tego spodziewałem.

Aby zniknąć z przed oczu nieprzyjaciela, wybrał Ryszard drogę przez głęboką dolinę.

Znał on te strony z dawniejszych polowań. Były to dobra jakiegoś austryackiego magnata. Wzdłuż doliny płynie strumień, ujęty w sztuczne łożysko, i uchodzi do wielkiego basenu, którego jedna część, odgrodzona groblą, stanowi sadzawkę, druga zaś, pędząca młyn o siedmiu kołach, używaną bywa czasami do irygacyi łąk.

Planem Ryszarda było: przedostawszy się na

drugą stronę młyna, spuścić śluzy i tym sposobem zalać wodą całą dolinę. Żadna jazda nie mogłaby ich wtedy ścigać, najmniej zaś ciężka kawalerya Palwicza.

Plan był dobrze usnuty, szkoda tylko, że Ryszard nie przewidział jednej okoliczności; przysługę, jaką zamierzał wyświadczyć Palwiczowi, jemu już wyświadczył ktoś inny.

Na skręcie drogi, cwałem biegnąc, napotkał ich Paweł z przednią strażą i zawiadomił o smutnej prawdzie; cała dolina stoi pod wodą, grobla przecięta, a młynarz mówił, że przed kilku godzinami leśniczy kazał ją właśnie przekopać.

Ryszard podjechał do młyna, woda rozlana już była dokoła; z wązkiej koszowej tamy, rozebranej na szerokość dwóch sążni, sterczały tylko pale.

Nie utracił jednak krwi zimnej.

— Ha, trudno, mniejsza oto. Wysadzić wrota młyna i położyć je na palach.

W mgnieniu oka spełniono rozkaz.

Ale konie nie chciały przechodzić po tym zaimprowizowanym moście.

— Strachują się, bo wrota są białe—zauważył pan Paweł.

— Słuszna uwaga; trzeba je narzucić szlamem—rozkazał Ryszard.

— A, tobyśmy ślicznie na tem wyszli; czortby je potem chyba podpalił.

— Racya, Pawle. Może w młynie znajdziesz trochę smoły, bo w każdym razie spalić trzeba, aby inni nie korzystali z naszego wynalazku.

I w samej rzeczy w młynie znaleziono całą beczkę smoły, którą też natychmiast most oblano.

Nie polepszyło to jednak sprawy, konie lękały się jeszcze bardziej. Kopyta ich ślizgały się po smole, a tem spowodowany głuchy łoskot przerażał je do reszty.

Pan Paweł klął jak Turek.

— A tośmy w piękną pułapkę wpadli!

— Bajki—pocieszał go Ryszard.—I na to jest rada; my dwaj zsiądziemy z koni, jeden prowadzić będzie konia za cugle, a drugi go podcinać z tyłu. Reszta niech zostanie w siodłach.

Pot lał się z czoła Ryszarda i pana Pawła.

— Dzisiaj, panie rotmistrzu, przebylem co najmniej połowę mąk czyścowych—odsapnął stary huzar, gdy już wszystkich przeprowadzili jeźdźców. Po drugiej stronie pozostało jeszcze trzydziestu huzarów razem z trzydziestu luzakami.

— Słyszę już trąbkę za nami — zawołał jeden z huzarów—zostawmy luzaków, niech się przeprawi kto może.

Ale Ryszard odrzucił tę propozycyę, nie chciał bowiem poświęcić ani jednego konia, ani jednego człowieka.

I luzaków przeprowadzono poprzednim trybem.

Odgłos trąby coraz był donośniejszym, a przyzwyczajone do zmroku nocy oko mogło już z łatwością rozeznać białe płaszcze zbliżających się kirasyerów.

Ryszard szepnął coś na ucho panu Pawłowi, którzy razem z dwoma towarzyszami popędzili ku grobli.

Następnie kazał rotmistrz pokryć most suchemi gałęźmi, na to rozlać resztę smoły i wszystko to zapalić.

Przy blasku płonącego mostu widzieć było można dokładnie oba oddziały.

— Wolno i ostrożnie po wązkiej grobli spuszczać się w dolinę!—komenderował Ryszard.

Pomiędzy tymi, którzy w tym szlachetnym sporcie najwiecej się zbliżyli do szczwanego zwierza, znajdował się sam Otton Palwicz. Czystej krwi rumak podołał trudom tej szalonej gonitwy, trwającej już dwadzieścia godzin bez przerwy.

Z Palwiczem było zaledwie dwudziestu kirasyerów; Bóg wie, kiedy reszta ich nadciągnie.

Pomimo to Palwicz się nie ociąga, ale zdąża na czele tej garstki do palącego się mostu. Tu ostrogą zachęca konia do dalszej pogoni. Ale rumak stoi jak wryty—w ogień iść nie chce.

— Rotmistrzu, Ryszardzie Baradlay!—woła Palwicz przez tę ognistą zaporę.

— Jestem tu, majorze Ottonie Pawliczu!

— Poddaj się na łaskę i niełaskę!

— Owszem, tylko przyjdź tu po mnie.

— I to nastąpi, zapewniam cię.

— Ale nie dziś.

— Dziś jeszcze z wszelką pewnością; pierwej nie spocznę.

— Spoczniesz, błoto cię zatrzyma.

— Godzinę, ale nie dłużej; w godzinę zasypię zerwaną tamę i nie przestanę cię ścigać. Nie ujdziesz mi...

— Zobaczymy...

Podczas tej rozmowy dochodził od strony sadzawki silny szum, podobny do huku spadającej wód kaskady. Palwicz dostrzegł, że nowe fale cisną się na groblę i rozszerzają jej lukę.

— No, tego nie zasypiesz w godzinę; kazałem spuścić szluzy sadzawki—zawołał Ryszard.

— Widzę, że cię dziś już nie doścignę—odparł Palwicz—ale jeśli jesteś szlachcicem, pozostań tu; jako dzielni żołnierze rozprawmy się po rycersku; woda ta i ogień niech nam będą mensurą! Czy przyjmujesz pojedynek na pistolety?

— Przyjmuję.

— Dopóty strzelać będziemy do siebie, dopóki jeden z nas z konia nie spadnie.

— Zgoda; ale przedewszystkiem niechaj się cofną nasi ludzie, bo za cóż zabijać tych dzielnych chłopców.

— Słusznie. Lewem ramieniem naprzód!

— Prawem ramieniem naprzód, marsz!

Dwaj dowódcy stanęli po obu brzegach wodospadu, ponad którym palił się most buchającym płomieniem. Pyszna pochodnia do nocnego pojedynku!

Obaj mieli na sobie białe kawaleryjskie płaszcze—nie zły cel do strzału.

Dwukrotnie dali do siebie ognia. Palwicz przeszył kulą kołpak Ryszarda, który znów swego przeciwnika w kirys ugodził.

— Dalej, nabijać!—wołał Palwicz. Ale do tego nie było już ani czasu, ani możności; pan Paweł spuścił już szluzę całkowicie, a cała masa wody, spadając na groblę, porwała z sobą most, płynący razem z palami, które go utrzymywały. W jednej chwili zapanowała straszna ciemność, a dwaj przeciwnicy chronić się musieli przed zalewającą ich ze wszech stron powodzią.

— Jutro podejmiemy znów walkę! — zawołał Palwicz.

— Stanę na mensurze — odpowiedział Ryszard.

Błoto, które przed chwilą jeszcze przedstawiało się jako ognisty jakiś potok, zamieniło się teraz nagle w prawdziwy Styx czarny.

To błoto powstrzyma na pół dnia kirasyerów.

Ale w okolicy wszędzie już wiedzą o ich dezercyi.

W pierwszej wsi, do której przybywają, wzbrania się chłopstwo dostarczyć im żywności; o głodzie więc idą dalej, bo nie chcą rabować.

Owdzie zastępuje im drogę hufiec zbrojny w kosy.

— Panie rotmistrzu! Możeby z nimi tak postąpić, jak przed klasztorem Brygidek w Wiedniu?

— Broń Boże!—odpowiedział Ryszard—my nie walczymy z ludem wiejskim.

Kilku salwami mógł ich rozpędzić, ale aby uniknąć tego, obszedł inną drogą i najniepotrzebniej stracił dwie godziny czasu.

Bał się rozlewu krwi, zanim stanie na ojczystej ziemi.

Żywności już nie było można dostać; lud ukrywał wszystko przed nimi i spoglądał na nich nieufnie.

Po południu wreszcie dotarli do jakiegoś młyna, gdzie właśnie mielono tatarkę.

Istny raj! uczta lukullusowa; kaszy tatarczanej na każdą głowę *quantum satis!* Nie ma wprawdzie ani szmalcu, ani słoniny, ale cóż to szkodzi— i bez tego smakować będzie.

Huzary rozsiodłali konie; jedna ich część zabrała się do podkuwania, druga zaglądała do kuchni, gdzie w olbrzymim kotle warzyła się kasza.

Już kocioł wynoszą z kuchni na drągach, rozpościerają dwanaście płaszczy na murawie, wykładają na nie gorącą kaszę i właśnie zasiadać miał oddział do upragnionej uczty, gdy forpoczty, rozstawione poprzednio, wpadają cwałem z okrzykiem:

— Kirasyery tuż!

W oka mgnieniu osiodłano konie, zawinięto kaszę w płaszcze i zabrano ją z sobą; huzary dosiedli wierzchowców i ruszyli z miejsca, co koń wyskoczy.

Nie szukając dróg dogodnych, pędzili przez rżyska, pola i miedze; pot lał się z koni.

— Do szczętu pomarnujemy szkapy!—mruknął pod nosem pan Paweł.

Rotmistrz obejrzał się po za siebie na rozproszony szwadron; w samej rzeczy kilka koni już padło, a jeźdźcy przesiedli się czemprędzej na łuzaków.

Ale i ścigającym kirasyerom nie wszystko szło po myśli.

Bitemi traktami łatwo im było ścigać nie-

przyjaciela, który nieraz tymczasem błąkać się musiał po manowcach — inna rzecz w otwartem polu.

Ryszard nie omylił się tym razem. Ciężka kawalerya Palwicza stępem musiała iść tam, gdzie kłusowali huzary.

Ryszard jechał teraz ostatni, gotów w danej chwili własną piersią bronić swego szwadronu.

Tym sposobem spotkał się raz jeszcze z Palwiczem, który wyprzedzał wszystkich swych jeźdźców.

— Stój! — wołał major — mam ci powiedzieć słowo.

— Mów—i bez tego cię słyszę.

— Jeśli masz cokolwiek odwagi, nie uciekaj!

— Mam jej tyle nawet, że ci ucieknę zupełnie.

— To tchórzostwo! Tył mi podajesz.

— I ty mi go podasz, niezadługo może.

— Czyżbyś nie miał odwagi spotkania się ze mną?

— Nie chcę tego. Podczas naszego pojedynku twoi ludzie doścignęliby moich.

— I bez tego ich doścignę.

— Sądzisz?

— Jestem tego pewnym. Czy nie widzicie, szaleńcy, tam, owego pasa zarośli? To brzegi Morawy!

— Wiem o tem.

— To wasza meta. Ani krok dalej.

— I Dunaj nas nie powstrzymał.

— Fraszką Dunaj wobec Morawy. Nie znasz jej kaprysów.

— To się poznam z niemi.

— Dalekobyś lepiej zrobił, gdybyś stanął do walki. Pamiętaj, że skoro cię wezmę do niewoli, nie uzyskasz pardonu.

— Czy o pardon prosiłem?

Dwaj wojownicy, oddzieleni od siebie przestrzenią kilkunastu kroków zaledwie, zamieniali z sobą powyższe wyrazy bez najmniejszego uniesienia.

Mimo to, Ryszard nie dozwalał Palwiczowi zbliżyć się zbytecznie.

Huzary, jeden po drugim przybywali do owych krzaków, któremi porasta brzeg Morawy; tam zatrzymali się nagle.

— Widzisz!—zawołał Palwicz—twoi ludzie zlękli się Morawy.

— Zaraz ich z nią pogodzę.

— Czyś oszalał? Śmierć niechybna czeka i ludzi i konie, skoro ich zgrzanych, zlanych potem wprowadzisz w lodowy nurt rzeki.

— Jeśli tam zginą—zginą razem ze mną.

I spiął konia ostrogą.

Palwicz popędził za nim.

I Ryszard, wyjechawszy w tym momencie właśnie na równe błonie, pomknął jak strzała, aby się zrównać z huzarami. Od nieprzyjaciela dzieliła go przestrzeń, którą można było przebyć w przeciągu trzech minut.

Żółtawe fale Morawy toczyły się z wściekłą, niepokonaną niemal siłą. Ryszard stanął nad stromym, wysokim brzegiem Morawy, porosłym gęstemi krzakami. Miał przed sobą dwie sekundy czasu.

Jedną sekundę na to, aby ogarnąć całe niebezpieczeństwo, przed którem zadrżeli nawet dzielni jego huzarzy. Wskutek ulewy wezbrała Morawa i szalonym prądem gnała swe żółte błotniste fale.

Drugą sekundę zaś na to, aby zawołać: „Za mną!" i jak piorun skoczyć w tonie rzeki.

Palwicz w tej chwili stanął na brzegu, ale zadrżał mimowolnie i ściągnął koniowi cugle.

Głowa jeźdźca i konia wynurzyła się nagle z głębin fal spiętrzonych, które ją w pierwszej chwili pokryły; w ślad za przywódcą rzucił się cały szwadron w nurty spienione.

Z szumem fali rozległ się przeciągły okrzyk: „Eljen!“

Morawa powtórzyła go echem.

Palwicz patrzył zdumiony; kto wie, może mu żal było tych ludzi.

Ale żaden z nich nie zginął w falach, wszyscy znaleźli się na przeciwnym brzegu; lodowa kąpiel nie zaszkodziła im bynajmniej.

Palwicz widział, że ścigać ich było niepodobieństwem tem więcej, że kirysyerzy nie mieli najmniejszego zamiaru naśladowania niebezpiecznego *salto-mortale*.

— Spotkamy się jeszcze, Ryszardzie Baradlay!— zawołał z przeciwnego brzegu rzeki.

— Chętnie się z tobą spotkam! — odpowiedział rotmistrz.

Huzarzy w dalszą puścili się drogę.

Gdyby byli zwolnili biegu, chłodny ten jesienny wieczór mógł się stać dla nich śmiertelnym.

Jednakże i oni i sam Ryszard widział, że przyjdzie im zginąć marnie tej nocy, jeżeli nie znajdą jakiego gościnnego dachu, gdzieby spoczęli. Ludzie i konie nie mieli już sił opierać się dłużej znużeniu, senności i głodowi.

— Gdybyż tak Bóg zesłał nam jaką wioskę!— modlił się w cichości ducha niejeden z młodszych żołnierzy.

Na ten raz cicha modlitwa huzarów została wysłuchaną; nietylko wieś, ale miasto nawet leżało na ich drodze.

Z pagórka dostrzegli je już wyraźniej; było to miasteczko o sześciu wieżach, opasane murem.

Wkroczyć w te mury na ślepy traf nie dozwalała ostrożność.

Wprawdzie droga okrążała miasteczko, ale nad nią wznosił się budynek, kształtem przypominający kawaleryjskie koszary. Niezawodnie jest to jedno z owych miasteczek, w których stoi zwykle wojsko obwodowe. Być bardzo może, iż z powodu obecnej wojny nie ma tam żołnierzy, ale z drugiej strony kto wie, czy właśnie z tego powodu nie stoi ich tam więcej niż zwykle.

Wobec takiej niepewności trudno było nawet zasięgnąć wieści. Pierwszy lepszy, coby ich spostrzegł, zdradziłby ich niezawodnie. Przytem i wątpić nawet nie było można, że Palwicz wysłał łódką posłańca z zawiadomieniem o ich przybyciu do komendanta załogi w miasteczku; niebezpiecznie więc byłoby odpoczywać zbyt długo w lasku pod miastem.

Razem z zapadającą nocą znikła wszelka niepewność; w owym przydrożnym budynku trąbiono na capstrzyk. Były to więc koszary i to koszary obsadzone wojskiem.

Czterokrotnie ozwała się fanfara na czterech rogach miejskich wałów, a gdy zamilkły trąby, usłyszeli odgłos bębnów.

Więc i piechota w mieście.

Obejść miasta i koszar niepodobna; w otaczających je moczarach i trzęsawiskach poginęliby jeźdźcy i konie.

A przecież nocować pod gołem niebem w tę noc chłodną, jesienną, o głodzie, nie można.

Cóż więc począć?

Jakto? Dwustu dwudziestu węgierskich huzarów, tych centaurów nowożytnej mitologii, nie miałoby wiedzieć, co z sobą począć — i to z szablą w ręku?

Prawda — tylko łaskawy mój czytelniku zechciej uwzględnić, że ci żołnierze dwie noce już nie spali,

że dziś nic nie mieli w ustach, że konie ich znużone, że zmokła odzież oschła im na ciele, że ich członki skostniałe od zimna i jesiennego wichru. O, to nie drobnostka!

I Ryszard wiedział to dobrze i dlatego też nie chciał pod temi warunkami wystawiać swych ludzi na ogniową próbę.

Ale dziwnem zrządzeniem losu przyszła im w pomoc taż sama noc jesienna, na którą się tak żalili. Mgła nieprzenikniona gęstą oponą okryła ziemię; o dwadzieścia kroków przed sobą nic już dojrzeć nie było można.

— Dziatwo — zawołał Ryszard ochoczo na swoich huzarów — nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Wypłatamy porządnego figla. Obwiązać kopyta koni kawałkami czapraków—a potem naprzód!

Huzarzy w mig odgadli plan swego dowódcy; nim ubiegło pół godziny, wszystkich koni kopyta poobwijane już były kocami.

Cichy ten zastęp posuwał się zwolna bitym traktem.

Nikt ich nie spotkał, bo też o tej porze każdy porządny mieszczuch dawno już owija się w pierzynę.

Nagle usłyszeli gwiżdżącego jedenastą godzinę stróża; potem spostrzegli na jakie pięćdziesiąt kroków połyskującą blado we mgle latarnię. Zatrzymali się; jeśli ich zobaczył ów stróż, niezawodnie nazajutrz opowie swym znajomym w szynku o widmach konnych, napotkanych wśród mgły nocnej.

Tu i owdzie mignęło światełko w jakiemś oknie, tu i owdzie pies warknął w czasie tego pochodu przez miasto.

Ale nie minęli jeszcze największego niebezpieczeństwa — miejskiej rogatki, obok której zwykle jest odwach.

Na jakie sto kroków przed sobą posłyszeli dobitnie znany wykrzyknik: „Luzować!“

A tośmy się pięknie złapali!

Gotów jeszcze na domiar nieszczęścia spotkać nas patrol.

I istotnie nadszedł patrol... Usłyszano tętent kopyt...

— Może ich będzie cała rota! — mruknął Paweł.

Patrol zatrzymał się na kilka minut, potem zbliżał coraz więcej.

— Prosto na nas idą!—rzekł Ryszard.—Dobyć szabli!

Zdawało się, że innego już nie ma wyjścia.

Na szczęście przecież, patrol poszedł boczną uliczką, nie spostrzegłszy nawet huzarów. Niebawem też przebrzmiał i tętent podków.

Cały szwadron Ryszarda przejechał w największym spokoju rogatkę tuż obok posterunku, który ich niezawodnie wziął za swoich; niejasnem tylko było mu, jakim sposobem mały oddziałek wzrósł w tak znaczny zastęp. W dwie godziny później doniósł o tem swojem spostrzeżeniu dowódcy patrolu, który znów po upływie dwóch następnych godzin zdał o niem raport komendantowi; Ryszard był już wtedy daleko.

O wschodzie słońca znikła mgła, a szwadron huzarów ujrzał przed sobą Karpaty.

Za temi górami już kraj ich rodzinny!

W jednej chwili zapomnieli o wszystkich trudach.

Na domiar szczęścia napotykają wioskę, której mieszkańcy przyjmują ich ze współczuciem; starzy i młodzi wybiegają na ich spotkanie, mężczyźni i kobiety witają ich radośnie; otwierają im drzwi domów, konie ich stoją po kolana w sianie, parobcy dopomagają huzarom w podkuwaniu koni i naprawianiu

poprzęgów. Ze wszech stron znoszą im żywność, na jaką stać tylko biedną ludność wioski.

Hej, będzie też inna uczta niż wczoraj!

Ale radość znów była przedwczesna Nim jeszcze pokarm był gotowy, wpadły forpoczty z okrzykiem:

— Austryacy idą!

Wojsko cesarskie chciało się pomścić wczorajszego podstępu; wysłano na podwodach piechotę, przodem zaś kawaleryę, w trop za uciekającymi.

A więc znów dosiadać koni, znów uchodzić, znów uciekać przed nieprzyjacielem.

Gniew zawrzał w piersi spłoszonych huzarów.

— Będziemy się bili!—ryczeli.

I tym razem zdawało się, że innego nie ma już wyjścia. Z tyłu nachodziła ich wysłana w pogoń za nimi kawalerya. Drogę, wiodącą ze wsi, zajęli nieprzyjacielscy jegrzy, przybyli tu wozami. Utrzymanie się przy drodze wymagało stoczenia potyczki ze strzelcami, a i wtedy jeszcze pozostanie im ścigająca wciąż kawalerya.

Ale Ryszard w spotkaniu tem widział zgubę swego szwadronu; pośpiesznie więc rozpatrzył się w okolicy.

— Czy niema jakiej drogi przez góry i czy nie mógłbym tu dostać przewodnika? — spytał starego wieśniaka.

— Droga jest ci wprawdzie, ale na niej możecie pomrzeć z głodu—odparł stary poczciwiec. — Co do przewodnika i ja mogę was poprowadzić kawał, potem oddam was innemu.

— Spróbujmy.

Huzarzy stali już w szeregach z dobytemi szablami.

— Do pochwy palasze, a potem naprzód!—zakomenderował rotmistrz.

— Dokąd?—wołali huzarzy w oburzeniu.—Toż przed nami góry. Lepiej raz już zmierzyć się z wrogiem.

Ryszard spostrzegł opór — wyciągnął pistolety z olster.

— Kto zapomniał złożonej przysięgi, niech Bogu poleci swą duszę! — zawołał gromkim głosem.

Ustało szemranie.

— Kto mi ufa — za mną. Wszakże sam idę pierwszy.

Pałasze zniknęły w pochwach.

— Idźmy więc—zawołał cały oddział.

Przewodnik szedł przodem, potem Ryszard, za nim huzary jeden po drugim; ostatnim był pan Paweł.

Po południu stanęli przed chatą owczarza, któremu powierzył ich stary przewodnik. Tu odpoczęli znów.

Jeden z młodszych żołnierzy na tym odpoczynku rozłożył swój safianowy pugilares na kolanach.

— Co ty tam gryzmolisz? — spytał go pan Paweł.

— Ot, zapisuję sobie wszystko, cośmy przejść musieli. I jestem pewien, że gdybym w ojczyźnie przeczytał to komu, lub gdyby to ogłosić drukiem — każdy powiedziałby, że to bajki zrodzone w mózgu jakiegoś szaleńca poety! — i choćbyśmy nawet chcieli to zaprzysiądz, nikt nam nie uwierzy.

A przecież nie tu koniec przygód — nie jedno on jeszcze zapisze w swym czerwonym pugilaresie.

Wieczorem o blasku księżyca ruszyli w dalszą drogę.

Noc była spokojna.

Droga z każdym krokiem stawała się coraz bardziej stromą; sosny tu już coraz rzadsze, znikają

wreszcie, ustępując miejsca krzakom jałowcu, te zaś znów jerzynom i borówkom.

Nad ranem mgła owinęła szczyty gór, a słońce zawisło blade na skraju nieba.

Przewodnik przebąkiwał coś o śnieżnej zawiei.

Wszelka roślinność już tu ustaje; na szczytach trawy nawet nie widać, gdzieniegdzie tylko mech brunatny pokrywa nagie skał wierzchołki. Nie ujrzysz tu człowieka, ptaka nawet nie dopatrzysz. Istne to państwo śmierci, krajobraz z mogił złożony— z mogił przyrody. Tu chmury tylko królują.

Około południa, gdy się już spuszczali w dolinę, aby z niej znów na nowy szczyt się wedrzeć, dostrzegli powstającą z głębi mgłę jakąś gęstą, nieforemną.

— Jeśli nas doścignie—rzekł przewodnik, wskazując Ryszardowi białe widziadło—długo nam trzeba będzie odpoczywać.

Ale to białe mgliste widmo zbliża się szybko. W kilka zaledwie chwil już ich dosięgła zawieja, w przeciągu kilku minut ogarnęła już cały oddział.

Huzarzy zatrzymali się w miejscu; przewodnik proponuje im, że pójdzie o kilkaset kroków naprzód, aby odnaleźć drogę; jeśli ją znajdzie, zawoła na nich.

Poszedł; ale po upływie kwadransa takiego oczekiwania daremnego puścił się Ryszard o kilka kroków jego śladem, wołał — ale i to było daremne.

Pozostali więc sami, nieświadomi drogi w tem państwie obłoków, opuszczeni, bez wszelkiej pomocy, owiani czarną, śnieżną chmurą, zgłodniali, spragnieni, skostniali.

A jednak żaden z nich nie szemrał.

— Za mną! — zawołał wreszcie Ryszard i na chybił trafił zaczął sprowadzać swój oddział. Jeźdźcy, zsiadłszy z koni, prowadzili je za cugle.

Chmury towarzyszyły im wiernie. Po kilkogodzinnym pochodzie przybyli wreszcie na spadzisty stok góry porosłej jałowcem.

— Tu przenocujemy—rzekł Ryszard. — Pozapalać ognie.

No już zapadła. Drzewa przynajmniej im nie brakło; więc już nie zmarzną.

Kto wie, może w tejże samej godzinie wymawiała pani Baradlay owe słowa do najmłodszego ze swych synów:

— Brat twój ścigany, otoczony, ze wszech stron zamknięty, uchodzi przez Karpaty; u stóp jego leży bezdenna przepaść wezbranego gór potoku! Nad głową szaleją burze i sępy krążą stadami. Może go biorą teraz do niewoli, może umiera z głodu lub zimna!... O gdyby jej oczy mogły go tu ujrzeć teraz!

Rozłożono ognie; wszyscy posnęli, przy każdem ognisku tylko czuwał z rozkazu rotmistrza jeden człowiek dla podsycania go.

Ostatni zasnął Ryszard, w płaszcz swój owinięty.

Młody huzar zapisał do pugilaresu wypadki dnia dzisiejszego.

— Boże miłosierny! co też nas jeszcze czeka, westchnął.

Żądać, aby ci, co czuwali przy ogniskach, nie posnęli, było rzeczą nadludzką.

Nagle zbudziło ich ze snu przeraźliwe rżenie koni.

Morze płomieni oblewało ich dokoła.

Od niestrzeżonych ogni zajęły się pobliskie krzaki, których długie pasmo stało już w ogniu, gdy się zbudzili huzarzy.

— Na górę! — zawołał Ryszard i, pochwyciwszy konia swego za cugle, uchodził przed piekłem płomieni.

Straszliwa to była iluminacya! Ale przy niej dojrzeli drogę wyraźnie, stromą, górską, niebezpieczną

drogę. A jednak bądź co bądź przejść ją trzeba było. Groźba śmierci dodawała sił ludziom i koniom.

Gdy po dwugodzinnym takim Tytanów pochodzie spojrzeli po za siebie na przebytą już drogę, dostali zawrotu głowy i nie pojmowali, jakim sposobem przejść ją mogli.

Szli dalej. Wreszcie dnieć zaczęło. stwa. Wokoło nich same lodowce, same śnieżyste pola, nigdzie żadnej ścieżki, żadnej wskazówki, gdzie skierować kroki.

Drugi dzień już prawie nic nie jedli.

Pragnienie piekące zaspakajają śniegiem, ale ten je więcej jeszcze podsyca.

Nie koniec na tem!

Jeden koń po drugim pada ze znużenia. Pan jego mimowolnie nad nim musi zapłakać; jakże chętnie położyłby się obok swego towarzysza na tę ziemię zimną, bezlitośną.

Ale pan Paweł czuwa nad oddziałem, on nikomu nie dozwala iść na marne. Jednych pociesza, zachęca, innych gromi, wzywa kolejno wszystkich aniołów i szatanów w pomoc, dźwiga konie, które padły lub zagrzęzły w śniegu, sprowadza luzaków i własnym przykładem zagrzewa młodszych żołnierzy. To już jesteśmy prawie na rodzinnej ziemi!

— Prawda, na ziemi rodzinnej, to jest w niebie! — szepnął młody huzar i zapisał do pugilaresu ostatnich godzin przygody.

Rozerwała się tak sforna niegdyś kolumna; ciągnie się na milowej blizko przestrzeni; Ryszard przodem toruje drogę wśród śniegów.

Po południu nastała zawieja; z gór sypią się kłęby śniegu.

I znów dzień schyla się ku wieczorowi.

Ryszard zauważył, że od pewnego czasu droga idzie ciągle na dół znacznym spadkiem.

Niezadługo stanęli wpośród lasu sosnowego.

Wiatr wyje w gałęziach niebotycznych sosen i szumi i wzdycha żałośnie Nagle Ryszardowi zdałc się, że słyszy łoskot siekiery. Z kilku towarzyszami dąży w tę stronę i istotnie zastają tam górala, obrąbującego gałęzie zwalonego drzewa.

Rotmistrz zagadnął go w morawskiem narzeczu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— odrzekł zagadnięty po węgiersku.

Za te jedyne słowa omal że błądzący nie udusili uściskami górala.

I twarzą upadli na tę zimną, śniegiem pokrytą ziemię i ust od niej nie mogli oderwać.

— Tak, niech będzie pochwalony Pan na wieków wieki!

Potem powiedział im góral, że ich oczekują w miasteczku; rano już dowiedziano się o nich od przewodnika, który ich opuścił, aby się postarać dla nich o pomoc.

Nagle ustała zawieja, a skoro opony chmur znikły ze szczytu góry, dojrzeli u stóp swych tę piękną węgierską ziemicę, do której zdążali tak wytrwale.

U podnóża góry leżała rozkoszna jakaś mieścina, do której prowadziła wężykowata z gór droga.

Tą drogą postępowała uroczysta procesya z chorągwiami i muzyką na powitanie przybywających wojaków.

Ryszard i jego towarzysze wystrzałami z pistoletów dali znać pozostałej reszcie, ażeby do nich zeszła.

I zebrali się wszyscy, ani jednego nie brakło.

Cały szwadron stał w szeregach, gdy zbliżyli się witający go mieszczanie.

Co się tam działo potem, tego niezdolne są odczuć spokojne nerwy dzisiejszej naszej generacyi, o krwi zimnej, o sercu wychłodłem.

ROZDZIAŁ V

Armia narodowa.

Sen to, czy rzeczywistość?

Czy podobna, aby w małym, odosobnionym kraju, naród, który nie ma pobratymców, obskoczony przez nieprzyjaciół na dziewięciu naraz punktach i do własnej na razie ograniczony armii, mógł zwycięzki i pełen sławy stawić opór?

Zkądże ów naród zaczerpnął siły do podjęcia walki z olbrzymami Europy? do tej olbrzymiej epopei nowoczesnej?

Wytłómaczę wam to, o ile w moich będzie siłach.

Niewysłowiony okrzyk boleści przebiegł, jakby siłą elektryczną kraj cały; podawały go sobie góry, drżały nim doliny i był to już nie okrzyk zbolałego serca, lecz hasło bojowe. A kędy zatknięto sztandar wojenny, tam zbiegały się gromadki kochającego kraj ludu.

Rolnik porzucał lemiesz, student salę wykładów, ojciec rodzinę, ognisko domowe.

Trzynasto i czternastoletnie dzieciaki uginały się pod ciężarem karabinów, a w jednym z malcami szeregu srebrnowłosi stawali starcy.

Nie znano tu porękowin; całym podarkiem, na jaki mógł liczyć nowozaciężny żołnierz, była trójkolorowa kokarda narodowa.

Rozpieszczeni synalkowie bogatych rodzin, magnaci i szlachta — wszystko to spieszyło dobrowolnie do obozu, gdzie dzieliło z dziećmi strzech słomianych niewygody życia wojennego, głód, niedostatek i sławę.

Adwokat, którego dobrze znałem, porzucił swą kancelaryę, przypasał pałasz i z odważnem sercem szedł na czele garstki ochotników w ogień kartaczowy;

w bitwie pod Szwechat (chociaż nigdy przedtem nie był w ogniu) chwycił trójkolorowy sztandar i podniósłszy go, jak tylko mógł wysoko, niósł przodem znamię swobody wśród gradu kul. Później otrzymał nominacyę na pułkownika.

Młody obywatel, który dziś dopiero połączył się węzłem małżeńskim z ukochaną dziewicą, stał jutro w szyku bojowym; kazano zdobywać mu szańce; na czele batalionu pierwszy stanął na szańcach; kula wroga położyła go trupem; na licach jego nie miały jeszcze czasu oschnąć łzy narzeczonej.

Z klasztoru Cystersów pośpieszyli wszyscy klerycy, z wyjątkiem trzech, do honwedów. Przeor sam zaopatrzył ich w zapasy żywności i pobłogosławił na drogę. Powróciwszy do refektarza i zobaczywszy pozostałych, odezwał się do nich z płaczem:

— O tchórzliwego serca, kiedy pozostaliście w domu?

Adwokaci i sędziowie zaciągali się w szeregi: dziś nikt nie myśli o procesowaniu się lub wytaczaniu skarg przed sądami.

Inżynierowie przekształcili się w artylerzystów i pionierów, lekarze w chirurgów. Komuż-bo dziś w myśli umierać na łóżku?

Osławieni awanturnicy wyrastali na sławnych bohaterów, ludzie jagnięcego serca na Ryszardów lwiego serca.

Nawet rozbójnicy ulegli przemianie. Głośny herszt zbójców prosił dla siebie i swych towarzyszów o amnestyę i oddał na usługi ojczyzny 60-u kawalerzystów, z których większa część złożyła swe głowy na polu sławy.

Pewien magnat wystawił cały pułk huzarów, a nadkapitan Jazygii i Kumanii zebrał w przeciągu dwóch tygodni drugi pułk jazdy lekkiej.

Nie było broni. Dostarczył jej nieprzyjaciel. Z kosą w ręku lub gołą pięścią musiano naprzód

zdobywać karabiny i działa, aby z tą zdobyczą wyruszyć do boju.

Huty żelaza zamieniały się na ludwisarnie i fabryki broni. Kościoły składały w ofierze dzwony, które przelewano na armaty.

Jeden z generałów odebrał w pewnym przeciągu czasu nieprzyjacielowi 110 dział.

Dziś zebrany batalion szedł jutro na ćwiczenia wojskowe, a za dwa tygodnie w ogień bojowy.

Trójkolorowa kokarda zbratała wszystkich; nie pytano się, czyś Węgier, Słowak lub Niemiec. Oficer jadł i sypiał pospołu z żołnierzem.

Nie było dezerterów. Gdzieżby się zresztą schronili? Wszystkie drzwi zamykały się przed tchórzami. Pobity oddział nie rozpraszał się, lecz usiłował skupić się na nowo i stanąć znów do walki.

A nietylko ci, co dźwigali karabin, brali udział w walce; kto tylko czuł w swej piersi serca uderzenie pomagał. Matki zagrzewały swych synów; córki, siostry i żony biegły na szańce i ofiarowały się do najcięższych i najniebezpieczniejszych posług. Kobiety najsprytniejszemi były kuryerkami i szpiegami. Po stoczonej walce pielęgnowały rannych. Wszystkie dwory i pałace w pobliżu pobojowiska zamieniały się w lazarety.

Księża głosili z kazalnicy ludowi cnoty bohaterstwa. Nie było już mowy o dogmatach. Wojnę tę uświęciły krzyż i gwiazda [1]).

A nieśmiertelny nasz poeta, świecący, jak meteor na naszem niebie, śpiewał nam tylko o miłości kraju i bohaterstwie.

W ten sposób powstała armia narodowa.

Dobrze, powiecie, dotychczas głosiłeś nam poezyę. Gdzie proza? Gdzie pieniądze?

---

[1]) Mowa tu o gwieździe, jaką zamiast krzyża zasadzają Kalwini na wieżycach swych zborów.

Bezwątpienia, bez pieniędzy niepodobna prowadzić wojny.

Otóż znalazły się i pieniądze. Kto miał łyżkę srebrną, guzik srebrny lub ostrogę, niósł je do skarbca narodowego. Młode dziewczęta składały na ołtarzu ojczyzny swe kosztowności, wdowy grosz oszczędzony. Tę obierały drogę pieniądze odłożone na późną starość lub na wypadek choroby.

A gdy to wszystko nie wystarczało, wtedy brano papier i odbijano na nim: „Papier ten, to pieniądz narodowy.“ I każdy brał ów pieniądz, myśląc sobie: naród, to wielki pan; co naznaczy swoim stemplem, to święte, to nasza własność. I było dość pieniędzy.

A minister skarbu nie miał całego surduta, minister palił cygara po krajcarze, a najwyższy intendent armii zapraszał się codziennie na obiad do kogoś ze swych znajomych, a grosz w ten sposób zaoszczędzony do narodowej rzucał skarbony.

I jeśli naród ów łzami poświęcony skarb złożył w ręce jednego z podobnych komisarzy rządowych, jakim był Oedön Baradlay, mógł być pewien, że pieniądz przeznaczony na zakupno chleba i broni, obróconym zostanie rzeczywiście na broń i chleb i dojdzie swojego przeznaczenia.

W ten sposób trzymała się armia narodowa.

A w pół roku później opowiadały dzieje cuda o tej armii.

Młodzieniaszki są już bohaterami z laurem na skroni. Podporucznicy generałami i wodzami. Trójkolorowa chorągiew, poszarpana w kawały, przedmiotem podziwu i sympatyi całego świata.

Wyszli zwycięzko z próby ogniowej i zamieci śnieżnej; wytrwali, choć grad kul dziesiątkował ich szeregi.

Wśród deszczu bomb nieprzyjacielskich hasali przy muzyce wesołej na okopach Komorna.

Pod Szolnokiem garstka młodzieży, uzbrojona

jedynie w kosy, rzuciła się na oślep na bateryę nieprzyjacielską, ziejącą ogniem i zniszczeniem, artylerzystów porąbano, a działa zabrano na własność narodową.

Pod Pakozd zmusiła gwardya narodowa, uzbrojona w kosy, dziesięciotysięczny korpus nieprzyjacielski do złożenia broni.

Pod Raabą dziewiąty batalion honwedów z wytoczonemi bagnetami gnał przed sobą kawaleryę nieprzyjacielską.

Pod Losoncz wicežupan zamieniony w wodza, odbił sześćkroć silniejszemu nieprzyjacielowi armaty i wziął w niewolę sztab generalny.

Pod Piski bronił przez dzień cały batalion honwedów mostu przeciw dziesięćkroć liczniejszej kolumnie austryackiej i zwyciężył.

A jakżeż szybkie, jak cudowne, zdumiewające były ich obroty strategiczne.

Pod Szelakną wyrośli, jakby z pod ziemi po za plecami zdumionego nieprzyjaciela, pod Braneissko złamali ich szeregi, wypadając niespodzianie z rozpadlin i wąwozów górskich, pod Szolnok przepłynęli pod ich bokiem przez Cisę, w Preszburgu przebili się razem z wozami napełnionemi amunicyą przez palące się miasto i tak dalej bez końca.

A cóż to dopiero za wspaniały widok, gdy olbrzym narodowy, stanąwszy na polu walki i rozkrzyżowawszy stotysiączne ramiona, odezwał się do przeciwnika: „Przybliż się i pójdź ze mną w zapasy!“ i kiedy po tych pierwszych zapasach przeciwnik, z trzeszczącemi kośćmi, wydarł się z uścisku olbrzyma.

Mówiąc zaś o armii narodowej, nie można pominąć jednego jej czynnika, co niby Jehowa, szedł przed nią we dnie, jak mgły kolumna, w nocy jak słup ognisty, czynnika, jakim był lud! Lud, który swym rozumem, przemyślnością, dobrą wolą i poświęceniem strzegł ubóstwiane wojsko, zachęcał je,

zapalał, upominał, przestrzegał, ochraniał, tysiącami garnął się pod jego skrzydła; tu z pomocą fałszywych pogłosek zmuszał przeciwnika do porzucenia korzystnych stanowisk, owdzie odgadywał najskrytsze jego plany. W razie potrzeby stawały w pogotowiu setki i setki wozów, celem szybkiego przewiezienia piechoty, dział i amunicyi wojska narodowego; nadszedł oddział nieprzyjacielski, nie znalazł z pewnością ani jednego konia, wszystkie były na paszy. Potrzebowało wojsko narodowe zapasów żywności— dostarczono ich w jednej chwili, natomiast nieprzyjaciel nie znalazł za gotowy pieniądz kęsa chleba. Biedni ludziska nie mają sami co włożyć do ust!

Jednej rzeczy brakowało armii narodowej: wiary we własne siły — tej dopiero nauczyć się musi, a brak ten drogo jej przyjdzie przypłacić.

. . . . . .

. . . . . .

Nasz Zebulon Tallerosy na ważną wykierował się figurę.

Imię i nazwisko jego porzedza dziś szumny tytuł: „Podkomisarz rządowy i major gwardyi narodowej.“

Wyjechał do stolicy jako deputowany, a powrócił pod strzechę rodzinną z patentem komisarza rządowego i oficera sztabowego

Gdy go wysłano do Pesztu, miano go na prowincyi za największego męża stanu, a gdy go odsyłano z prowincyi, wystawiono mu świadectwo, iż będzie tam najznakomitszym strategikiem.

Zebulon zaczął wierzyć w swą wyższość. Gdyby był prostaczkiem, rząd narodowy nie byłby go mianował ani komisarzem, ani majorem!

Rozmyślając nad swą wielkością, przyszedł Zebulon do tego przeświadczenia, że nauka o wojskowości o wiele jest łatwiejszą, niż sądził. Potrzeba jeno umieć

rozkazywać i mieć ludzi gotowych, którzyby słuchali rozkazów.

Rekrutów nie brak, a każdy Węgier jest jakby z urodzenia żołnierzem. W czasie marszu śpiewają aż się dusza raduje. Wprawdzie nie wszyscy zaopatrzeni są w strzelby, te jednakże, jakiemi się obdzielili, wystarczą do pokonania najeźdzcy. Chleba jest podostatkiem i pieniędzy nie brak. Zebulon nie prowadzi z nich nawet rachunku. Wie dobrze, że grosz narodowy, to rzecz święta, że ani oni, ani nikt z jego podwładnych nie śmiałby sprzeniewierzyć czegośkolwiek z tych pieniędzy, po cóż przeto bawić się w niepotrzebne bazgraniny?

Zebulon odbył już nawet kampanię. W jednej z poblizkich wsi zjawili się emisaryusze reakcyi w zamiarze zbierania korpusu ochotników. Zebulon urządził na nich obławę i o włos, że ich nie zabrał do niewoli. Czyn swój heroiczny upamiętnił drukowanym biuletynem. Zaprowadził tam porządek i przywrócił panowanie chorągwi narodowej.

Był z siebie zadowolony. Nikt nie wątpił, że w razie krwawego starcia Zebulon pokaże, co umie.

Nic łatwiejszego jak strategia.

Wódz naczelny powinien przedewszystkiem pamiętać o tem, aby wysyłać przeciw nieprzyjacielowi dwa razy tyle wojska, ile ma przeciwnik. W razie poświstu kul niechaj tak umieści swych ludzi, aby im nie szkodził ołów nieprzyjacielski. Reszta jakoś zrobi się sama. Takiej metody trzymali się wszyscy sławni wodzowie, począwszy od Aleksandra W-go, a skończywszy na Napoleonie I.

W tych czasach dwór Zebulona roił się dniem i nocą najrozmaitszymi ludźmi, kuryerami, dostawcami, naczelnikami drobnych oddziałów, wójtami, dostawiającymi rekruta i donosicielami.

Cały boży dzień zatrudniony, zaledwie wieczorem może spędzić godzinkę w kółku rodzinnem. Świetne kółko rodzinne ciągle w komplecie. Panienki

hałasują jak hałasowały, a mama skarży się po dawnemu na migrenę, na czem najgorzej wychodzi Zebulon.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Zebulon kurczył się w domu pod pantoflem jejmości i nie robił z tego bynajmniej tajemnicy.

Wprawdzie żona nie podbiła go siłą rozumu, zbyt bo wiele czasu nie poświęca ona książkom, problematycznem jest nawet, czy czytać umie; przed zostaniem bowiem panią Tallerosy była prostą wiejską dziewczyną.

Lecz tylko w domu, jak twierdził i dodawał, że mąż każdy silnego ducha bywa zawsze pod pantoflem, gdyż to należy do uzupełnienia silnego, twardego charakteru.

Tam na politycznej arenie jest jakby skała, w domu miękki jak masło; dla wroga lwem, dla swojej miłej jagnięciem; dla świata całego potężnym panem, dla żony niedołęgą.

To nie słabość, owszem, to cnota, a bierze ona swój początek z innego osobliwszego źródła; żona jest jedyną istotą na świecie, która ma odwagę wypowiedzieć przemożnemu panu takie słowa prawdy, jakich powiedzieć mu w oczy żaden inny nie ośmieliłby się śmiertelnik. Żona ma nietylko odwagę, lecz i wolę po temu; co więcej, robi formalne studya, jaką i kiedy wyciąć małżonkowi kapitułę. A pani Anna ze szczególniejszem zamiłowaniem poświęcała się tego rodzaju studyom i gdy brała na egzamin Zebulona, Zebusiowi serce umykało w pięty. W krytycznych jednakże chwilach uciekał się do niej, jakby do wyroczni delfickiej po radę, a siedząca nieus annie na swym trójnogu Pythia zwykła była o wiele wyraźniejsze rzucać wyrocznie, niż Sybila starożytna.

Nie było dla Zebulona krytyczniejszej chwili

nad tę, gdy zniewolony był przyznać się pani Annie, iż odważył się w dom swój zaprosić gościa.

Oszczędność to cnota kardynalna łaskawej małżonki pana Zebulona, skutkiem czego niechętnie widziała u siebie gości. Każdemu powinno być w domu najlepiej. Czyż to nie barbarzyństwem żądać od kogoś, aby na to tuczył kapłony, aby je inni zjadali? A cóż to za bieganina, co za krętanina, gdy pod dach obce zawitają twarze. Ileż kłopotu z wydobywaniem świeżych serwet i obrusów? Kucharka o dwie godziny spóźni się z obiadem i cały porządek dzienny pada ofiarą natrętnych gości.

Panu Zebulonowi nie są tajne wszystkie te powody, skutkiem czego zwykł w razie zaproszenia gościa wysyłać dla zjednania sobie powolności czułej magnifiki na rekonesans jaką wesołą lub ciekawość budzącą wiadomość i w opowiadanie to wplatać zręcznie, kto przybędzie, jak długo zabawi.

I teraz wpada do pokoju swej małżonki z listem świeżo rozpieczętowanym.

— No, toć to szczęście *in duplo*. Dalibóg szczęście mnie prześladuje, a choćbym nie wiedzieć jak się ukrył, wynajdzie mnie i przyciągnie do siebie za czuprynę. No, czytaj! Zaledwie rząd węgierski zamianował mnie podkomisarzem rządowym na cały komitat z placą dwustu tysięcy pięćset złr. i tytułem „jaśnie wielmożny,“ niemniej jak z *plein pouvoir* nad życiem i śmiercią, a już odbieram list od J. Ekscelencyi, mojego przyjaciela Ridegvarego, w którym proponuje mi w imieniu rządu wiedeńskiego urząd nadkomisarza i sześć tysięcy złr. pensyi. Co czynić? Czy zdecydować się na stronę peszteńskiego, czy też wiedeńskiego rządu?

Zebulon był pewien, że magnifika jego, idąc za popędem naturalnego rozumu, poradzi mu pochwycić za sześciotysięczne jabłko, a na ten wypadek miał już w pogotowiu patryotycznemi frazesami naładowaną bateryę; omylił się jednakże, pani Anna bo-

wiem zamiast oświadczyć się za jednym lub drugim rządem, rozpoczęła tyradę:

— Bodajbyś się był nigdy nie zapuszczał w tak niebezpieczne historye! Świat dziś przewraca się do góry nogami, to nie dla ciebie. Dziękuję za wszystkie wysokie tytuły, jeśli przytem nie ma co do ust włożyć! Ty naturalnie tego nie wiesz, boś ciągle na wózku, lecz ja nieszczęśliwa patrzę na tę mizeryę zblizka, bo siedzę w domu. Dlaczego nie postarałeś się o taki urząd, który nie narażałby cię na bezustanne traktamenta, owszem, aby cię jeszcze ugaszczano. Pierwej wolno nam było podobnych pozwalać sobie zbytków, bośmy mieli poddanych, co odrabiali pańszczyznę; dziś chłop nie doniesie ani jaj, ani masła, a człowiek musi sam starać się o każdą drobnostkę. Dziś ani sposób dziewczęta napędzić do ogrodu, mówią, że wolność. O ta wolność! Przez nią zmarzło mi dwanaście wozów kartofli, 60 nie było komu sprzątnąć z pola. Dziękuję za taką wolność, która pozwala na to, aby uczciwi ludzie z głodu marli. Teraz już nic nam nie pozostaje, jak własnemi rękami okopywać ziemniaki, doić krowy, czyścić konie i mierzwę wywozić. Jeszcze na dobitek niech tam ciebie gdzie zastrzelą, a wtedy chyba iść mi na żebraczkę z pięcioma córkami.

Zebulon zmiarkował, że pani Anna w przeczuciu gościa silne sypie szańce przeciw napaści.

— Kobieto, gadasz o rzeczach, o których nie masz żadnego pojęcia. To należy do wysokiej polityki.

— Jakto, ja się na tem nie znam?! — zawołała pani Anna. — Na czem ty się znasz, na tem i ja się znam. Jeśli ty wiesz, co wysoka polityka, to i ja wiem.

— Kiedyś taka mądra, powiedzże mi, co to za zwierzę ta wysoka polityka — zapytał z łagodnym przekąsem.

— Powiedz ty pierwej — replikowała szano-

wna małżonka, której oblicze zarumieniło się z irytacyi.

— Zgoda, powiem ci: wysoka polityka zależy na tem, aby nasze dziewczęta wydać za mąż jak najprędzej.

Pani Anna zżymnęła się.

— Sądzisz może — perorował Zebulon — że to tak dla przyjemności tłukę się po górach i lasach, że nie ma dla mnie milszej zabawki, jak ustawiać żołnierzy w szereg, ubierać gapiów w mundury i pamiętać o ich żołądkach? A dlaczego to robię? Dawniejszy narzeczony naszej Karoliny Pii, Tihamer, zaciągnął się do honwedów, gdzie awansował na kapitana, może przeto żenić się z najstarszą, choć Bogiem a prawdą, byłem dla niego dawniej niegrzeczny i zraziłem go szorstkiem obejściem. Laczko, który zerkał na Adalgizę, otrzymał urząd przy ministeryum węgierskiem, czegoż więcej potrzeba do pojęcia żony? Bonö, ów nieznośny wierszokleta, co to takie czułe wiersze pisał do Libuszy, jest dziś przy gazecie w Peszcie; Bendeguzella może jeszcze czekać. Lecz Chariklea! Dziewczę tę wychowaliśmy na księżniczkę, kazaliśmy ją uczyć na fortepianie i po francusku. Jakoś zawsze miałem przeczucie, że Chariklea wielką zrobi partyą. Partya jest, szczęście stoi pod drzwiami, potrzeba tylko pochwycić je za kołnierz i sprowadzić pod nasz dach. Mówiłem nieraz do siebie: Zebulonie, Zebulonie, daję moje gardło, że będziesz kiedyś teściem Baradlaya. Stary Baradlay był moim nieprzyjacielem, Ridegvary do jednego ze mną należał obozu. Stary umarł, Ridegvary wyniósł się do Wiednia, dom Baradlayów zmienił się do niepoznania. Świat cały jest dziś liberalnym, patryotycznym. Cóż ja sam tu pocznę? Niedawno przywieźli z Wiednia najmłodszego z Baradlayów. Mama sama jeździła po niego. Głupia strasznie była to historya. Chciał ożenić się z jakąś niezbyt dobrej sławy panną. Familia nie pozwoliła sobie o tem ani

mówić. Obecnie przywieziono go i chcą na gwałt ożenić nieboraka z panną szlacheckiego rodu i dobrego wychowania w nadziei, że przy młodej i ładnej żonie o dawnej miłości zapomni. Chariklea, o ile zauważyłem, spodobała się mamie dobrodziejce. Dobry mój przyjaciel, nadkomisarz rządowy, Oedön, przybędzie dziś do mnie, może być, że przy tej sposobności coś się ukartuje. Pomów o tem z Charikleą. Jesteś zadowoloną ze mnie, mój gołąbku?

Zebulon zajął szczęśliwie szańce. Pani Anna pozwoliła mu się nawet pocałować i uśmiechała sie widocznie do sprytnego małżonka.

— Teraz, złoty mój gołąbku — mówił Zebulon, głaszcząc pulchne pani Anny policzki, pojmujesz, co to jest wysoka polityka.

Zamiast odpowiedzi zabrzękła pani Anna wiszącym u jej pasa pękiem kluczów, a przywoławszy po kolei wszystkie swe córki, rozkazała im biedz do śpiżarni, kuchni, piwnicy i zlustrować kojec kurczęcy. Chariklei poleciła w świąteczne przybrać się szaty. Panią Annę wziął Zebulon szturmem.

— No, jakżeż gołąbeczku—odezwał się tryumfująco małżonek—wiemy teraz, co to jest wysoka polityka!? Skoro narzeczeni wszystkich pięciu moich córek służą w obozie węgierskim, jeden jako kapitan, drugi jako koncepista, trzeci jako dziennikarz, a czwarty jest bratem nadkomisarza, toć i mnie nic nie pozostaje, jak poświęcić się dla sprawy, a to nie dla sprawy, która przynosi sześć tysięcy złr., lecz tej, co daje tylko dwa tysiące złr. — sprawy narodowej. Dola moja taka, że nic nie pozostaje jak być patryotą. Kogo Opatrzność pięcioma obdarzyła córkami, ten, chcąc nie chcąc, musi dociekać tajemnic wysokiej polityki.

Pani Anna jednakże wzniosła się duchem proroczym nieco wyżej i rzekła:

— Ale cóż się stanie, gdy rząd niemiecki wyprze rząd węgierski? Jeśli Tihamer padnie od kuli,

Laczko wtrąconym zostanie do więzienia, a Benö weźmie nogi za pas i nie oprze się aż w Azyi? A jeśli ciebie pochwycą i zapakują, gdzie ci już nie widzieć świata Bożego, nie widzieć ani mnie, ani swych córek? Cóż wówczas stanie się ze mną niebogą i dziewczętami? Cóż stanie się z tobą samym?

Pan Zebulon, słysząc to, zadumał się głęboko. Przeklęta kolizya? A przecież niepodobna było pozostawić stroskanej małżonki bez odpowiedzi.

— No, przyznam ci się — odezwał się stłumionym głosem — że nic jeszcze nie odpisałem mojemu przyjacielowi Ridegvaryemu. Pomówię w tej sprawie z Szalmasem.

Bezzwłocznie potem udał się do swojej kancelaryi i tu skreślił odpowiedź na wzór *ibis redibis*. List zapieczętowany wręczył Szalmasowi, który niezawodnie tu lub owdzie spotka się z jego ekscelencyą. Dla przezorności podpisał się jedynie początkującemi zgłoskami. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, któż bowiem odgadnie, w czyje ręce list ten dostać się może?

Wyprawiwszy Szalmasa, z niemałem spostrzegł zadowoleniem, że wskutek jego dyspozycyi dom cały uległ z rozkazu pani Anny radykalnej reformie. W pokoju gościnnym wyprzątnięto wszystkie kąty, a pościel świeżą przyobleczono bielizną, panny przystroiły się, kurz i pajęczyny znikają z salonu, służba cała w ruchu, miejscowy sklepik z korzennemi towarami w oblężeniu, na dziedzińcu polowanie na kapłony, a po pokojach rozchodzi się woń palonej kawy. I to wszystko na jego rozkaz.

Jeśli Oedön Baradlay zawita pod dach Zebulona, przekona się, że tu umieją przyjmować, jak przystoi dostojnych gości.

Zacny Zebulon zawiódł się jednakże tym razem srogo na gościu.

Punkt o godzinie jedenastej, jak zapowiedział,

nadjechał Oedön Paradlay. Przybył zwykłym wózkiem chłopskim i był ubrany w bekieszę i wysokie buty palone z ostrogami. To jednakże najwięcej frasowało Zebulona, że koń naręczny obok uprzęży miał jeszcze siodło na sobie.

O jakże cieszył się Zebulon z przyjazdu ukochanego gościa! Jak wydawał rozkazy, gdzie mają znieść jego rzeczy, gdzie umieścić konie, jak nie żałować obroku. Był najszczęśliwszym z ludzi, nie na długo jednakże. Zaledwie bowiem wydał, jak przystało na gościnnego gospodarza, niezbędne dyspozycye, odezwał się Oedön:

— Niepotrzebne zachody, jedziemy bowiem zaraz.

— Jakto?—zapytał zdumiony Zebulon.

— Pójdźmy do pokoju, tam ci opowiem.

Zebulon pocieszał się, że to wszystko tylko żarty.

— Jakto, kochany przyjacielu, miałbyś sumiennie nie pozostać u mnie choćby do jutra?—sam pytał, prowadząc Oedöna do swojej kancelaryi.

Na Węgrzech podówczas deputowani do sejmu, przestrzegając zasadę równości, odzywali się do siebie przez „ty."

— Nie inaczej i ciebie ze sobą zabieram. Dziś w nocy zawiadomiono mnie z głównej kwatery, że cały korpus ma dokonać w jak największym pośpiechu dywersyi w kierunku Koszyc, skutkiem czego rozkazano mi poczynić przygotowania, aby wojsku nie zbywało na żywności. Sprawa jest nagląca. Bezzwłocznie po odebraniu powyższego rozkazu zaawizowałem resztę podkomisarzy, gdzie się mają ze mną zjechać. Tyś mi był po drodze, po ciebie przeto sam przybywam.

— A więc po to tylko przybywasz?

— Po to! Bracie Zebulonie, wierzaj mi, że nigdy w życiu nie było mi tak spieszno jak dzisiaj. Armia ma być skoncentrowaną, a do nas należy po-

starać się o to, aby maszerujące oddziały znalazły na oznaczonych punktach nieodzowne zapasy, w przeciwnym bowiem razie nie pobije jej nieprzyjaciel, lecz niedostatek i cała odpowiedzialność spadnie na nas. Dlatego gotuj się co tchu do drogi; dywizya, o której ty masz mieć staranie, dziś już wyrusza do obozu koncentracyjnego, pojmujesz przeto, że nie mamy ani minuty do stracenia.

— Ależ to ogromny kawał drogi.

— Dlatego też podwójnie winniśmy się spieszyć.

— Zostaniesz przynajmniej na obiedzie?

— W takim razie nie zdążymy na czas na oznaczone miejsce.

— A jeśli ci powiem, że żona moja i córka nakrzątały się tyle około obiadu?

— Innym razem niechaj mi będzie wolno złożyć paniom moje uszanowanie, teraz jednakże pali mi się pod nogami.

— Ależ kochany przyjacielu, jesteś, jak mi się zdaje, w gorącej wodzie kąpany.

— Zważ tylko, że nie idzie tu o zabawę, lecz o wojnę.

— O wojnę!

Bogiem a prawdą Zebulon teraz dopiero zaczął zastanawiać się nad własnem położeniem. Dotychczas zapatrywał się na rzecz całą tak, jakby chodziło tylko o niewinną demonstrancyę, której mógł się dowoli napatrzeć z przyzwoitego oddalenia. Teraz jednakże zaczął na seryo namyślać się nad grożącem mu niebezpieczeństwem.

Fatalne położenie.

— Zamiast rozmyślać i namyślać się, zbierz raczej rachunki, weź kasę i nie zapomnij o bieliźnie, bo ta może ci się przydać w obozie; przypasz szablę, włóż za pas pistolety i zabierz z sobą psa owczarskiego, być bowiem może, że nie jedną noc przyjdzie spędzić pod gołem niebem.

Wszystko to nie mogło wlać ochoty w Zebulona i rozweselić jego osowiałego oblicza.

Oglądał się za pozorem, któryby mu pozwolił przewlec minuty słodkiej drzemki.

— Jeśli już musimy koniecznie ruszyć w drogą, toć pozwól mi przynajmniej powiedzieć dziewczętom, aby zaopatrzyły naszą torbę podróżną w prowiant.

— Jakto, czy nie jesteś komisarzem prowiantowym? Wszakże tobie poruczono zaopatrzenie czterech tysięcy żołądków. Zrobiłeś, co do ciebie należało?

— Bezwątpienia.

— Tam, gdzie zasiada do misy cztery tysiące ludzi i dla nas coś się zostanie.

— Ależ żołnierze dostają tylko chleb razowy.

— A więc i nam nie wypada jeść bulki i drobiu, gdy żołnierz ma chleb czarny

— Przynajmniej zostaw mi tyle czasu, abym mógł pożegnać się z żoną i córkami — prosił zrozpaczony ojciec rodziny.

— A więc żegnaj się i powracaj bezzwłocznie.

— Łatwo to powiedzieć: żegnaj się. Ale jak tu ci wytłómaczyć? sam nie wiem, co począć?

— Rób, co chcesz. Powiedz twoim paniom, że wyruszasz na wojnę, gdzie cię może zabiją, posiekają. Lub też nie wspominaj ani słówka o odjeździe i cichaczem wsiądź ze mną na wózek. Rób zresztą co ci się podoba, bylebyś był gotów w pięciu minutach.

Zebulon westchnął żałośnie. Chciał i nie chciał żegnać się z rodziną. Rozważał, z kim bezpieczniej zmierzyć się oko w oko: z nadciągającym nieprzyjacielem, lub też z panią Anną, która niezawodnie weźmie go na spytki i nie puści płazem zawodu z obiadem.

Po krótkiej walce wewnętrznej postanowił wyjechać bez pożegnania. Oedön pochwalił go za to.

W chwili, gdy mieli już siadać na wózek, spostrzegł służącą. Zawoławszy więc ją, zapytał:

— Co robią panny?

— Jedna przyrządza w kuchni legominę, druga ubiera trzecią, dwie inne karbują włosy.

— A pani?

— Panią poszła właśnie Marta ubierać.

— Dobrze, powiedz paniom, żeby nas nie czekały ani na obiad, ani na wieczerzę. Nie mogę powiedzieć nawet jeszcze, kiedy powrócę.

Z ciężkiem sercem zajął na wózku miejsce obok Oedöna. Konie ruszyły, a biedny Zebulon nie miał odwagi obejrzeć się po za siebie.

Do późnej nocy woził Baradlay zgłodniałego Zebulona po górach, lasach, dolinach. Gospody po drodze były już do szczętu wypróżnione przez przeciągające oddziały i z wielką tylko trudnością udało się naszym podróżnym zdobyć w jednej karczmie po czarce nieosłodzonej, lichej czarnej kawy.

Zebulon starał się wprawdzie wszelkiemi siłami nakłonić swego towarzysza, ilekroć przejeżdżali przez jakąś wieś, do złożenia wizyty bądź to księdzu miejscowemu, bądź dziedzicowi. Oedön jednakże głuchym był na wszelkie argumenty Zebulona i kazał pospieszać.

Po południu natrafili na szereg powózek, wiozących chleb dla wojska.

— No, teraz możesz zaprowiantować się do woli!—odezwał się Oedön do swego towarzysza.

Pan podkomisarz rządowy kazał sobie podać bochenek chleba razowego i zabrał się do skonsumowania skromnego obiadu.

— Smakuje ci — pytał Oedön, spoglądając na dławiącego się razowcem Zebulona.

Zebulon nie mógł przecież wydać niekorzystnego świadectwa pieczywu, nad którego dobrocią powinien

był czuwać. Śmiał się więc w duchu Oedön z nieboraka, udającego, że z niezwykłym apetytem połyka czarne kęsy. Zebulon zaś wściekał się na Oedöna, iż włóczy go z sobą o chłodzie i głodzie.

Około wieczora napotkali partyę wołów, pędzonych do obozu. Oedönowi zdawało się, że twarz poganiacza, który jechał konno, jest mu znaną. Gdzieś ją widział, gdzie? nie mógł sobie tego przypomnieć.

Im byli bliżej miejsca przeznaczenia, tem więcej ożywiała się droga, którą pospieszali. Wozy z sianem, słomą, owsem, ubraniem, najrozmaitszą bronią, długim ciągnęły szeregiem, a w niektórych miejscach ścisk był tak wielki, że z trudnością naprzód posuwać się mogli. Wszystko to niecierpliwiło głodnego Zebulona i w najgorszy wprawiało humor. Późnym już wieczorem zdążyli do miasta i stanęli kwaterą w domu burmistrza.

— Ah, tu będzie można przynajmniej zjeść kolacyjkę—myślał sobie Zebulon, wyciągając skurczone członki.

Gorzkie rozczarowanie.

Zaledwie się rozgościli, aliści ze wszystkich stron przypuszczono szturm do komisarza rządowego. Jeden dopominał sie o prowianty, drugi wołał o mundury, trzeci o obuwie, inny pytał się tonem niekoniecznie grzecznym, gdzie siano? gdzie słoma? a Zebulon na to wszystko jedną miał tylko odpowiedź: już jest w drodze! już idzie!

Oedönowi żal się w końcu zrobiło Zebulona, załamującego rozpaczliwie dłonie i stojącego wobec rozszalałych żywiołów bezradnie.

— Być może, bracie — odezwał się do niego— że i słoma i prowianty i ubranie są już na miejscu, tylko, że nikt o nich nie wie. Siadaj przeto na mojego konia, objedź wszystkie magazyny, wydaj potrzebne rozporządzenia i zdaj mi z twej przejażdżki dokładny raport.

Tego jeszcze było potrzeba. Tłuc się o głodzie na szkapie, ważyć słomę i siano, rozdzielać prowianty, ujadać się z żołdactwem i słuchać impertynencyj gburowatych oficerów. Piękne zaprawdę widoki dla Zebulona! Nie było jednakże rady dla biednej ofiary sprawy narodowej i rad nie rad zastosował się ściśle do polecenia Oedöna.

Powrócił we dwie godziny. Zgorszenie jego nie miało granic. Rad był wtajemniczyć Oedöna w przebyte cierpienia.

— Kochany braciszku, o mało nie rozdarli mnie, jakbym był hersztem kohorty, na sztuki. Dziwię się, że nie pożarto mnie.

— Dobrze, dobrze, innym opowiesz mi razem — przerwał Oedön—a teraz chodź na wieczerzę, a posiliwszy się, zabierz się do spisania raportu.

O ile wzmianka o wieczerzy ożywczo oddziałała na komisarza rządowego, o tyle polecenie co do raportu zatruło mu całą wieczerzę.

Już to w sztuce pięknego i poprawnego pisania Zebulon nie był wcale biegłym. Bał się pióra i atramentu, jak ognia. A tu mu każą wprost od stołu zasiąść do przeklętego raportu!

Zaledwie sprzątnięto szklanki i talerze, Oedön położył przed komisarzem arkusz papieru, podał kałamarz i pióro i polecił bezzwłocznie spełnić dane mu zlecenie.

Zebulon nie miał nawet wyobrażenia, jak wziąć się do rzeczy. Przedewszystkiem intrygowały go linie i kratki na podanym arkaszu. Oedön, widząc zakłopotanie swego kolegi, starał się go pouczyć o ich znaczeniu, sam wypisał nagłówki i kazał mu wypełnić następnie pojedyńcze rubryki.

Instrukcye jednakże Baradlaya nie na płodną padły niwę. Ani sposób było Zebulonowi przyjść do ładu z temi przeklętemi liniami i kratkami. Do tego wszystkiego izba, w której miał spełnić tak trudne

polecenie, roiła się przychodzącymi i odchodzącymi... Jak tu pracować w takim hałasie?

Oedön przyjmował jednego po drugim, odbierał raporta, usuwał nieporozumienia, godził zwaśnionych i tysiączne inne załatwiał czynności, a robił to wszystko, jak ze zdziwieniem zauważył Zebulon, w sposób grzeczny i delikatny.

Naraz wpada z hałasem jakaś buńczuczna figura:

— Gdzie tu komisarz od słomy? — spytał gniewnym głosem.

Zebulon ściągnął do siebie niniejszą interpelacyę i odparł:

— No i cóż tam znów nowego?

Interpelant znany jest jako głośny zawalidroga, herszt kohorty, która chętnie spieszy zawsze tam, gdzie można innych obdarzyć guzem lub samemu go się nabawić.

Z ichmością tym spotkaliśmy się już raz, choć na krótko, a to w czasie zaślubin Oedöna z córką pastora, a spotkamy się z nim jeszcze niejednokrotnie w ciągu tej powieści. Jest to Grzegorz Boksa. Miał na sobie czerwonem suknem podbity dołman i spodnie skórzane, naszywane płaskiemi mosiężnemi guzikami; u boku ogromną szablę, za pasem parę pistoletów, a przez plecy zawieszony batog, na końcu którego wpleciony był drut spiczasty.

— Co chcę? — pytał. — Radbym wiedzieć, jakiem prawem Szwaby rozwalają mi się na mojej słomie?

W odpowiedzi na to Zebulon położył pióro i rozkrzyżował ramiona. Któż odgadnie tego waryata?

— Powoli, powoli, bratku — zagadał Oedön. — Przedewszystkiem powiedz, kim waszeć jesteś? Dowódcą wojska?

— Nie inaczej, tak, dowódcą wojska. Komendant batalionu z podwójnemi bagnetami.

— Ah, poganiacz wołów.

— Do usług!

— A cóż, przeszkadzają wam Niemcy?

— Urwisze ci, z których przez dzień żaden mi się nie pokaże na oczy, a jest to studencki batalion trupich głów, bo to noszą na czapkach trupie głowy w miejsce kokard, skoro się zmierzchnie, kwaterują mi się zawsze tam, gdzie ja zapędzam moje woły; otóż zamiast wołów, oni rozwalają się na słomie.

— No, i cóż więcej?

— Co więcej? Będzie i więcej! Przez noc całą śpiewają, jakby opętani. Budzą mnie ze snu — czyż to nie dosyć?

Oedön przygryzł wargi — panował jednakże nad sobą.

— Ależ, kochany przyjacielu, jakżeż można żałować tym dzielnym młodzieńcom, którzy porzucili własną ojczyznę, aby przelewać krew za naszą, garstki słomy?

— Ah, co mnie tam obchodzi ta zbieranina z całego świata — rozumował poganiacz wołów, rozzuchwalony łagodnym tonem Oedöna—i bez nich damy sobie radę z przeciwnikiem. Byłem, chwała Bogu, w bitwie, w której lepiej trochę szło, niżeli obecnie. Gdybyś mnie pan był wonczas widział! Trzepałem wroga, co się dało i pędziłem przed sobą całe chmury tego tałałajstwa. Już ja sam pokażę szwoleżerom, co umiem. Po co tu nam jakichś Wiedeńczyków? — rozpędzić ich na cztery wiatry, bo hołota ta zanieczyszcza nam tylko naszą armię.

Już i Zebulonowi było tego zanadto. Wpadł w gniew srogi.

— A pójdziesz mi ztąd, ty pijany wisielcze, ty chłystku; wynoś się, bo inaczej tym kałamarzem rozwalę ci twoją mózgownicę. Pilnuj swych wołów i siedź cicho.

Po tak energicznem wystąpieniu nie mógł już

Zebulon powrócić do równowagi. Ah, jakże żałował, iż nie poczęstował naprawdę poganiacza kałamarzem. Nie byłoby atramentu i historya z raportem byłaby ubitą.

A tak musiał na nowo zabierać się do pracy; nieczuły bowiem nadkomisarz nie znał litości. Biedny Zebulon, jak mógł, opierał się potędze snu, który centnarowe ciężary zawieszał u jego powiek.

O spaniu jednakże nie mogło być już mowy.

Za oddziałem aulistów spieszył inny oddział, za nim trzeci, czwarty, wszystkie maszerowały przy odgłosie bębnów i trąb, a za nimi posuwały się działa i wozy, ładowane bronią i żywnością, pod których ciężarem tętniała ziemia, drgał dom cały i jęczały szyby w oknach. Jak tu zasnąć!

Zebulon pocieszał się słabą nadzieją, że Oedön zaśpi może. Złudna nadzieja! Nim kukułka czwartą wykukała, zapukano do drzwi jego, a równocześnie posłyszał złowrogi głos Oedöna:

— Wstawaj. Ruszamy natychmiast w drogę.

— Co? znów w drogę?

Oedön zawiadomił go, że nie ma czasu do stracenia; nieprzyjaciel jest już na karku.

Zapóźno przekonał się o prawdzie przysłowia: kto chce pływać, musi iść w wodę. Pierw o tem nie myślał.

Nim się obejrzał, znalazł się wśród wiru bojowego i szczęku oręża. Dokoła otoczony wojskiem i wojskiem; popychają go naprzód, odwrót niepodobny; czy chce, czy nie chce, musi zajrzeć w oczy nieprzyjacielowi i posłuchać huku dział... W marszu, który od świtu do późnej przeciągnął się nocy, istne przeszedł tortury; kazano mu utrzymywać ład między nadciągającemi z różnych stron, najeżdżającemi na siebie, zbitemi często w jedną masę furgonami; krzyczał, nawoływał, prosił, błagał, ile sił starczyło, wszystko to jednakże nie na wiele się zdało, i gdy-

by nie pomoc Oedöna, nie wiemy zaprawdę, jakby pan komisarz rządowy wywiązał się ze swego zadania.

Na noclegu zaproszono Oedöna na wieczerzę do stołu przygotowanego dla wyższych oficerów i sztabu generalnego. Tu mógł się nasz Zebulon do woli nasłuchać i napatrzyć przyszłym planom operacyjnym; kilku oficerów i generałów, nachylonych nad kartą Węgier, wskazywało palcami, zkąd nadciągnie nieprzyjaciel, jak daleko trzeba będzie posunąć się armii narodowej, które obsadzić wzgórza, które popalić mosty, gdzie w końcu należy oczekiwać stanowczej bitwy.

Serce Zebulona odbywało w tej chwili funkcye zegara ściennego.

Obliczono wreszcie siły przeciwnika, obliczono, ile prowadzi za sobą dział i bateryj rakietniczych.

Wiadomość o rakietach o mało nie powaliła z nóg ojca pięciu córek. Trzebaż było nieszczęścia, iż kilka dni temu wpadł był mu u jednego z sąsiadów do ręki ów tom encyklopedyi powszechnej, w którym mowa o rakietach kongrewskich. Opis ten napełnił go zgrozą i strachem. Powiedziano tam, że kropla ognistej masy przepala suknie, skórę, ciało i kości; każda kropla takiej rakiety niesie z sobą śmierć straszną, bolesną, człowiek bowiem nietylko umiera, lecz smaży się, jak w piekle.

Bujna fantazya Zebulona wszelkie możliwe wynajdywała środki, jakby wycofać się z tak niebezpiecznej alternatywy. Ah, jakżeż zazdrościł młodemu oficerowi, którego kuryerem wysłano do Pesztu, ah, jak zazdrościł tym wszystkim, co ani wiedzą, ani dowiedzą się czegośkolwiek w swem życiu o tak nieludzkich wynalazkach... W tej chwili dopiero ocenił, jak należy, doniosłość znanej piosnki ludowej:

„Lepiej ci to na wiosczynie kłosy w polu zbierać,
Aniżeli z wojakami w boki się podpierać."

Postanowił wreszcie wyspowiadać się otwarcie przed Oedönem.

— Dobry mój i kochany przyjacielu — zagadał go, biorąc na stronę—widzisz sam, żem słaby, słabowity. Kiepski ze mnie żołnierz. Mam zresztą żonę, pięć córek, co one poczną, gdy mnie sprzątnie kula działowa lub spali ta przeklęta rakieta. Bądź moim dobroczyńcą i nie wódź mnie już za sobą. Jeśli już nie ma innego dla mnie ratunku, zostaw mnie tu przy ciurach obozowych...

Oedön, zmiękczony tonem błagalnym, przychylił się do jego prośby.

— Zgoda, mój stary, wybierz sobie miejsce, gdziebyś się czuł najbezpieczniejszym. Część zapasów żywności tu pozostanie. Chcesz—pozostań. Tyle ci jednakże muszę powiedzieć, że w czasach wojennych nikt nie zgadnie, gdzie najbezpieczniej.

Zebulon nie miał słów na wyrażenie swej wdzięczności dla Oedöna. Nie pragnął nic więcej, jak tylko w przyzwoitej znaleźć się odległości od szczęku oręża i nie słyszeć syku rac kongrewskich.

Ze świtem wojsko wyruszyło w pochód, pozostał się tylko mały oddziałek, jako asekuracya pociągów. Co za błogie uczucie nie słyszeć ani huku bębnów, ani przygrywki trąby bojowej! Zebulon, czując się bezpiecznym, położył się spać i spał do wieczora. Obudziwszy się, siadł do stolika, aby dokończyć rozpoczęte rachunki.

Do północy uprzątnął się z rubrykami i chciał właśnie odłożyć pióro, gdy wtem spłoszyły go strzały z broni ręcznej. Nieprzyjaciel!

Oj, Baradlay prawdę powiedział, że w czasie wojennym nikt nie zgadnie, gdzie najbezpieczniej.

Zebulon, choć zdjęty śmiertelną trwogą, nie stracił przytomności; jedną ręką pochwycił za pugilares, drugą za buty, wyskoczył przez okno i dalejże w las; biegł, ile mu tylko sił starczyło, a biegł tem

szybciej, im gęściej padały strzały. Z lasu dostał się do jakiejś wioski, tu wynajął podwodę, obiecując złote góry temu, co go dowiezie do domu.

Odtąd nie widział już więcej armii narodowej. Kasę oddał najbliższemu sędziemu. Rachunki zaginęły. Żywa dusza nie spytała się go, co się stało z mieniem powierzonem jego pieczy. W kilka lat później dopiero wpadł mu w ręce dziennik węgierski, w którym opisano wypadki dnia tego, a z którego dowiedział się ku największemu swojemu zdziwieniu, że Zebulon Tallerosy powstrzymywał z pomocą ludności wiejskiej przez kilka godzin atak silnego oddziału nieprzyjacielskiego i to z narażeniem życia i uratował nie tylko powierzone mu prowianty, lecz i kasę wojenną.

* * * * * * * * * * * * * * * * * * *

Cóż się stało?

Opowiem, nie obwijając nic w bawełnę. Wojsko węgierskie pobite zostało na głowę pod Koszycami. Wojska cesarskie rozbiły je podobno w puch, jak to miało miejsce z amerykańską armią republikańską w pierwszej jej bitwie pod Bull-run.

Dowództwo w słabych spoczywało rękach, podwładni oficerowie nie pełnili swej powinności, artylerya strzelała najgorzej, szeregowiec nie wytrzymywał ognia przeciwnika, który bez zbytniego wysiłku zmusił Węgrów do ucieczki. Ostrzeliwanie dwunastofuntowemi działami głównego gościńca wystarczyło, aby złamać i rozbić centrum armii węgierskiej. Zacny, sędziwy, dobroduszny wódz naczelny, węgierski minister wojny, stanął jak wryty naprzeciw śpiżowych paszcz austryackich i błagał żołnierzy, aby nie bali się dział, wiedzą bowiem, że kule świszczą nad głowami nie zrządzając żadnej szkody.

Nic to nie pomogło, popłoch był ogólny. Smutnej to i bolesnej pamięci dla nas bitwa. Co tylko pod madziarskiemi walczyło sztandarami, podało tył

nieprzyjacielowi. Gdy w kilka dni później zjawił się minister wojny w kolegialnej sali debreczyńskiej, gdzie obradował sejm, rozpoczął swoją mowę w sposób następujący:

„Wiele, bardzo wiele dałbym za to, abym mógł przemawiać w ciemnicy, w tym bowiem razie nie widzianoby rumieńca—napędzonego wstydem na mą twarz..."

I nam oblicze rumieni się wstydem, a przecież ile to krwi szlachetnej przelało się od tego czasu — krwi, która byłaby w stanie najcięższe zmyć przewinienia!

Wonczas jednakże hańba była zupełną.

A gdy w końcu wódz naczelny wojsk cesarskich wysłał za uciekającymi kongrewskie rakiety, i gdy owe nieznane, straszne węże ogniste, sycząc, pryskając i ziejąc iskrami powitały rozbite szeregi, niosąc z sobą śmierć i zniszczenie, o wtedy popłoch nie miał granic. Kawalerya i artylerya, pociągi i piechota, rekruci i gwardya narodowa—wszystko to tworzyło jedną zbitą masę, w której nadarmoby oglądać się za przełożonymi i podwładnymi. Nikt nie słuchał komendy, każdy o własnym jedynie myślał ratunku. Nieprzyjaciel potrzebował wysłać za uciekającymi jedynie oddział konnicy i wysunąć nieco naprzód baterye rakiet, aby stać się panem wszystkich dział węgierskich i licznego zabrać niewolnika...

W takiej przeklętej chwili ktoś hartownego serca i przytomnego umysłu jest istnym zesłannikiem niebios.

Oedön Baradlay nie był żołnierzem, ani geniuszem wojskowym, posiadał jednakże ów przymiot, bez którego nikt nie może być wielkim człowiekiem—krew zimną. Jemu to było przeznaczonem zajrzeć odważnie w oczy widmu, które dziesięć tysięcy żołnierzy spędziło z pola i oddało na pastwę najdotkliwszej dlań hańby.

Oedön, skoro spostrzegł, że bitwa stracona, dosiadł konia i wytężył wszystkie swe władze umysłowe na obmyślenie środka, mogącego zaradzić następstwom strasznej porażki.

Zmusić spłoszone ognistym deszczem pułki rekrutów do powstrzymania się, było czystem niepodobieństwem, a tu oddział kawaleryi nieprzyjacielskiej już dopada gościńca, aby się rzucić na tyły uciekających.

— Utrudnijmy im przynajmniej robotę!—pomyślał Oedön i donośnym odezwał się głosem: — Hej, chłopcy, mamyż pozwolić, aby działa nasze dostały się w moc wroga?

Kilku odważniejszych i więcej zdeterminowanych przystanęło. Byli to tylko szeregowcy.

Poświęcimy się za innych! I zwrócili się piersiami naprzeciw galopującej kawaleryi.

Wtem niespodziewana zawitała im pomoc.

Z gaju, rozciągającego się wzdłuż drogi, przyjęto nacierającą kawaleryę tak morderczym ogniem plutonowym, że zmuszoną była zrobić w tył zwrot, znacząc swój odwrót rannymi i zabitymi jeźdźcami.

Z okrzykiem hurra! wyskoczył z zasadzki oddział, któremu tyłe miano do zawdzięczenia. Był to legion trupich główek. Legion różnonarodowych studentów. Dowódca legionu, długonogi Mausmann, zawołał, skoro zobaczył Oedöna:

— Hurrah, mój panie patronie! Oto, co się zowie taktyką barykadową.

Oedön serdecznem uściśnieniem ręki powitał jowialnego studenta, który dlatego nazwał go swym patronem, iż Oedön przedewszystkiem o tem pamiętał, aby auliści byli należycie nakarmieni i przyodziani, i aby młodzież węgierska bratała się z nimi.

Oedön obaczył się przeto niespodzianie na cze-

le dwustu przeszło zuchów. Oddziałek to wprawdzie mały, lecz pełen serca i determinacyi.

Jak tylko spostrzegł nieprzyjaciel, że garstka ta rozłożyła się na gościńcu i uformowała front, celem odparcia jazdy, szykującej się ponownie do ataku, skierował na nią swoje baterye.

— Ah, stare znajome! — żartował po dawnemu rymami Mausmann.—Patrzcie, jak tam jedna w piasku dziurę wierci. Druga dała nura; trzecia w tamtę się wdała, ale czwarta za to dzielnie się spisała...

Rakieta padła rzeczywiście, sycząc i kipiąc, u nóg improwizatora. Mausmann, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, podskoczył i pochwycił rękoma rakietę i wrzucił ją do fosy, gdzie pękła.

Młodzi rekruci śmieli się.

A śmiech ten był zadatkiem późniejszych ich czynów bohaterskich.

Nauczyli się drwić ze śmierci. Zrobili odkrycie, że i śmierć kiepską jest tylko komedyantką, która swym patosem i swemi grymasami imponuje jedynie galeryi i ją przejmuje strachem; ustępuje jednakże przed krytykiem i respektuje go jak przynależy.

Skoro zobaczyli Austryacy, że nie wiele wskórają rakietami, przypuścili nanowo jazdę na mężną garstkę.

Ta ustawiła się wszerz gościńca i oczekiwała ze spokojem ataku kawaleryi.

Gdy nieprzyjaciel zbliżył się na jakie dwadzieścia kroków, powitano go salwą karabinową. I znów mieszały się szeregi jazdy, która odwrót swój znaczyła, jak pierwszym i drugim razem, rannymi i zabitymi.

A garstka junaków, nabiwszy broń, wzięła ją na ramię i ruszyła gościńcem za swoimi. I znów zajęczała ziemia pod kopytami koni. To kirasyerzy

próbują jeszcze raz szczęścia. Tylko, że tym razem nie pędzili wprost bitym gościńcem, lecz rozwinęli się w dwa skrzydła z wyraźnym zamiarem obsaczenia oddziałku. Bohaterowie nasi przystanęli i wzięli na cel; nieprzyjaciel zachwiał się na chwilę, nie cofnął jednak, owszem, do nowego sposobił się ataku. A gdy uszykował się i całym pędem uderzył na garstkę rekrutów, nie mających już czasu do nabicia broni, o, wtedy mordercza zawrzała walka. Walczono bagnetem, kolbą i szablą; rekruci dokazywali cudów waleczności, a gdy ostatnie odparto natarcie, odezwał się Mausmann do Oedöna:

— W ładownicach naszych po jednym tylko mamy naboju. Strzelać więcej nie będziemy. Za plecami naszemi most, tam się usadowimy. Ciężka jazda nie zapuści się za nami trzciną zarosłem bagniskiem. A teraz młodzi przyjaciele poprzysięgnijcie mi, że odtąd walczyć będziemy tylko na bagnety.

I szaleni, pełni zapału, egzaltowani chłopcy uklękli na gościńcu i z podniesioną do góry prawicą odśpiewali przysięgę z jednej z oper, może być, że z Beatryczy, zdecydowani odegrać aż do ostatniej sceny poważny dramat.

Most tworzył tu punkt nieco wyniosły, dominujący nad płaszczyzną, a stanąwszy na nim można było objąć okiem wszerz i wzdłuż rozciągającą się panoramę.

Z jednej strony mostu pola nie bieliły się śniegiem, lecz z drugiej za to łan obszerny wyglądał gdyby biała chusta. Wiatr nagromadził tam masy śniegu i potworzył fantastyczne pagórki. W śnieżnych tych zawiejach ugrzęzły setki wozów z żywnością, dział, jaszczyków, wszystko to zbite w jedną bezładną masę, nie mogącą ani cofnąć się, ani posunąć naprzód; obraz ten uzupełniali uciekający w dzikim popłochu żołnierze, piesi i konni.

— Nie dozwólmy, aby nieprzyjaciel rozkoszował się tym hańbiącym widokiem!

— Nie dozwolimy! — odezwało się z dwustu piersi.

Mały oddziałek, obsadziwszy most, zanucił ponownie pieśń przysięgi, której rzewne grobowe tony wiatr roznosił daleko i mieszał z łoskotem nadciągającej do ostatniego ataku jazdy nieprzyjacielskiej. Jazdę wspomagała baterya, rzucając bezustannie śmiertelne pociski na stojących na moście.

Młodzi bohaterowie stali jak wryci, śpiewali pieśń o owych bohaterach, co przysięgli nie walczyć inaczej, jak na bagnety.

Oedön dumał w tej chwili o młodej żonie, rozkosznej dziecinie, o stroskanej matce i odezwał się pełen determinacyi do rekrutów:

— Nie obawiajcie się, chłopcy, na sto kul jedna zaledwie zabija.

A ta jedna trafiła właśnie. Czerep granatu powalił w tej chwili młodego honweda, który bez jęku skonał w oczach Oedöna.

Oedön widząc to, zawołał:

— A gdy trafi, przynosi śmierć najpiękniejszą.

Przy tych słowach chórem odezwał się oddział:

— Eljen a haza!

Nadciągająca w pełnym pędzie jazda zwolniła nagle, widocznie spłoszona. Nie okrzyk bojowy jednakże zbił ją z toru, lecz zupełnie co innego. Z zarośli zmarzłego trzęsawiska wychylił się niespodzianie szwadron huzarów.

Napad jego był równie szybki, jak niespodziane zjawienie się.

Nim nieprzyjaciel zdołał rozwinąć przeciw niemu front, wpadli huzarzy na skrzydła, rozbili jego szeregi i odcięli go od szosy. Rozproszeni kirasye rzy szukali ratunku w ucieczce.

Szwadron huzarów, zamiast uganiać się za ucie-

kającymi, zrobił nagle zwrot i uderzył całą siłą na bateryę rakiet.

Teraz dopiero spostrzegli artylerzyści, że ciężkiego dopuścili się błędu.

Zwycięzca najpewniejszy, że nic mu się już oprzeć nie zdoła, wysunął nieco za daleko bateryę rakiet i drogo opłacił swój błąd. Cała baterya razem z amunicyą dostała się w ręce węgierskie. Naturalnie, że po tak ciężkiej stracie nie myśleli już o ściganiu armii powstańczej! Zatrąbiono do odwrotu. Wysunięte naprzód oddziały nieprzyjacielskie zaczęły się cofać. Pobite wojsko mogło spokojnie odbywać odwrót w wytkniętym kierunku.

Szwadron huzarów zwrócił się prosto ku mostowi. Liczył mniej więcej dwustu ludzi. Na czele jego jechał dowódca. Smukła, stateczna postać, z pięknemi wąsikami, iskrzącemi oczyma, śmiało zarysowanym nosem orlim.

Między stojącymi na moście wojownikami znalazło się dwóch, którym się zdawało, że twarz tę gdzieś już widzieli. Jednym z tych był Oedön, drugim Mausmann. Ostatni poznał pierwszy dowódcę szwadronu. Wszakci rozmawiał z nim przed kilku miesiącami. Oedön nie widział go od lat sześciu.

Nagle zawołał legionista:

— Ah, kogóż widzę... — Więcej nie mógł przemówić, łzy stłumiły głos w piersi; rzucił się ku dowódcy, objął go, całował, ściskał i o mało nie ściągnął z konia.

— Hura Baradlay! Hura Ryszard Baradlay!

Teraz dopiero poznał Oedön brata. Obaj bracia rzucili się w objęcia. Oedön płakał. Ryszard śmiał się. Wszyscy przytomni tej scenie płakali i śmieli się naprzemian. Huzarzy, honwedzi, legioniści, ściskali się, całowali i wynosili jeden drugiego pod niebiosa.

— Spadłeś jakby z nieba zesłany—odezwał się Oedön do młodszego brata.

— Przysłał mnie tu właściwie stary „Koficz" [1]). Skoro zetknąłem się z uciekającymi i doniosłem ministrowi wojny w krótkich słowach, zkąd i jak przybywam, odezwał się tenże do mnie: Spiesz się, brat pański gdzieś pozostał w tylnej straży, musi mu tam być gorąco — wydobądź go z fatalnego położenia.

— Doprawdy, gdybyś tu nie przybył, byłbyś w tej chwili może już głową rodziny Baradlayów.

— Niech mnie Pan Bóg strzeże od tego! Stary jednakże inne jeszcze dał mi zlecenie. Jeśli spotkam gdzie mojego brata, mam mu porządnie zmyć głowę. A więc pytam się ciebie, Oedönie Baradlay, co waszeć robisz do dyabła w tym tu wirze bojowym? Waszeć jesteś komisarzem rządowym, obowiązkiem przeto jego jest pilnować pociągów. Sejm nie przysłał po to pana, abyś harcował z nieprzyjacielem. Masz przytem żonę młodą, dzieci. Poczekajno waszeć, oskarżę cię przed matką.

Gdy wymówił słowo „matka," oblicze Ryszarda przybrało wyraz poważny. Przestał żartować, i uścisnąwszy ze wzruszeniem dłoń brata, rzekł:

— Biedna, poczciwa mateczko! Może przeczucie ją natchnęło, kiedy przyszła do mnie i rzekła:— Idź tam, synu!

Na wspomnienie drogiej matki uściskali się raz jeszcze i ucałowali Baradlayowie. Wszakci ona to była okiem Opatrzności w latach ich chłopięcych i w latach młodocianych, a oko jej czuwa i dziś na polu walki, jak niegdyś czuwało nad ich kolebką.

---

[1]) „Koficz" (człowiek dobroduszny); taką nazwę nadali żołnierze ministrowi wojny, który był zarazem ich naczelnym wodzem.

ROZDZIAŁ VI.

Betyar[1]).

Z tej rozbitej, zdemoralizowanej, zniechęconej masy zorganizować w przeciągu dwóch tygodni armię, dzielną, waleczną armię, zdolną nietylko stawić opór, lecz gotową do kroków zaczepnych — było to, zaiste dzieło graniczące niemal z niepodobieństwem.

. . . . . .

Noc po bitwie, o której była mowa w przeszłym rozdziale, przepędzili Oedön i Ryszard w najbliższej wiosce. Noc cała zeszła im na obmyślaniu środków, mogących powstrzymać rozbite szeregi pokonanego wojska i zaprowadzić w nich jaki taki porządek.

— Gdyby można coś dostać do zjedzenia—odezwał się Ryszard—gdyby tak kawał pieczeni, zapach jej niezawodnieby ściągnął rozproszonych żołnierzy.

Lecz o to właśnie było najtrudniej. Nieprzyjaciel podwakroć przeciągał przez wieś, a to, co po nim pozostało, wystarczyło na zaspokojenie bardzo skromnych tylko potrzeb. Chleba nie brakowało wprawdzie, furgony bowiem zostały uratowane, lecz mięsa nie było wcale.

— Jakby to dobrze było, gdyby zjawił się w tej chwili Grzegorz Boksa ze swym dwubagnetowym batalionem—rzekł Oedön i polecił Ryszardowi, aby rozesłał patrole dla odszukania zaginionego bohatera, który być może, iż znalazł gdzieś dla siebie i swojej trzody bezpieczną przystań i niema odwagi wychylić się z niej, nie będąc pewnym, czy dostanie się szczęśliwie do swoich.

---

[1]) Zbieg, uciekający w step za jakieś przewinienie, przed wojskiem i t. p.

Wysłano więc za Boksą i jego wołami patrole, we wszystkich kierunkach. Szukano go nadaremno do późnego wieczora.

Wreszcie zjawił się tyle upragniony Boksa.

Przybył jednak sam, bez wołów, prowadząc za uździenicę wierzchowca swego. Widocznie zsiadł z konia w tym jedynie celu, aby widziano, że kuleje. Jęczał przytem i stękał i zwiesił żałośnie głowę, podpierając się, niby kulą, ogromnym pałaszem.

— Heda Boksa! — zawołał Oedön — a cóż waszeci się stało?

— Ach, jaśnie panie — jęczał dzielny poganiacz — pytasz się, co mi się stało, czyż nie widzisz, że już po mnie? Aj, aj, jak boli! Trafiła mnie kula armatnia czterdziesto-funtowa.

Mausmann i reszta obecnych tej scenie głośnym wybuchnęli śmiechem. Boksa spostrzegł mimowoli, że opowiadanie jego nie znalazło wdzięcznych słuchaczów.

— A gdzie woły? — dopytywano się ze wszystkich stron.

— Gdzie woły? Gdybym to wiedział, co się stało z mojemi kochanemi wołkami!

— Ale na Boga, mój przyjacielu—odparł na to Oedön—pozostawiłem cię w miejscu, gdzie ci nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo; czemu to przypisać, iż uratowawszy własną osobę, zagubiłeś całe stado wołów?

— Proszę najpokorniej, opowiem, jak się stało. Gdy się bitwa rozpoczęła, wydobyłem z za cholewy nóż, z torby chleb i słoninę i zabrałem się do spożycia skromnego podwieczorku; wtem naraz zaczyna strzelać przeklęty Niemiec, lecz strzelać tak siarczyście, że wypadły mi z ręki nóż, chleb i słonina. Teraz, myślę sobie, wybiła twoja ostatnia godzina, luby Grzegorzu. Kula gwizdnęła koło mnie i drasnęła mnie, lecz kula, niech nie skłamię, najmniej 48-fun-

towa... Dwie były połączone łańcuchem, widziałem na własne oczy. Jak pragnę zbawienia...

— Dosyć już tego; drapnąłeś i kwita. Lecz co się stało z wołami?

— Ale, proszę uniżenie, jakże mam wiedzieć, co się stało z wołami? Gdybyś pan był w podobnym jak ja ogniu, gdyby tyle kul na pańskie spiknęło się życie, byłbyś zapomniał nietylko o wołach, lecz o całym świecie.

— Dajno pokój, bracie, z nim inaczej potrzeba rozmawiać—odezwał się Ryszard.

— Tchórzu nędzny, tu potrafisz rozprawiać i pleść brednie niestworzone, a tam za pierwszym drapnąłeś strzałem i powierzoną ci trzodę oddałeś na łup nieprzyjacielowi. — Hej, kaprale! Ławkę! Palnijcie mu odlewanych 50 bizunów.

Przy słowach „odlewanych 50“ wyprostował się znękany i skulony Boksa, wzniósł hardo głowę, a uderzając się pięścią w piersi, zawołał zuchwale:

— Hola! na takie żarty nie pozwalam... Nazywam się Grzegorz Boksa, szlachcic z dziada pradziada.

— Tem lepiej dla ciebie—odparł na to Ryszard z humorem.—W takim razie 50 nahajek przylgną nie na twojej, lecz na oślej skórze [1]).

— Przypominam panu rotmistrzowi — odezwał się Boksa—że najjaśniejszy sejm zniósł kary cielesne nawet dla nieszlachty.

— Otrzymawszy swoją porcyę, możesz apelować, gdzie ci się podoba. Tu nie czas, ani miejsce na parlamentowanie. W tył zwrot, marsz! Odprowadźcie go i palnijcie 50!

I stało się, jak powiedział rotmistrz; Boksa wił się i ryczał w czasie egzekucyi, jak nieboskie stworzenie.

---

[1]) Aluzya do pargaminu dyplomów.

Po spełnionym rozkazie musiał według zwyczaju przyjść do rotmistrza i podziękować „pokornie“ za udzieloną mu lekcyę.

— A teraz odbierzcie mu broń, posadźcie na konia i puśćcie na cztery wiatry. Żołnierz, który się nie wstydzi podawać tyłu nieprzyjacielowi, zasługuje, aby mu wyliczono plagi na ową część ciała, którą nieprzyjacielowi pokazywał.

Odebrano przeto Grzegorzowi w mosiądz oprawną szablicę i pistolety, zawieszono harap na szyję, posadzono na konia i wyprawiono z obozu.

Niemiecki student, stojący na straży, zawołał jeszcze za nim szyderczo:

— Szczęśliwej drogi, papo Grzegorzu!

— A poczekajcie...— mruczał Boksa, zgrzytając z bólu i wstydu zębami.—Nauczę ja was i odpłacę!

Za chwilę znikł Boksa w ciemnościach nocy.

Noc była zimna, ponura. Płatki śniegu migotały w powietrzu, wiatr świszczał przeraźliwie.

Jeździec obejrzał się raz i drugi ku obozowi, zkąd go haniebnie wygnano. Klął i zaprzysięgał zemstę.

Jak żyw, nie przeszedł jeszcze podobnej ceremonii, jakiej przed chwilą był głównym aktorem. Po łbie dostało się niejednokrotnie, zawsze jednakże wylizał się szczęśliwie, a wspomnienia tych chwil nie zaliczał bynajmniej do bolesnych, owszem szczycił się niemi. Otrzymać jednakże łozy na pokładanego, na zwyczajnej ławce, wobec całego świata gapiących się żołnierzy, to hańba, której przenieść bezkarnie nie powinien żaden szlachcic. Zemsta im!

Boksa knuł plan odwetu.

Zmierzał wprost ku obozowi nieprzyjacielskiemu.

Po drodze nie napotkał żywej duszy.

Między obydwoma obozami rozciągała się pusta przestrzeń.

Minął już ostrów, zkąd uderzył Ryszard na nie-

przyjaciela, i wdrapał się na pagórek, dominujący nad całą okolicą. Po jednej stronie doliny paliły się ognie. To ognie obozowe.

Zdążał przeto ku tym ogniom; oko jego, oswojone z ciemnością, dostrzegło, że po za niemi ciągnęła się wioska.

Nagle odezwał się wśród ciemności głos:

— Stój, kto idzie?

Boksa udawał, że się przestraszył.

— Aj, aj, toście mnie przestraszyli. Jestem dezerterem.

Słowo „dezerter" zrozumiała straż przednia. Zakazano mu ruszać się z miejsca, aż nadejdzie patrol, który zaprowadzi go do obozu.

Wkrótce nadszedł podoficer z szeregowcem. Grzegorz Boksa przedstawił się jako szpieg i oświadczył, że pragnie widzieć się z dowódcą.

Dowódca austryacki, którym tym razem był pułkownik kawaleryi, grał właśnie w karty z oficerami. Gdy mu zameldowano, iż dezerter z obozu nieprzyjacielskiego pragnie być przypuszczonym przed jego oblicze, rozkazał przywołać go do siebie.

— Z jakiego powodu umknąłeś ze swego obozu?—pytał go surowo pułkownik.

— Dlatego, iż przyszedł nowy komendant, który kazał mnie obatożyć. Mnie, szlachcica z praszczurów, wyciągnięto na ławę i obito. Jak żyję, nie dotknął się kij mojej skóry, a dziś na stare lata zbeszczeszczono mnie, znieważono, wyliczywszy na pokładanego 50 łóz. Bito, jak psa, co mówię, jak chama, jak złodzieja. Mnie, com obierał szesnastu wiceżupanów! Mnie, com w swem życiu nie skradł guzika! A do tego wszystkiego odebrano mi moją szablę, broń moją, broń, której szlachcicowi nie wolno grabić nawet za długi, i wygnano z obozu, jak parszywego psa! O, poczekajcie! I za górami mieszkają ludzie, a Grzegorz Boksa będzie umiał innym panom się wysługiwać!

— A czem tam byłeś?—pytał go pułkownik.

— Poganiaczem wołów.

— Nie należałeś przeto do tych, co z orężem w ręku przeciw nam walczyli?

— Niech mnie Pan Bóg broni.

— Pozostaniesz u nas. Potrzebujemy właśnie człowieka, któryby umiał chodzić około wołów. Odebraliśmy nieprzyjacielowi stado wołów, będziesz przeto ich poganiaczem.

Słysząc to, Boksa pochwycił rękę pułkownika i wycisnął na niej głośny pocałunek.

— Niechaj wszyscy Święci odpłacą panu pułkownikowi za tak wielkie dobrodziejstwo. Będziesz pan miał ze mnie wiernego sługę, strzegącego każdego włoska na jego głowie. Pójdę za panem w niebo i piekło, w ogień i w wodę. Dowiodę, że i ja coś potrafię; przyjdzie kryska na Matyska. Tej pięćdziesiątki im nie daruję. Za moje pięćdziesiąt ich pięćdziesięciu musi gryźć ziemię, jakem Grzegorz szlachcic Boksa.

Oczy poganiacza nabiegły krwią i zaszły łzami na wspomnienie pięćdziesiątki hańbiącej go, stawiającej go na równi z chłopem i nigdy nie zmytej.

— Jak zwie się komendant, który kazał cię obatożyć?—pytał pułkownik, przekonawszy się naocznie, że historya z plagami nie jest bynajmniej przesadzoną.

— Widziałem go po raz pierwszy, o ile mi się jednakże zdaje, nazywał komisarza rządowego bratem. Komisarz zaś zwie się Baradlay.

— Ach, dezerter!—zawołał pułkownik, zelektryzowany tem nazwiskiem. Teraz dopiero rozpoczął z zajęciem badać poganiacza. Kazał przynieść wina i rozgościć się.

Boksie rozwiązały się przy kieliszku do reszty rzemyki u języka.

Dobitnemi i jaskrawemi barwami odmalował po-

łożenie pobitego wojska. Wojsko drży przed nieprzyjacielem i szemrze przeciw dowódcom, a krwawemu jedynie teroryzmowi zawdzięczać należy, że dotychczas nie wybuchnął bunt w jego szeregach. Legion włoski przejdzie niezawodnie przy pierwszej sposobności do nieprzyjaciela, a legion wiedeński jest już na rozwiązaniu.

Słowem, same takie szczegóły, które błogo dźwięczą w uszach zwycięzcy.

Grzegorz Boksa umiał wkraść się w łaski pułkownika, który polecił adjutantowi, aby go wyprowadził i instalował w nowem jego urzędowaniu.

Odchodząc, ucałował poganiacz ręce wszystkich obecnych oficerów i płakał łzami wdzięczności.

Bydło, które miano jego pieczy powierzyć, składało się z 80 blizko sztuk i biwakowało na ogrodzonem podwórzu. Bydło to, zabrane nieprzyjacielowi, nie miało poganiacza. Boksa przeto zjawił się w sam czas. Mimo to nie pozostawało bez dozoru Przed płotem patrolowało czterech kawalerzystów z gołemi pałaszami, gotowych stłumić z równą energią bunt na wewnątrz, jak wszelkie zakusy na zewnątrz. Obok tego obozowali na polu w długich szeregach żołnierze; niebezpieczeństwo przeto nie zagrażało bynajmniej tyle pożądanej zdobyczy A zresztą rogacizna, to ludek łatwy do rządzenia. Leży sobie na zmrożonej ziemi, żuje i milczy. Że wczoraj było własnością armii narodowej, a dziś należy do cesarskich, to im zupełnie obojętne.

Adjutant zaznajomił poganiacza z kapralem służbowym, który przygotował dla siebie nocleg w stajni, podczas gdy Boksa wyprosił sobie, aby mu wolno było przepędzić noc razem z koniem na podwórzu, służba bowiem nie drużba, a skoro woły jego powierzono pieczy, spać mu należy przy wołach. A zresztą, i to najważniejszy argument, na podwórzu można zapalić tytoń.

Tak więc zezwolono dzielnemu służbistemu poganiaczowi położyć się, gdzie mu najwygodniej.

Grzegorz Boksa zoryentował się przedewszystkiem, zkąd wiatr wieje i aby mieć rogaciznę pod wiatrem, usadowił się, a zawodząc jeszcze raz głośne lamenty z powodu wyrządzonej mu krzywdy i bolesnej zniewagi, życzył panom oficerom, kapralom i żołnierzom dobrej nocy. Ubolewano nad nim w oczy, a śmiano się serdecznie za plecami Mimo to czujne miano nań oko.

Boksa jednakże nie przedsięwziął nic takiego, coby czyjąkolwiek mogło na siebie zwrócić uwagę. Wydobył z zanadrza lulkę, odwiązał kapciuch i zdjął kapelusz. Niezawodnie przywykł modlić się przed spaniem, niezawodnie też nie zasnąłby bez fajki w zębach.

Nałożył lulkę tytoniem, wykrzesał ogień, włożył tlejącą hupkę do lulki i przymknął pokrywkę, poczem, jak przystało na porządnego człowieka, położył się na brzuchu i kurzył.

Z nudów zaczął następnie zeskrobywać nożykiem ze skrzydeł swego kapelusza tłuszcz, jaki obficie nagromadził się w pilśni, i zsypał go na dłoń. Skrawkami tego brudnego tłuszczu przysypał palący się tytoń w lulce.

Zaledwie to uczynił, powstał tak zabijający odór, że iść z nim w zawody daremnieby się kusiły wszystkie pachnidła dyabelskie.

Skoro więc szatański ten zapach zmieszał się z powietrzem, zerwał się wół przewodnik ze swojego legowiska, podniósł łeb do góry, rozdął szeroko nozdrza i wstrząsł naraz tak silnie karkiem, że blaszana obroża, u której zawieszono dzwonek, zdawała się uderzać na alarm. Następnie zaczął gwałtownie smagać się po bokach ogonem i wydał z siebie krótki, przeciągły ryk, na który to sygnał cała rogata rzesza zerwała się, jakby opętana ze swych legowisk i rozpoczęła się cofać ku przeciwległej stronie dzie-

dzińca, posuwając się tyłem, z rogami zwróconemi w stronę, zkąd wiatr donosił tak nieznośne dla nich wyziewy. Skutkiem ogólnego tego odwrotu płot został obalony, a całe stado rozbiegło się po polu, wyprawiając najdzikszе harce.

Na odgłos ryku wołów wybiegli oficerowie, kaprale i ordynansi, pytając się Boksy, co się stało.

Co się stało, mogli zobaczyć własnemi oczami. Nadaremnie usiłowali żołnierze poskromić zbuntowaną rzeszę, daremnie płazowali i okładali kijami rozszalałe bestye, wszystko to nie zdało się na nic; woły zmogły straże, złamały linię obozową i, rycząc straszliwie, rozbiegły się po szerokim łanie.

Co się stało tak potulnym dotychczas wołom, nie umiano sobie wytłómaczyć. Grzegorz Boksa spał opodal, niepodobna przeto przypuścić, ażeby on był przyczyną tej gwałtownej ruchawki. I teraz leży sobie najspokojniej i pali fajkę.

— Co to się dzieje? — zapytał go z krzykiem pułkownik.

Boksa wyjął po służbie fajkę z ust, schował ją do kieszeni, wyprostował się i odpowiedział.

— Woły ujrzały cud.

— Co za cud?

— Nie inaczej, panie pułkowniku, coś podobnego zdarza się dość często. Takie cuda nie są nowością ani dla poganiaczów, ani dla rzeźników. Wół miewa widzenie, zarówno jak człowiek. W takich chwilach zrywa się, szaleje i szaleje tak długo, aż padnie ze znużenia. Sztuka to nie mała poskromić trzodę nawiedzoną cudem. Trud ten atoli zechciej mnie pozostawić. Skoro dosiądę konia i rozpuszczę mój harap, pewny jestem, że nie uronię ani jednej sztuki.

— A więc śpiesz się, siadaj na konia i rób co chcesz, byleś tylko spędził rozproszone woły.

— Zechciej tylko, panie pułkowniku, rozkazać panom żołnierzom, aby się za mną udali i chcieli mi

być pomocni w zaganianiu trzody, gdyż samemu trudna byłaby mi z nią sprawa.

— Weź z sobą czterech ludzi, tych oto — odrzekł pułkownik, wskazując na szyldwachów.

Boksa z mozołem wdrapał się na grzbiet swego rumaka; skoro jednakże był już na koniu, zdawało się, że jeździec i rumak z jednej wykuci bryły.

— Ą teraz, panie pułkowniku, racz zważać, jak rychło mnie tu znów zobaczysz.

Uszło baczności pułkownika, że ostatnie słowa wymówione były już w tonie szorstkim, zuchwałym, nie licującym bynajmniej z dotychczasowem płaczącem i lamentującem zachowaniem się Boksy.

— Powrócę w lot!

Mówiąc to, dał ostrogę koniowi, strzelił z harapa i puścił się lotem strzały.

Woły w najrozmaitszych rozbiegły się kierunkach. Boksa rozkazał pogalopować za niemi żołnierzom; wiedział bardzo dobrze, że harap większą tu oddaje usługę, niż pięćdziesiąt szabli. Trzech żołnierzy nie jest w stanie podołać jednemu rozsrożonemu wołowi. Istna to hiszpańska walka byków, jeno, że w olbrzymich rozmiarach. Całe w tym razie powodzenie spoczywa na końcu harapnika. Z zadziwienia godną zręcznością spędził Boksa z pomocą dragona około pięćdziesiąt wołów, a ujrzawszy tak poważny przed sobą zastęp, skoczył w środek trzody, strzelił po dwakroć z harapa i uderzył nim tyle razy po bokach przeciwnika, skutkiem czego wół-przewodnik zaczął biedz w szalonych susach, uprowadzając za sobą resztę towarzyszów.

Dragon, który pozostał przy Boksie, zaczął w końcu podejrzywać go o jakieś nieczyste zamiary i zainterpelował, dlaczego nie pędzi trzody ku obozowi.

Boksa jednakże był głuchym na tego rodzaju interpelacye.

— Gdzie pędzisz woły?—pytał dragon.

Boksa zdawał się nie słyszeć.

Żołnierz krzyknął jeszcze głośniej.

— Hej, betyar, stój, jeśli ci miłe życie!

Boksa galopował po dawnemu, zwracając się czasem to w prawo, to w lewo, aby udzielić to temu, to owemu wołowi harapem małą admonicyę.

Niemiec widząc, że to nie przelewki, wydobył pistolet, zmierzył i wypalił. Kula gwizdnęła nad samą głową Boksy.

Boksa obejrzał się za siebie, wtem drugi padł strzał, równie nieszkodliwy, jak pierwszy.

— A teraz może jeszcze pójdziemy na pałasze— wyzywał z miną drwiącą Boksa, zwracając się ku dragonowi.

A przecież nie miał ani szabli, ani palnej broni, jeno szlachetną w sercu żałobę.

Dragon nie żartował, lecz pochwycił za pałasz i uderzył całym będem na betyara.

Betyar podniósł bat swój i zamierzył się na dragona z lewej strony. Dragon sparował wprawdzie cios klingą pałasza, mimo to jednakże drut, wpleciony w koniec bata, uderzył go w prawy policzek. Następnie odwinął się betyar i smagnął na prawo, a równocześnie zakrwawił się lewy policzek żołnierza. Przeklęta broń; mierzy na prawo, a trafia na lewo. Dragon klął po węgiersku i po niemiecku.

Po raz trzeci w końcu smagnął betyar swym biczem i trafił w nozdrza konia, który wspiął się, a wstrząsnąwszy się gwałtownie, zrzucił odrazu jeźdźca na ziemię.

Boksa nie troszcząc się bynajmniej, co się stało z jego przeciwnikiem, strzelił raz i drugi z harapa i zwrócił się z trzodą w zamierzonym kierunku. Było ciemno, a mgła gęsta pokrywała pola. Pogoni nie obawiał się.

. . . . . .

Obaj Baradlayowie przepędzili noc na nogach, pracując nad przyprowadzeniem do jakiego takiego

porządku rozbite i zdezorganizowane wojsko. Ale nie można było pogodzić z sobą nawet żołnierzy. Huzarzy nie chcieli kwaterować razem z piechotą.

— Podczas, gdy ja będę karmił konia — mówił każdy z nich — piechur zajmie moje łóżko i śmiać się zacznie ze mnie, skoro powrócę zmęczony.

To znów obwiniali się wzajemnie o przegraną bitwę. A kłótnie te nie ustawały noc całą i co chwila trzeba je było łagodzić.

W dodatku dla całego tego wycieńczonego tłumu nie było ani kawałka mięsa. Rozdano im tylko suchary i wódkę.

Oedön spoczął nieco nad ranem na słomie, podczas gdy Ryszard, morzony snem, wsparł głowę na stoliku i zdrzemnął się.

Wtem naraz budzi obu braci głośne ryczenie i trzask bicza. Ryszard spieszy do okna i widzi Grzegorza Boksę wpośród trzody wołów, oblanych potem i ziejących gorącą parą.

Ryszard i Oedön wybiegli przed dom.

Boksa, salutując po wojskowemu, melduje:

— Melduję najpokorniej, panie rotmistrzu, iż przyprowadziłem woły.

Ryszard poklepał betyara po ramieniu.

— Grzegorzu Bokso, jesteś chwatem. Z wszelkim dla ciebie respektem! Panie Pawle, podaj nam manierkę.

— Wypijemy zdrowie dzielnego Boksy?—rzekł pan Paweł.

— Daruj, panie rotmistrzu — odezwał się Grzegorz, odsuwając z miną uroczystą podaną mu manierkę.—Pierw ważniejszą muszę załatwić sprawę. Nie powiedziałżem wczoraj, że pięćdziesiątki nie podaruję, że ją odpłacę? Oto zapłata. Pięćdziesiąt za pięćdziesiat. Teraz atoli proszę mi wydać certyfikat, że wczorajsza pięćdziesiątka jest żadną i niebyłą.

— Jakiegoż to żądasz certyfikatu? — pytał zdziwiony rotmistrz.

— Chciałbym otrzymać od pana rotmistrza świadectwo, że owe pięćdziesiąt, jakich mnie wczoraj nie pożałowano, są najzupełniej nieważne, a to dlatego, że w razie, gdyby kto się znalazł, coby odważył się mi je wyrzucać, mógłbym mu powiedzieć, że szczeka jak pies.

— Najchętniej, Bokso.

Ryszard powrócił do izby i wystawił z wszelkiemi formalnościami świadectwo, w którem oznajmia wszem wobec i każdemu z osobna, że plagi, dane wczoraj Boksie, uważać należy za nieważne i niebyłe.

Boksa przejrzał wręczony mu papier, złożył go i schował do bocznej kieszeni dołmana. Nie potrzebujemy dodawać, że uzbrojono go po dawnemu, t. j. oddano mu szablę i pistolety.

— A teraz gdzie gorzałka?

Pan Paweł podał mu manierkę, którą Boksa jednym łykiem wysuszył do ostatniej kropli. Otarłszy rękawem usta, spojrzał dokoła wzrokiem, w którym tkwiło zadowolenie i pewność siebie. Boksa miał czyste sumienie.

— Powiedz-no mi, Bokso—zapytał się Ryszard—jaką sztuką wydarłeś z gardzieli austryackiej utracone woły?

Boksa ruszył ramionami, poprawił pasa, uśmiechnął się, skrzywił nosem, podniósł brwi i odezwał się z miną na pół seryo, na pół frantowską:

— Poszedłem do niemieckiego pułkownika i prosiłem go pięknie, aby mi oddał moje woły. Poczciwe Niemczysko nietylko, że zwróciło mi woły, lecz dodało kilka sztuk na pocieszenie. Kazał się kłaniać pięknie panu rotmistrzowi.

Więcej niepodobna było z niego wydobyć.

Nieznośny gaduła, który całemi godzinami zwykł był mydlić ludziom oczy awanturami, jakich to niby głównym miał być działaczem, dziś, gdy rzeczywi-

ście dokonał dzieła iście bohaterskiego, milczał, jak zaklęty.

Nikt z ust jego nie dowiedział się, jak spędził ową noc pamiętną i czego dokazał.

ROZDZIAŁ VII.

W lesie królewskim.

Dawno już temu; liść zżółkły dwudziestu przeszło jesieni szeleści ponad mogiłami bohaterów! Pomiędzy tysiącami potomnych jeden umiałby zaledwie opowiedzieć dzieje lasu królewskiego.

Las to, w którym każde drzewo starczy za pomnik. Las uroczystym napełniony szmerem, gdzie liść tajemniczą do siebie szepce mową, gdzie z pod korony stuletniego dębu sączy się krew bohaterów, gdzie mech zielony śni o minionej przeszłości i gwarzy z pochyloną trawką o poległych, których duchy ponad tym unoszą się lasem!...

Jesteśmy na pobojowisku, gdzie krwawa rozegrała się bitwa; bitwa, trwająca od dwunastej do dwunastej, od południa do północy.

Ów krzak, wystrzelający pączkami bladych różyczek, ocienia mogiłę stu czternastu bohaterów, których ręka grabarza w jednym wspólnym na wieczny spoczynek ułożyła grobie. Owe pagórki, to wszystko pomniki, pod których strażą drzemią kości wielkich mężów, wielkich patryotów!

Te rozsiane po łące kamienie, te resztki pieca wapiennego, rozebranego rękami honwedów, gdy ogołoceni z ładunków, zamiast kul, ciskali kamieniami na nieprzyjaciela. Owa głucha puszcza, zarosła krzakami jerzynowemi, z pod których osmolone wyzierają pnie, to miejsce, na którem dawniej gęsty

szumiał gaj. Gaj ten kazał zapalić generał Jelaczic, aby ujść pogoni nacierających na niego Węgrów.

A ten tu powalony pień służył niegdyś wodzowi węgierskiemu za stół, na którym skreślił ów głośny lakoniczny rozkaz dzienny:

„Dziś musimy zwyciężyć, lub przerzucić się przez Cisę.“

A na tej tu łące rosną i dziś dzwonki błękitne i szepcą pacierze za spokój duszyczek, których wiekuistemu rozstaniu się z ciałem nie towarzyszyła ani modlitwa kapłana, ani łza matki, ani jęk pogrzebowych dzwonów. Wpośród zaś obszernego boru jest wielkie okrągłe miejsce, które nigdy nie zarasta trawą.

Cztery pułki jazdy nieprzyjacielskiej stoczyły tu zażarte zapasy i zdeptały kopytami tak pobojowisko, że do dziś dnia wygląda wśród ogólnej zieleni jak olbrzymia łysina.

Nie była to bitwa, ani walka, lecz bój na pojedynkę między dziesięcioma tysiącami i dziesięcioma tysiącami wojowników; pojedynek na kule i bagnety, pałasze i kolby, kamienie i gołe pięście.

Olbrzymi pojedynek, w którym mąż ścierał się z mężem, każde drzewo zamieniło się na fortecę, krzak każdy w szaniec, którego broniono, zdobywano, o który walczono, jakby o skarb najdrożny. Obie armie nie miały już ładunków; przez pięć godzin stały w morderczym ogniu i teraz jedyną ich bronią bagnet, a gdy ten nie wystarczał, mordowano się kolbami, od których uderzeń jęczał bór gęsty; nikt nie słucha komendy, każdy walczy dla siebie; krew, tryskająca z ran, obryzguje drzewa, a wśród strasznej rzezi, w której każdy żołnierz jest oficerem i szeregowcem zarazem, torują sobie z łoskotem kule działowe drogę w prawo i lewo i gubią się, ścinając gałęzie drzew w tajemniczej gęstwinie. Obie strony wysyłają w gromadę walczących ogniste pociski. Nikt na nie nie zważa, każdy powtarza:

— Dziś poledz nam lub zwyciężyć!

. . . . . .

Las królewski leży o jakie trzy tysiące kroków na zachód od parku Gödölö, na lewym brzegu rzeki Räkos, tu i owdzie przestrzeń między lasem a brzegiem wynosi tysiąc nieraz kroków, pod Isaszeg jednakże drzewa pną się ponad samym brzegiem. Trzy gościńce przerzynają las, a wszystkie zbiegają się w Isaszeg, zkąd jedną szeroką wystrzelają drogą.

Droga ta jest bramą prowadzącą do Pesztu. Armia węgierska pragnie zobaczyć Peszt. I dlatego walczy.

Las królewski w miejscu najszerszem ma trzy tysiące kroków, w najwęższem zaś dwieście kroków; na długość ciągnie się przeszło milę.

O las ten walczą obie armie.

Wzdłuż lasu płynie Räkos, w lecie jest to rzeczułka, w jesieni bagnisko, wielki pan wrazie bitwy. Nie wszędzie można go przekroczyć.

Najwygodniej da się to uczynić pod Isaszeg i nieco dalej na północ w okolicy młyna.

Oba te przejścia zajął nieprzyjaciel, który wystawił naprzeciw armii węgierskiej dwadzieścia dwa tysiące piechoty, trzydzieści dwa działa, trzy baterye rakiet i pięćdziesiąt sześć szwadronów kawaleryi.

Wyżyny, panujące nad polem, również w jego są rękach.

Od południa do wieczora szala zwycięztwa chyli się to na jedną, to na drugą stronę. Obydwie armie mieszają się, walcząc zawzięcie o każdą piędź ziemi, o każde drzewo.

Tym razem nikt nie ucieka, jak przy pierwszem spotkaniu; żołnierz zmuszony cofnąć się, szybko powraca do ataku. Nie trwoży go świst kul; przywykł on już do tej muzyki. Nawet otrzymanych ran nie czuje zrazu.

Sześć godzin trwa już walka, a przecież żadna strona nie może się poszczycić, iż odebrała przeciwnikowi tyle pola, ile zakreślić były wstanie jego kule armatnie. Kule te padają ciągle na stanowiska nieprzyjacielskie.

Teraz obie strony wytężają ostatek swych sił. Upadli ze znużenia na równe zrywają się nogi; ranni do jednego garną się szeregu ze zdrowymi, jedni drugim dodają otuchy i odmłodnione w ten sposób świeżemi rezerwami wzmocnione armie całym pędem uderzają na siebie.

Las rozbrzmiewa wściekłemi hasłami, jękiem rannych i hukiem dział; dowódcy ujęli w dłonie sztandary i kroczą na czele swych wojsk.

Armia austryacka wypowiedziała bitwę stanowczą, a zarazem zagładę centrum armii węgierskiej.

Szesnaście szwadronów lekkiej kawaleryi, ułanów i dragonów, dwa pułki kirasyerów, sześć szwadronów banderyalistów razem z ośmiu działami i dwiema bateryami rakiet przeprawiają się powyżej Isaszeg przez Rákos i toczą się w zbitych szeregach, jak olbrzymia lawina, przeciw centrum węgierskiemu.

Na owym łanie, który do dziś dnia nie porósł trawą, uszykowali się huzarzy. Było ich ze trzy tysiące.

Nieprzyjaciel rozpoczął bój morderczym ogniem z dział, ustawionych na skrzydłach własnej kawaleryi.

Dla huzarów jeden jedyny był tu ratunek: rzucić się na jazdę nieprzyjacielską i w ten sposób przełamać jej szeregi, aby przeciwnik nie mógł żołnierzy własnych odróżnić od żołnierzy obozu przeciwnego i ujrzał się zmuszonym do zaprzestania ognia działowego.

Tak się też stało.

Na całej linii bojowej trąbią trębacze do szturmu. Ziemia tętni pod kopytami rwących się koni, las drży okrzykami wojennemi i szczękiem stali tysiąca mieczów.

Obłoki wzbijającej się kurzawy zasłoniły na jakiś czas całe pobojowisko.

A gdy poryw wiatru przedarł nagle ciemną zasłonę, zdawało się, że widzimy przed sobą poetyczne zastępy ze starych wyjęte legend.

Walcząca jazda w trzy główne ugrupowała się masy. Falowały one tam i napowrót, jak cudowna machina o dwóch osiach. Osiami temi są oba sztandary: trójkolorowy węgierski i czarno-żółty austryacki. Około nich najzacieklejsza wre walka. Najdzielniejsi bohaterowie torują sobie drogę ku nieprzyjacielskim sztandarom i tu przelewają swą krew w obronie tylu drogich im znaków.

Na wiosennem niebie kwietniowem wówczas zachodziło słońce, ciskając na ziemię strumienie gorących promieni.

W tumanach kurzu atmosfera dyszy wściekłością stron walczących. A wśród owej promieniami słonecznemi ozłoconej kurzawy, wśród tej mgły wzbijającej się z piersi rozgrzanych zastępów, spojrzało sobie w oczy dwóch wojowników, wyrastających głowami ponad otaczające ich tłumy.

Jednym jest Ryszard Baradlay, drugim Otton Palwicz.

Myśli ich spotkały się. Oba spieszą ku sobie i uderzają na siebie.

Wszystko, co dodaje ciepła sercu ludzkiemu, kipi lawą w ich żyłach. Wojenna żądza sławy, duma szlachetna, pamięć uraz doznanych, słodycz nienawiści, miłość ojczyzny, wszystko to podniesione wzburzeniem walki i lubieżnością krwi przelanej do nadludzkiej siły demonu, archanioła.

Żaden z nich nie myślał o sparowaniu ciosu przeciwnika, uderzyli równocześnie na siebie.

Obaj uderzyli całą siłą ramienia, z całą wściekłością serca.

Jak błyskawica spadły równocześnie z łoskotem oba miecze i obaj przeciwnicy wypadli równocześnie z siodeł.

Dzielny to zaprawdę cios dostał się Baradlayo-

wi z ręki Palwicza, i gdyby ciała jego nie zanurzono w owej studni cudownej, w której kąpały matki bohaterów Iliady i Nibelungów, nie ujrzałby już niezawodnie wschodzącego słońca.

Być może, że i w naszych prozaicznych czasach istnieją środki cudowne, któremi zabezpieczają matki ciała swych synów przed uderzeniem, pchnięciem i cięciem.

Być może, że serdeczna, tkliwa modlitwa posiada moc cudowną powstrzymywania miecza anioła śmierci, który podoławszy spiżowi i żelazu, tępi się, gdy dotknie owej powiewnej siatki, jaką otoczyła zbolała macierz pierś swojego dziecka.

Pałasz Ottona Palwicza rozpłatał czako Ryszarda i metalową obrożę, obejmującą wyższą krawędź czaka i, jak się to zdarza, ześlizgnął się, skutkiem czego uderzył w głowę Ryszarda nie ostrzem, lecz płazem. Cios jednakże tak był gwałtowny, iż oszołomiony nim Ryszard stracił na chwilę przytomność i spadł z konia.

Cięcie zaś zadane Palwiczowi poraziło go piorunem.

Pałasz rotmistrza rozpłatał hełm i wpił się w czaszkę Palwicza. Z otwartej rany krew gorąco buchnęła parą i czerwoną strugą spłynęła po białym płaszczu ugodzonego śmiertelnie przeciwnika.

. . . . . .

Równocześnie, gdy obaj oficerowie zsunęli się z koni, powstała dokoła nich szalona wrzawa wojenna. Paweł, który pospieszył za swoim komendantem, zeskoczył w mgnieniu oka z wierzchowca i rzucił się jak długi na ciało Ryszarda. Kopyta koni, tłoczących się tutaj w jednej zbitej masie, zadeptały go na śmierć. Śmiercią swą jednakże okupił życie drogiego pana.

W tej chwili z lasu zagrzmiały działa. Co to takiego? Las cały rozbrzmiewa krzykiem bojowym: „Eljen a háza! [1]).

[1]) Niech żyje ojczyzna.

Korpus rezerwowy armii węgierskiej zjawił się w chwili najkrytyczniejszej na linii bojowej i przeważył szalę zwycięztwa na stronę wojska narodowego.

Baterye korpusu rezerwowego morderczym zagrały ogniem i zniewoliły nieprzyjaciela do cofnięcia się z lasu królewskiego. Porażka Austryaków była zupełną.

Trąbki austryackie zagrały do odwrotu. Porwana wirem wojennym kawalerya, ocknęła się na odgłos tej pobudki i pierzchnęła z pola bitwy, pozostawiając na niem swych rannych i zabitych. Między ciężko rannymi był Otton Palwicz.

. . . . . .

Wojska austryackię cofnęły się na prawy brzeg rzeki Rakos.

Słońce już zaszło, bój jednakże nie ustał jeszcze. Płomnienie palącej się wsi rozproszyły ciemności nocy, a do zupełnego zwycięztwa koniecznem było zajęcie tej wsi.

A więc nasadzić bagnety i marsz w płomień!

Ośm już godzin wre walka, teraz atoli niewolno nikomu upadać ze znużenia; całogodzinnym wysiłkiem zmęczone wojsko tworzy kolumny szturmujące, sztandary powiewają w powietrzu, dokoła rozlega się pełen zapału okrzyk: „Eljen a háza!“ z lasu wychyla się szereg błyszczących bagnetów, żołnierz rzuca się z niepohamowaną odwagą na zajętą przez nieprzyjaciela wieś, zdobywa palące się domy i zmusza Austryaków do opuszczenia ostatniej przystani. Pierzchających w nieładzie napiera bagnet węgierski aż po za wyżyny, okalające Isaszeg, a gdy księżyc wychylił się z po za chmury i bladem światłem rozświetlił panoramę Isaszego, powiewały już na pomienionych wyżynach trójkolorowe chorągwie.

O północy ucichła na całej linii bojowej mordercza walka.

Z pagórków po tamtej stronie rzeki Räkos dochodzi, zakłócając senne marzenia cichej nocy kwietniowej, okrzyk radośny zwycięzcy. A góry Gödölö odbrzmiewają równocześnie ponuremi, żałobnemi sygnałami cofającego się wojska. Jęk rannych i niezrozumiałe szepty dotkniętych ręką anioła niszczyciela dopełniają groźnego obrazu. Na łące zaś przed młynem przygrywa przy ogniach obozowych muzyka cygańska, przy dźwiękach której huzarzy i honwedzi tańczą „toborzo“ [1]).

Z rowów łąk ściekają wązkie strumyki, zabarwiając na czerwono wodę rzeki Räkos.

Takie są dzieje lasu królewskiego.

ROZDZIAŁ VIII.

Spuścizna po zmarłym wrogu.

Zmrok już zapadł, gdy Ryszard ocknął się z ciężkiego omdlenia. W pierwszej chwili zdawało mu się, że otaczająca go ciemność jest jakąś ogromną, ciężką bryłą, tłoczącą jego głowę, a gdy poruszył ręką, zdziwił się, że ręka ta nie trąciła w owej gęstej, czarnej masie o żaden przedmiot.

— Hoho!—zawołał, jak gdyby chciał się przekonać, że i język jego dawnej nie postradał władzy.

Na odgłos ten otworzyły się zwolna drzwi boczne, przez które blade przedarło się światło.

Skoro je ujrzał Ryszard, z miłem zauważył zdziwieniem, że i myśli jego nie gubią się w jakimś chaotycznym przestworzu, owszem, wiążą się z sobą i pozwalają mu ująć to, co się dokoła niego odbywa, w jedną harmonijną całość. Światłość naprzy-

---

[1]) Taniec werbunkowy.

kład pochodzi z latarni huzarskiej, latarnia zaś, trzymana długą ręką, oświetla ściągłą twarz, której właściciel zowie się Mausmann.

— Obudziłeś się przecie?—zagadnął Mausmann.

— Więc żyję?

— Żyjesz i ani jednego nie brakuje ci włoska. Byłeś tylko na tamtym świecie na gościnnych występach.

— Gdzież jestem?

— W młynie.

— A więc zwyciężyliśmy! — zawołał Ryszard, przypominając sobie odrazu dzieje chwil ostatnich.

— Pytasz się, czy zwyciężyliśmy? Isaszeg do nas należy; zwycięztwo jest zupełne.

Teraz dopiero poczuł Ryszard, że głowa jego nie z ołowiu i że o własnych siłach może już powstać z łóżka.

— No, wstawaj—zagadnął Mausmann.—Nic ci nie jest, guz na głowie i trzycalowa *colutio continuitatis* na skórze nie dają ci prawa wylegiwania się narówni z ciężko rannymi.

— Więc ty jesteś lekarzem?

— I ty pytasz mnie o to? — odparł Mausmann z dumą człowieka naukowego. *Doctor medicinae et magister chirurgiae.* Byłeś pod moją opieką i przyznam ci się, że nie mało jestem z tego dumny, że w tak krótkim czasie wyleczyłem cię z guza i zadraśnięcia naskórnego. Twój przeciwnik zamiast ostrzem, płatnął cię płazem.

Ryszard obmacał głowę, która z wyjątkiem, że nabrzmiała, w prawidłowym zupełnie była stanie.

— Jutro, pojutrze nie będzie ani znaku z tego przeklętego guza.

— Co się dzieje z Pawłem?

— Pan Paweł? — odezwał się ze zdziwieniem i zakłopotaniem Mausmann.

— Alboż go tu nie ma?

— O, jest. Śpi sobie najspokojniej tam pod młynem, lecz snem, z którego się zbudzi dopiero na dolinie Józefata.

— Jakto? miałżeby być zabity?

— Zgadłeś, niestety! Gdyś spadł z konia, przykrył cię swojem ciałem, a kopyta końskie zatratowały na śmierć nieboraka.

— Nie masz-że żadnego ratunku?

— Porcya, jaka mu się dostała, wystarczyłaby, aby trzech równych jemu zuchów zdmuchnąć z tego padolu płaczu.

— Zaprowadź mnie do niego.

— Poczekaj, wpierw owiążę ci głowę. Tak. Z tą przepaską wyglądasz jak jaki czcigodny druid. Oprzyj sie na mojem ramieniu, upust krwi osłabił cię i mógłby łatwo sprowadzić mocny zawrót głowy.

Mausman wziął latarnię do ręki i wyprowadził Ryszarda korytarzem przez bramę młyńską.

Tu spoczywały pokotem ofiary bitwy stoczonej w pobliżu młyna.

Ryszard, zobaczywszy ciało Pawła, rzucił się ku niemu, przyklęknął, chwycił rękę wiernego sługi i zapłakał łzami przyjaźni i wdzięczności nad zwłokami żołnierza, który mu był sługą i druhem.

— Złóżcie go do osobnej mogiły — prosił Ryszard Mausmana, abym mógł go odszukać, gdy przybędę kiedyś po niego.

— Jutro możesz wziąć udział w oddaniu ostatniej posługi poległym bohaterom. Równocześnie będziemy grzebali ciała nieprzyjaciół.

— Ah, a co się stało z Palwiczem!?

— Dogodziłeś mu strasznie. Leży w młynie. Opatruje go sam lekarz sztabowy, od którego dowiedziałem się, że dla pacyenta jego nie ma żadnego ratunku.

Z młyna właśnie wyszedł lekarz. Poznawszy Ryszarda, zbliżył się ku niemu.

— Panu poszło gładko, lecz godziny pańskiego przeciwnika są policzone. W tej chwili ma jeszcze przytomność, ale za godzinę, za dwie dusza jego stanie niezawodnie przed tronem Boga.

— Więc nie ma nadziei utrzymania go przy życiu?—zapytał Ryszard.

— Żadnej. On sam przygotowanym jest na wszystko. Pierwszem jego zapytaniem, gdy ocknął się z dłuższego omdlenia, było: co się dzieje z Baradlayem? Gdym mu powiedział, że tobie, majorze, żadne nie grozi niebezpieczeństwo, prosił, abym cię wyszukał i przyprowadził do niego, dodając, że ma ci coś ważnego do powiedzenia.

— Jeśli sobie tego życzy, tem lepiej; obowiązkiem moim jest zresztą odwiedzić rannego przeciwnika. Spieszmy.

Otton Palwicz leżał w małej izdebce. Skoro ujrzał Ryszarda, podniósł z wytężeniem wszystkich sił głowę, podał mu rękę i przemówił:

— Dobry wieczór, kolego! Co słychać? Z tobą, jak widzę, pół biedy, lecz ze mną gorzej, niż źle. Nie bierz tego do serca. Ręka twoja nie wiele tutaj zawiniła, czaszka moja bowiem twarda jak czerep ze stali, lecz dogodziły mi końskie kopyta. Cóż robić, trzeba stawić się do wiekuistego apelu. O bądź przekonany, jak ja nim jestem, że nie z twojej umieram winy; nie rób sobie najmniejszych wyrzutów; zresztą i ja ci coś tam przylepiłem. Kwita przeto z nami. Rachunki z niebem już skończyłem. Jeden mi tylko spoczywa ciężar na sercu.

Tu westchnął głęboko i odpoczął, jak gdyby chciał świeżych sił zaczerpnąć.

— Poproś tych panów, aby nas pozostawili samych...

Lekarz, zaleciwszy Palwiczowi jak największy spokój, opuścił razem ze swym pomocnikiem alkowę umierającego.

Skoro pozostali sami, pułkownik pochwycił rę-

kę Ryszarda z pośpiechem podróżnego, obawiającego się opóźnienia i odezwał się do niego tonem głębokiego wzruszenia:

— Towarzyszu... bracie, mam dziecko, które jutro będzie sierotą.

Oblicze umierającego pokryło się przy tem wyznaniu piekącym a przelotnym rumieńcem.

— Wyznam ci wszystko. Godziny moje policzone. Muszę umierać. Tajemnicę jednakże, jaka na dnie zbolałej spoczęła duszy, mogę powierzyć jedynie człowiekowi szlachetnemu, który ją uszanuje i dochowa. Byłem twoim wrogiem. Nie jestem nim już, zawarłem bowiem sojusz z całym światem, a nawet z robactwem. Los pozostawił cię przy życiu, jesteś zwycięzcą, obowiązkiem twoim przyjąć dziedzictwo po umierającym przeciwniku.

— Przyjmuję i spełnię je — odezwał się pełen wzruszenia Ryszard, podnosząc rękę ku niebu.

— Spodziewałem się, że mi nie odmówisz i dlatego kazałem poprosić cię do mojego łoża. Słuchaj uważnie, co ci powiem. Mam syna, którego nigdy nie widziałem i którego też nigdy nie ujrzę. Matką jego jest pewna znakomita dama. O nazwisku jej dowiesz się z papierów, zachowanych w mojej teczce. Była piękną, lecz rozkosznemu temu posągowi brakło serca. Poznałem ją, będąc jeszcze porucznikiem. Byłem lekkomyślnym. Ojciec mój żył jeszcze podówczas i sprzeciwiał się związkowi, mogącemu naprawić błąd nieszczęsnej godziny. Ona, którą wobec Boga i natury uważałem za moją małżonkę, wybrała się z matką w podróż daleką, a gdy powróciła, zajaśniała po dawnemu w roli niewinnego dziewczęcia. Co się mnie tyczy, dowiedziałem się tyle tylko, że stracona dusza, która pomnożyła zastęp najnieszczęśliwszych na ziemi istot, była chłopcem. Co się z nim stało, gdzie go porzucono, nie wiedziałem. Później zdobyłem sobie wyższe w karyerze wojskowej stanowisko, ojciec mój umarł; zostałem samodziel-

nym. I przez Bóg żywy, byłbym zaślubił tę kobietę, gdyby mi wyznała, co zrobiła z mojem dziecięciem. Zarzucała mnie bezustannie listami. Błagała o chwilę naocznej rozmowy. Zaklinała. Na wszystkie jej listy jedną miałem odpowiedź: Oddaj mi pierwej mojego syna. Byłem dla niej okrutny. Mogłaby była z łatwością wyjść za mąż, ubiegających się o jej rękę było wielu. „Zakazuję ci iść za mąż.“—„A więc ożeń się ze mną.“—„Dobrze, tylko pierwej oddaj mi moje dziecię.“ Dręczyłem ją. Ale była to kobieta bez serca, niezdolna ocenić głębiej moralnych cierpień. Mówiła, że nie wie, co się stało z dzieckiem. Nie wiedziała, bo przytłumiała w sobie całą siłą potwornej duszy wszelki szlachetniejszy podszept instynktu macierzeństwa. Nadaremnie jednak zacierała wszelkie ślady bosych jego nóżek. Jam wpadł na ich trop. Po kilku latach mozolnego szukania wykryłem tu metrykę, tam mamkę, tam znów list nieczułej matki, ówdzie kobietę wtajemniczoną w cały ten dramat; krok tylko jeden oddzielał mnie od ostatniego śladu, po za którym uśmiechała się do mnie twarzyczka opuszczonej dzieciny. Ślad ten jest dla mnie zarazem kresem mojego żywota. Śmierć mnie woła...

Głęboka boleść napiętnowała rysy umierającego, pod chłodnącą tą powłoką uderzało serce.

Ryszard zapisai w swej pamięci każde słowo umierającego.

— Kolego—odezwał się po chwili pułkownik— daj mi na to rękę, że dotrzesz tam, kędy mnie już niepodobna.

Ryszard podał w milczeniu prawicę Palwiczowi. Ten już jej nie wypuścił z żylastej i konwulsyjnie zaciśnionej dłoni.

— W portfelu moim znajdziesz papiery, które będą dla ciebie wskazówką, gdzie szukać osoby, mającej ułatwić ci wykrycie miejsca pobytu biednej sierotki. Dziecko to powierzono ostatniemi czasy pie-

czy jakiejś straganiarki w Peszcie; powiedział mi o tem pewien tandeciarz wiedeński. W Peszcie nie znalazłem już owej kobiety, wyjechała bowiem do Debreczyna. Tam nie mogłem pospieszyć za nią. Dowiedziałem się jednakże, iż oddała dziecko jakiejś wieśniaczce, mieszkającej w pobliżu Pesztu. Dowiedziałem się również od służącej wzmiankowanej straganiarki, że owa wieśniaczka, u której umieszczono mojego syna i ktora zajmuje się wychowywaniem niemowląt, dość często odwiedzała jej panią i uskarżała się zawsze, że to, co daje, nie wystarcza na utrzymanie dziecka; wieśniaczka żyje w nędzy, a dziecko cierpi głód i marnieje w łachmanach.

Przy tych słowach palce umierającego ścisnęły konwulsyjnie rękę Ryszarda.

— O, tak, cierpi głód i marnieje w łachmanach. Służąca mówiła jednakże, że bardzo ładny dzieciak; wieśniaczka przynosiła go od czasu do czasu do miasta na dowód, że żyje.

Oczy żołnierza napełniły się łzami.

— Straganiarka opatrywała zawsze celem sprawdzenia tożsamości dziecka pierś jego, na której znajduje się znamię, kształtu maliny. Na szyjce dziecięcia wisi zawieszona na sznurku połowa miedzianej monety, której druga połowa jest w posiadaniu matki. Straganiarka płaci za dziecko z litości małe strawne, z własnej podobno kieszeni, matka bowiem zapomniała oddawna o dziecku. Bracie, zdaje mi się, że i pod ziemią nawet słyszeć będę skargi mego dziecka.

— Uspokój się, ręczę ci, że nie zaplacze już z nędzy.

— Nieprawdaż, że odszukasz mojego syna? Pieniądze, jakie znajdziesz w pugilaresie, ulokujesz w pewnem miejscu, a z odsetek opędzisz najpierwsze jego potrzeby, przynajmniej, aby nie umarł z głodu, nim się pracować nauczy.

— Wyszukam go i będę mu opiekunem.

— Między papierami znajduje się dokument, podpisany przezemnie, a upoważniający go do noszenia mojego nazwiska. Niechaj jednak nigdy się nie dowie, kim byłem. Powiedz mu, że ojciec jego był biednym żołnierzem. Każ nauczyć go jakiego uczciwego rzemiosła, Ryszardzie.

— Bądź spokojny, kolego Ottonie, przysięgam ci, że zajmę się dzieckiem, jak gdyby był synem mojego brata.

Odblysk radości przemknął po bladem obliczu umierającego.

— Jestem pewien, że dotrzymasz przyrzeczenia. Teraz czas mi już w drogę. Oh, jakże mnie pali w głowie!

I rozpoczął wydobywać ze swej piersi przeciągłe, konwulsyjne tony. Gorączka przedśmiertna ujęła go już w swe kleszcze i pozbawiała przytomności; w jej szale śpiewał piosenki hulaszcze, to znów arye z oper.

A gdy paroksyzm zwolniał na chwilę, odezwał się znów rozsądnie, jak przedtem:

— Nie wiedziałem dotychczas, że jest pewien stopień boleści, który zamiast podwajać cierpienia, ulgę przynosi.

Okropnem było dla Ryszarda patrzeć na walkę śmiertelną umierającego, który padł z jego ręki. Nie mógł jednakże uwolnić się od tego widoku, Palwicz bowiem trzymał silnie dłoń jego, a skoro Ryszard ruszył się celem wydobycia swej ręki z uścisków konającego, kurczyły się palce jego, i trzymały jakby w kleszczach żelaznych rękę Baradlaya. Umierający odezwał się z humorem szaleńca:

— Aha, radbyś ztąd umknąć! Widok ten napawa cię zgrozą. Nie, nic z tego, kolego. Zabiłeś mnie, patrz-że teraz na śmiertelne podrygi przeciwnika.

Naraz uspokoił się. Powieki ścisnęły się, oblicze drgać przestało. I odezwał sie głosem słabym, lecz spokojnym do Ryszarda:

— Kolego, pamiętaj, że tajemnica w twoje złożona ręce, jest tajemnicą kobiety. Daj mi słowo honoru, że kobiety tej nie zdradzisz... Nigdy... Nawet przed synem moim zataj imię matki. Zła to kobieta. Lecz do jej tajemnicy ma prawo jedynie grób, do którego zstępuję.

Ryszard z uroczystem wyrzekł wzruszeniem:

— Daję ci moje słowo honoru.

W tej chwili palce umierającego objęły jeszcze silniej rękę Ryszarda, a owo blade oblicze, owiane już całunem śmierci, z obwisłemi powiekami i nieruchomym wzrokiem wpatrzyło się w twarz majora węgierskiego, który spostrzegł ze zgrozą, że ściska rękę umarłego.

Lekarz przemocą musiał wydobyć dłoń Ryszarda z objęć kurczowych leżącego na śmiertelnym barłogu przeciwnika.

ROZDZIAŁ IX.

Światło słoneczne i światło księżyca.

Idylla pośród bojowego zgiełku.

Jakie to szczęście, że ziemia nie jest prostą, płaską szybą, jak ją przedstawił nam Herodot, jakże to dobrze, że jest kulistą! Jak to dobrze, że tu i owdzie znaleźć można jeszcze na ziemi zakątek, zkąd dzięki temu, że ziemia jest okrągłą, nie widzisz dymu palących się włości. Kulistość ta sprawia, że znajdują się jeszcze na ziemi ludzie szczęśliwi.

Gdyby ziemia była płaską, jak to uczył Herodot, mieszkańcy wyspy Körös, patrząc na południe, zobaczyliby Arad, Nowysad i Temeszwar w płomieniach, a patrząc na wschód, oko ich spotkałoby się z dymiącemi ruinami Abrudbanyi; patrząc na zachód, spotkałby się wzrok ich z ognistemi słupami stojące-

go w płomieniach Pesztu i Budy, na północy zaś widziałby tysiące ognisk obozowych. A na całej tej strasznej płaszczyźnie odbijałby się od końca do końca o uszy jedynie huk dział bombardujących Arad, Temeszwar, Petrowaradyn, Karloburg, Komorno, Budę i Titel.

Tymczasem mieszkańcy wyspy nic o tem wszystkiem nie wiedzą; widnokrąg zasłania wojną i pożogami dotkniętą panoramę.

Topole na wyspie Körös puszczają już liście, prześliczna pogoda majowa. Bujna zielona murawa, zasiana żółtem i błękitnem kwieciem.

Cała ta wyspa jest istnym zamkniętym rajem; rezydencyą letnią bogatej rodziny, zakładem zabezpieczającym życie drzew, gdzie pnia ich nigdy nie dotyka siekiera i gdzie jedynem i wyłącznem ich zadaniem stroić się w liście, rzucać cień i służyć za schronienie dla świegocącego ptactwa. To też krzak każdy zamieszkały tu przez skrzydlatych gości, dodających rozkosznemu temu ustroniu życia i uroku.

Wyspę okala gaj gęsty; olszyny, których ciemnoliściaste gałęzie kąpią się w modrem zwierciadle jeziora, tworzą rodzaj żywopłotu, ochraniającego mieszkańców wyspy przed natrętnym wzrokiem z zewnątrz.

W jednem tylko miejscu, a zwłaszcza, gdzie most prowadzi na wyspę, roztwiera się gęsta ściana z drzew i pozwala zapuścić oko w tajniki tego rajskiego ustronia.

Zaprawdę, rajski przed nami roztacza się obraz.

W przezroczystej perspektywie widnieje zameczek w stylu szkockim; na północnej stronie mur cały aż pod dach osłonięty wspinającym się bluszczem, podczas gdy wschodnia ściana zameczku, tuląc do siebie krzaki różane, wypuszczające właśnie miliony czerwonego kwiecia, zda się jakby zanurzona w żarze ognistym. Na zachodniej stronie zamku olbrzy-

mia wyrasta topola, a pod marmurową estradą odpoczywa paw królewski, pyszniąc się swym złocistym i aż na ziemię opadającym ogonem.

Przed zamkiem jest staw, w którego lazurowem zwierciedle odbija się cały ów obraz uroczy. Trzy białe łabędzie z rozpostartemi, niby żagle, skrzydłami, szybują spokojnie po gładkiej powierzchni, znacząc swój pochód srebrnemi kręgi.

Pośród bujnej murawy wije sie ku drzwiom zamku, prowadzącym do sklepionej werendy, srebrzystym piaskiem przysypana ścieżka. Jedną część werendy zasłania adamaszkowa opona, a pod jej cieniem stoi kołyska o białych firankach, w której śpi niemowlę.

Tuż obok siedzi w fotelu matka dziecięcia, a naprzeciw niej przed pulpitem młodzieniec zajęty malowaniem miniatury młodej kobiety, przybranej w biały, bogato koronkami garnirowany szlafroczek.

Po drugiej stronie werendy igra trzyletni chłopczyk z olbrzymim neufundlanczykiem, którego koniecznie chce zmienić w wierzchowca.

Owa kobieta, owe dzieci, to rodzina Oedöna Baradlaya, młodzieniec zaś to Jenö Baradlay.

Kobieta ta straciłaby doprawdy zmysły, gdyby nie miała około siebie najmłodszego z Baradlayów.

Wielkiem to dla niej szczęściem, że Jenö jej nie opuszcza. On to umie zawsze znaleźć słowa pociechy, rozpraszać obawy, odgadywać najskrytsze jej myśli i myślom tym smętnym, pełnym strasznego przeczucia, weselszy nadawać kierunek.

Jenö, niezadowolony z miniatury, twierdzi, że się nie udała. Brak jej czegoś. Każdy rys sam dla siebie najwierniej oddany, całość jednakże nie robi upragnionego wrażenia.

— Hej, mały, chodźno tu!

Malec przybiegł do stryja.

— Albertku, przypatrzno się dobrze temu obrazkowi i powiedz kto to?

Malec wpatrzył się wielkiemi błękitnemi oczyma w miniaturę.

— Jakaś piękna pani.

— Nie poznajesz na obrazku twojej mamy?

— Moja mama inaczej wygląda!

Matka starała się pocieszyć malarza.

— Wierzaj mi, że doskonale jestem trafiona.

— Nie zgadzam się z tobą, owszem źle jesteś trafioną, a winna temu jesteś sama. Siadając do portretowania, myślisz tylko o niebezpieczeństwach zagrażających Oedönowi, a tego wyrazu nie chciałbym odpiętnować na twojem obliczu. Radbym sprawić Oedönowi radość i dlatego wolałbym, aby twarzyczka twoja wyglądała wesoło, uśmiechnięta.

— Cóżem winna, że nie mogę być wesołą?

— Wiesz przecie, że mu się dotychczas nic złego nie stało i że dziś żadne mu już nie zagraża niebezpieczeństwo. Wszak nasi zwyciężyli?

— Mówisz tylko, aby mnie pocieszyć?

— Nie wierzysz mi?

— Któż ci o tem wszystkiem powiedział?

— Matka.

— A zkąd wie matka?

— Odebrała listy od Oedöna.

— Dlaczego Oedön nie pisze do mnie?

— Byłażbyś zazdrosną, Aranko, o naszą matkę?

— Jak możesz nawet przypuszczać coś podobnego? Dlaczego jednak nie chcesz mi pokazać listów pisanych do matki?

— Na cóżby ci się to wszystko przydało? Sądzisz może, że listy przekradające się przez okolice zajęte przez nieprzyjaciół, kreśli się zwyczajnem pismem? Listy te pisane są tajnemi znakami.

— Wierzę ci. Lecz jeśli tak jest, dlaczego nie pokażecie mi listu?

— I nie myśl, że pisze się to na papierze; jeśli chcemy porozumieć się z sobą, naszywamy podobnemi znaczkami chustkę od nosa. Niewtajemniczony, choćby ją wziął do ręki, nie domyśli się niczego.

Wtajemniczywszy bratową w misterye tajnego pisma, zyskał przynajmniej tyle, że nadał choćby na krótki czas inny kierunek jej myślom, trawiącym bezustannie zbolałą jej duszę.

Mówił, że o wiadomości z tamtej strony Cisy niesłychanie trudno; że Oedön, pełniąc obowiązki nadkomisarza wojennego, nie ma żadnych stosunków z prochem i działami nieprzyjacielskiemi, że wkrótce przybędzie, że matka odbiera jedynie dzienniki wychodzące w Debreczynie, a te zapełnione są wyłącznie sprawami parlamentarnemi i wiadomościami z Kalifornii, że mama wydalać się z Nemesdombu z tej prostej nie może przyczyny, że cały ciężar gospodarstwa spoczywa na jej barkach.

. . . . . .

Ah, jakżeż oszukują biedną kobietę!

Strach i niebezpieczeństwo otaczają jej małżonka; ojciec jej nie odwiedza, bo przebywa w obozie; od teściowej i męża dawno, bardzo dawno nie było już listu, cała historya z pismem tajemnem jest baśnią; ona sama, młoda kobieta, jest więźniem, a szwagier Jenő — dozorcą więzienia, czuwającym nad tem, aby nawet na chwilę nie wydalała się z wyspy i aby nikt się do niej nie zbliżał.

Mieliżby obawiać się o nią?

Niestety! kryją ją przed groźnym i nieubłaganym wrogiem, który straszne dokoła wyrządza spustoszenia—przed cholerą.

Wojna i cholera nawiedziły tego lata piękne Węgry.

. . . . . .

Nic dokoła.

Księżyc przekrada się przez okno do komnat

nemesdombskiego zamku. W tej chwili zagląda pełnem światłem do sali portretowej i magnetycznemi promieniami wywołuje z ram złoconych zachmurzone oblicze męża z kamiennem sercem.

Wzrok męża tego pada na kobietę, która przybrana w bieli stoi przed jego portretem i wydaje się być raczej marmurowym posągiem, co zstąpił z sarkofagów rodzinnych, niźli istotą ze świata żyjących.

Ciszę nocną przerywają od czasu do czasu to jęki żałosne, to głuche stękanie, to okrzyk boleści, to ciche łkanie, to znów jakieś na pół dzikie głosy, co wszystko zlane w jedną całość, mogłoby i pierś najodważniejszego przejąć niewymowną zgrozą.

Cały zamek Baradlayów jest dziś jednym wielkim szpitalem. Pani Baradlay otworzyła jego podwoje rannym współziomkom. Najpierw ofiarowała na ten cel komnaty parterowe, później gdy te się napełniły, kazała składać rannych i chorych w salach jednego ze skrzydeł pierwszego piętra, a jeszcze później otworzyła na ich przyjęcie sale paradne, a w końcu przyszło do tego, że cały oddała im zamek, zatrzymując dla siebie kilka zaledwie pokoików.

Nieszczęśliwi ci są owemi duchami zakłócającemi spokój nocnej ciszy. Pani Baradlay utrzymuje własnym kosztem dwóch lekarzy; biblioteka zamienioną została w aptekę, a zbrojownia w salę operacyjną. Sama razem z fraucymerem skubie szarpie i przyrządza kompresy. Oddając na usługi rannych wojowników rezydencyę Baradlayów, wiedziała dobrze co czyni. Najpierw postarała się, aby żonę Oedöna przenieść razem z dziećmi na wyspę Körös. Powierzając ją staraniu najmłodszego swojego syna, udzieliła mu potrzebnych instrukcyj. Aranka nie powinna ani się domyślać, co się w nemesdombskim dzieje zamku. Tu co drugi dzień pogrzeb. Po wszystkich komnatach leżą ranni. Lżej się robi nieszczę-

śliwym, gdy widzą, że pieczę nad nimi anielska rozpostarła kobieta, że kobieta ta czuwa, pociesza, koi bóle i ma staranie o ich potrzebach.

Serce kobiety, która waży się na coś podobnego, musi być z kamienia. Lecz z tego kamienia, co ma duszę z dyamentu.

Pani Baradlay dorosła najzupełniej strasznemu i wzniosłemu zarazem zadaniu.

Gdy zamek pełen był już rannych—wybuchnęła cholera.

Śmierć nie zadowolniła się plonem, zebranym na pobojowisku; ująwszy kosę w kościstą rękę, machała nią w lewo i w prawo.

Od roku 1831 drugi to wybuch cholery na ziemi węgierskiej. Wówczas okropne zrządziła spustoszenia, wyludniając wsie i miasta i pozbawiając kraj tysięcy rąk pracowitych. Wieść przeto o okropnym gościu przejęła strachem ludność całą. Lica najodważniejszych bladły kredową bladością na wspomnienie cholery.

Listy, pochodzące z okolic dotkniętych cholerą, dziurkowano i okadzano. Najwięcej jednakże było takich, co uznali za najstosowniejsze wcale nie korespondować.

Dlatego też i pani Baradlay nie pisała wcale do swoich dzieci, mieszkających na wyspie Körös, i nie odsyłała listów nadchodzących od Oedönа, cholera bowiem grasowała i w obozie.

Zegary zamkowe biją godziny nocne, księżyc w pełni zagląda przez wysokie gotyckie okna i ożywia widmo, ujęte w szerokie ramy; pani zamku zatrzymała się przed płótnem w złotych ramach. Portret to męża ze skamieniałem sercem.

Złożywszy ręce, jakby do modlitwy, szepce kobieta:

— Nie! Wzrok twój gniewny nie wystraszy

mnie ztąd... Dotrzymam ci miejsca... pozostanę... Słyszę twoje wyrzuty... Mówisz: „To twoje dzieło..." Nie zapieram się.. Z mego udziału w tem, co się stało, zdam rachunek. Te jęki, co nie dozwalają zasnąć ni mnie, ni tobie—jam je tu przywiodła. Muszę ich słuchać, bo one przemawiają do mnie. Gdyby nawet wargi ich milczały, rany otwarte niemniejby mówiły. Każda rana powiedziałaby: „Odwołuję się do Przedwiecznego! Nie lękam się stanąć przed Nim." Dlaczegoż ja nie mogłabym się do Niego odwołać? Tyś stanął już po tamtej grobu stronie; tobie wiadoma już przyszłość, dla ciebie serca i wieki są już otwartą księgą. Dlaczegóż zatem przychodzisz czynić mi wyrzuty? Wiesz doskonale, że tak, jak się stało, jest dobrze. Wiesz doskonale, że krew ta popłynąć musiała, że ten kielich goryczy spełnionym być musiał do dna. Wiesz, że kto chce zmartwychpowstać musi pierwej śmierć ponieść...

— Pytasz mnie, co zrobiłam z dziećmi? Wskazałam im drogi wręcz przeciwne wytkniętym przez ciebie. Powiedziałeś, że powrócisz i pytaniem tem będziesz dręczył duszę moją. Słyszę je. Wprost przeciwnie pokierowałam ich losem, niż ty chciałeś. Dwóch synów na polu walki, jeden z nich jest ranny, każda godzina grozi im śmiercią. Trzeci mój syn jest żywym nieboszczykiem, niczem, zerem. Jam ich tam powiodła, gdzie są. Ale nie żałuję, ani wstydzę się tego, com zrobiła, i spokojnie oczekuję, co los mnie i im przyniesie. Moja to ręka rzuciła ich kości. Być może, że czeka ich wszystkich zagłada.. ha, trudno. Lepiej dla dobrej sprawy zginąć, niż w złej odnieść zwycięztwo. Jam dała im życie, własną wykarmiłam ich piersią, mogą umrzeć zjednoczeni z moim duchem, ale nie wolno im było żyć życiem, przeciw któremu duch mój bunt podnosi.

Tu odetchnęła głęboko niewiasta w bieli, a przeszedłszy się po komnacie tam i napowrót, zbliżyła

się raz jeszcze ku portretowi. Łagodny uśmiech rozjaśnił tym razem rysy jej twarzy.

— O, gdybyś mógł obaczyć te urocze dzieciny. Strzegę ich też pilnie, jak świętości. Umieściłam je w bezpiecznem miejscu.

— Nie chciałeś, aby słońce opromieniało główki tej pary aniołów... Lecz wola moja złamała trudności... Widzisz, że ręka moja wydobywa z ciemnej urny losu nie samą tylko śmierć i cierpienia, ale też życie i błogosławieństwo.

Niewiasta w bieli utonęła cała w marzeniach i jak skamieniała stała u stóp portretu swojego małżonka. Z marzenia tego obudziło ją dopiero uderzenie zegara. Powolnym krokiem opuściła komnatę zmarłych.

ROZDZIAŁ X.

Ciemność.

Jesteśmy znów na jednym z owych poufnych wieczorów w domu Plankenhorstów, w którym zwykła brać udział siostra Remigia razem ze swą elewką.

Od czasu znanej nam ucieczki nie wypuszczano z murów klasztornych panny Edyty inaczej, jak w towarzystwie Remigii i drugiej siostry; krnąbrna i zuchwałego serca dziewczyna ścisłego potrzebuje nadzoru.

Nie mało nasłuchała się tu Edyta szczegółów z wojny węgierskiej; tu to z prawdziwą opowiadano sobie przyjemnością o ciągłych porażkach armii węgierskiej, o jej rozkładzie, o ostatnich podrygach zbrodniczego powstania i blizkiem otoczeniu armii buntowniczej w ten sposób, że jedna nie ujdzie noga. Ci, co nie zginą od ołowiu i stali na placu bo-

ju, dostaną się do niewoli i zasłużonej doczekają się kary.

Tak tedy miała Edyta do wyboru dwie alternatywy: albo zobaczyć kochanka żywego lub zabitego. Zabitego na placu boju, żywego na rusztowaniu.

Dzięki rozgałęzionym stosunkom, wiedziano już w salonie Plankenhorstów, że wczoraj z południa rozpoczęła się w lesie królewskim bitwa, której wynik rozstrzygnie stanowczo o losach dalszej kampanii.

Ostatnia depesza telegraficzna ks. Windischgrätza zawiadamiała, że o godzinie 7-ej wieczorem wyparto Węgrów ze wszystkich zajmowanych przez nich stanowisk i że rycerski ban Jelaczic gotuje się właśnie do zadania buntownikom ostatniego, a zarazem śmiertelnego ciosu.

Tak stały sprawy o godzinie siódmej wieczorem; wódz naczelny mógł spokojnie położyć się do łóżka, bitwa była wygraną.

Dopiero nazajutrz o godzinie siódmej zrana zbudził go ban rycerski raportując, że przybywa z resztkami pobitej armii. Nieprzyjaciel zajął pole bitwy.

I teraz rozpoczęto przesyłać telegram za telegramem do Wiednia.

Tu kto żył a kochał Austryaków, łudził się aż do wieczora zwycięztwem czarno-żółtych znaków.

Pani Plankenhorst siedziała razem z córką, obiedwiema zakonnicami i Edytą przy herbacie, rozprawiając żywo o wczorajszej bitwie, której szczegóły nie były obce wtajemniczonym we wszystko damom. Radość niewymowna była na twarzach matki, córki i sióstr klasztornych. Za to Edyta smutną dziś była, jak nigdy.

Kobiety przenoszą się myślą na plac boju i zapuszczają się w tajemnice strategii. Siostra Remigia zna się na niej niezgorzej.

Z pomocą grupek cukru i skórek chleba stara się uzmysłowić słuchaczkom stanowisko obu armij. Skórki chleba przedstawiają naturalnie pułki węgierskie, grupki cukru austryackie szeregi.

Wtem, gdy tyle budująca prelekcya zajęła całą uwagę wojowniczego audytoryum i gdy siostra Remigia zabierała się do zgniecenia buntowniczego wojska, zapukał ktoś do drzwi.

— Kto tam? proszę!

Wązkie drzwi tapetowe, przystępne jedynie dla najserdeczniejszych przyjaciół domu, otwarły się zwolna, a do salonu wszedł pan Ridegvary.

Twarz zacnego dygnitarza wyglądała jak pomięty pargamin, a usta jego drgały nerwowo.

Panie Plankenhorst podbiegły ku niemu; powitały go z hałasem, z żywemi wybuchami śmiechu i usadowiły go w fotelu; teraz dopiero dostrzegły przy jasnem świetle lampy zmianę na jego obliczu i zadrżały. Podobnym był do mumii.

— Jakież nowiny z placu bitwy?—zapytała pani Plankenhorst swego przyjaciela.

Ridegvary zaledwie mógł mówić.

— Złe, najgorsze, przegraliśmy wczorajszą batalię.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

— Niepodobna — odezwała się po chwili pani Plankenhorst.

— Podobna, bo tak jest!—odparł Ridegvary.

Alfonsyna pragnęła pokazać, że posiada więcej od wszystkich obecnych, rażonych, jakby gromem, wiadomością o przegranej, hartu duszy i udawała, że nie wiele ją to wszystko obchodzi. Nie był to hart duszy, lecz lekkomyślność!

— Ach, dobry mój panie, trwożysz nas może niepotrzebnie! Kto tam wie, ile w tem wszystkiem prawdy; was tak łatwo schwytać na wędkę fałszywych pogłosek; poczekajmy do jutra, jutro dowiemy się niezawodnie coś pewniejszego, a wtedy dość będzie czasu na smutek i żałobę.

Ridegvary przeszył wzrokiem zabójczym Alfonsynę, na której różowych usteczkach igrał uśmiech swawolny.

— Chciej mi wierzyć, pani — odezwał się tonem stanowczym — że to, co mówię, jest prawdą. Kuryer, wysłany z głównej kwatery, przywiózł stanowcze wiadomości. Armia nasza ciężkie poniosła straty; rannych i zabitych nie doliczono się jeszcze. Między poległymi jest także Otton Palwicz...

Uśmiech figlarny znikł odrazu z ustek dziewczyny.

— Otton Palwicz? — wybełkotała siostra Remigia.

Nikt inny zresztą nie wymienił tego nazwiska.

— Tak, kuryer przybyły z raportem był naocznym świadkiem spotkania się Palwicza z Ryszardem Baradlayem. Obaj równocześnie uderzyli na siebie i równocześnie powalili się z koni.

Dwie twarze, blade z przerażenia, zwróciły się odrazu ku Ridegvaryemu: twarze Edyty i Alfonsyny.

Ridegvary cedził z okrutną powolnością:

— Baradlay żyje. Otton Palwicz poległ.

Edyta padła na fotel z uśmiechem rozkosznej lubości, złożyła ręce jakby do modlitwy i cała utonęła w marzeniach. Alfonsyna zaś, posłyszawszy nieszczęsne słowa: „Otton Palwicz poległ," zerwała się z krzesła i wzrok swój dziki, obłąkany wlepiła w mówiącego. Twarz jej drgała konwulsyjnie, a piękne jej rysy zeszpecił wyraz rozpaczy i szatańskiej złości.

I matka była jakby gromem rażona, lecz nie szło jej tyle o Palwicza, jak o to, aby córka nie zdradziła się z tak troskliwie ukrywanej tajemnicy.

Alfonsyna nie zważała jednakże w tej chwili na matkę, zakonnicę, Ridegvaryego, na świat cały; w nadmiarze boleści, szarpiącej jej zimną duszę, zawołała z piekielną rozpaczą:

— Przeklęty niechaj będzie, kto go zabił. Przeklętym niech będzie morderca Ottona Palwicza, a rzucając się na kanapę, wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem.

Pani Plankenhorst uważała za stosowne zemdleć. Jak tu nie zemdleć, lub nie dostać spazmów, widząc, że dobrze wychowana córka tak się zapomina.

Alfonsyna, zapominając o całym świecie, zdawała się upadać pod ciężarem tak okropnej dla niej wieści. Sztuka w tej chwili ustąpiła miejsca prawdzie i Alfonsyna ukazała się zebranemu w salonie towarzystwu bez maski taką, jaką była wistocie.

Był to wybuch wulkanu, grożącego niebu błyskawicami.

— Klnę Bogu, ziemi i ludziom!

Członki jej drżały, jak ciało zranionej tygrysicy.

I z bluźnierstwem na zsiniałych ustach porwała za nóż i rzuciła się nim uzbrojona ku drzwiom, wołając głosem obłąkanej:

— Dziś muszę kogoś zabić, dziś zamorduję kogoś, jak jego zamordowano.

Filigranowy jednak nożyk od owoców nie posiadał bynajmniej kwalifikacyi na mordercze narzędzie; spostrzegła to widocznie Alfonsyna, bo odrzuciła jednym ruchem nóż od siebie i, zgrzytając perłowemi ząbkami, nazwała go „nędznym kawałkiem żelaza.“

A potem osłupiałym dokoła rzucała wzrokiem, wsparła się rękoma o ścianę, a odwracając oblicze od ludzi, zawołała z płaczem: „O mój drogi Ottonie!“—Nadmiar boleści powalił ją z nóg, upadła na posadzkę i, zakrywszy oczy obu dłońmi, utonęła w niemej rozpaczy.

Nikt jej nie pospieszył na pomoc. Zakonnice trzeźwiły panią Plankenhorst, uporczywie trwającą w swem omdleniu. W kącie siedziała Edyta w kapeluszu na głowie, serdecznie pragnąc się wymknąć.

Jeden tylko Ridegvary pozostał niewzruszonym i z rękami w kieszeniach patrzył na wszystko obojętnym wzrokiem. Po chwili Alfonsyna podniosła się sama. Oczy jej były czerwone, snać płakała łzami niekłamanemi, kto wie, czy nie pierwszemi i ostatniemi zarazem w swem życiu.

— Zanieście chorą do łóżka! — odezwała się głosem nieczułym i obojętnym, a zwracając się do Ridegwaryego, przemówiła:

— W całym świecie niema nikogo, coby umiał tak nienawidzieć, jak ja i pan. Widziałeś mnie pan i wiesz wszystko.

Ridegvary się ukłonił.

— Jestże na świecie zadośćuczynienie?

— Bezwątpienia.

— Znajdziesz pan tam drogę?

— Choćby mi nawet przyszło uciec się do pomocy piekła.

— Pan mnie rozumiesz?

— Rozumiemy się nawzajem.

— Słuchaj mnie. Gdybyś kiedy potrzebował serca, od którego chciałbyś zapożyczyć jadu, jadu straszniejszego nad ten, jaki w głębinach pańskiego ukrywa się serca, pamiętaj o mnie!

— Nie umrzemy bez uiszczenia się z długu, droga pani. Bądź spokojną! Głowa za głowę! Choćby świat cały miał się w gruzy rozsypać, hasłem naszem będzie zemsta. O zapłaczą Węgry, a płacz ten i łaźnię popamiętają trzy pokolenia; przez całe lat dziesięć suknia żałobna będzie tam suknią mody! Nienawidzę mojej ojczyzny!... A wiesz pani, co to jest, gdy człowiek taki jak Ridegvary powie: „nienawidzę mojej ojczyzny"?... Nienawidzi on każdą trawkę, każde niemowlę zawieszone u matczynej piersi. Znasz mnie pani teraz tak, jak ja ciebie znam. Znajdziemy się tam, gdzie jedno drugiego będzie potrzebowało.

Mówiąc to, wziął kapelusz do ręki i oddalił się bez pożegnania.

Obie zakonnice powróciły z sypialni pani Plankenhorst. Ułożyły zemdloną do łóżka i powierzyły ją opiece służącej. Siostra Remigia starała się pocieszać Alfonsynę.

— Ucieknij się pani do łaski niebios, a Bóg cię niezawodnie pocieszy—przemówiła, przewracając pobożnie oczyma.

Alfonsyna odparła na to, rzucając na Remigię wzrok dziki, demoniczny.

— Nie rozmawiam od dziś z Bogiem! Zrywam z modlitwami; co mi po niebie?

Cnotliwa zakonnica załamała nabożnie ręce i chciała ją przywieść do upamiętania.

— Na Boga i wszystkich świętych, baronówno, nie zapominaj, żeś chrześcianką!

— Nie jestem nią!

— Pomyśl, żeś kobietą!

— Nie jestem nią więcej! Jestem od dziś dnia tem, czem pani jesteś—zakonnicą. Jeśli są na ziemi istoty, które dlatego, aby mogły klepać pacierze i tracić czas na modlitwach, przestały być kobietami, niechże będą i takie, których całem zajęciem bluźnić i przeklinać—jeśli nie źle czynić.

Siostra Remigia pochwyciła struchlała za płaszcz, aby uciekać z domu, w którym usta tak cnotliwej dotychczas baronówny kalają się bluźnierstwami, jakich słuchać nawet nie wolno bez narażenia się na współwinę, a zarazem doczesne i wieczne kary.

Zakonnica skinęła na Edytę, aby się za nią udała. Alfonsyna jednakże zastąpiła drogę dziewczęciu, a chwytając jej rękę, odezwała się:

— Nie powrócisz już do klasztoru; pozostaniesz tutaj!

Remigia nie śmiała protestować. Kto wie, czy nie była rada, iż się udało tak jej, jak i drugiej sio-

strze wymknąć obronną ręką z mieszkania nasyconego bluźnierczem powietrzem.

Edyta drżącą ręką zdjęła kapelusz z głowy i odłożyła szal. Pozostała sam na sam z piękną furyą.

— Wieszże, po co cię tu zatrzymałam? — zagadnęła Edytę Alfonsyna.

— Nie wiem.

— Patrz mi w oczy, co tam widzisz?

— Ciemność—odparła Edyta.

Zgadła, czeluście piekła mogą chyba iść w zawody z ponuremi ciemnościami pięknych czarnych oczu Alfonsyny.

— Ciemność ta jednakże żyje, porusza się i napełnioną jest różnemi postaciami. I ciebie tam nie brak. Ten, którego ty kochasz, zamordował tego, którego ja kocham. Ja teraz zamorduję twego.

Słowom tym towarzyszyło tak groźne podniesienie ręki, jak gdyby ręka ta była zatrutym sztyletem.

— Zamorduję go! Nie ucieknie przedemną, choćby świat cały był między nim a mną. Całemi nocami, dniami całemi, myśli moje ku jednemu tylko skieruję celowi, jakby pomścić na nim krew mojego kochanka. Da Bóg, doświadczysz ty kiedyś sama na sobie, jak strasznie biedną jest kobieta, która traci to, co się jej zdawało być najdroższem. Jeden był na całym świecie człowiek, którego kochałam całą siłą mojego serca, namiętnie, jedyny człowiek, co mógł mnie na zawsze uszczęśliwić. I tego zabił Baradlay. Był drugi na świecie człowiek, który choćby nie potrafił uszczęśliwić, byłby mnie pojął za żonę i dał swoje nazwisko. I tego uprowadziła w dniu moich zaślubin, oddając mnie na pośmiewisko świata, Baradlayowa. Baradlaye skrytobójczą zadali mi ranę, pogrzebali mnie żywcem, napiętnowali po śmierci i powołali do życia, lecz życia, jakie jest udziałem potępieńców. Będę więc szatanem. Wyplenię ich, całą ich rodzinę wyplenię, a najnieszczęśliw-

szym z nich będzie ten, którego pozostawię, by żył i własnemi patrzył się oczyma na skon drogich mu istot. Nie myśl, żem nie przy zdrowych zmysłach. W mojem ręku spoczywają ich głowy. Tyś mnie obdarowala głową mojego ukochanego, ja ci przyniosę w darze głowę twojego. O, osnułam już plan cały, plan niezawodny, a tak prawidłowy, jak skrystalizowana ciemność. Wymorduję ich i pogrążę w nieszczęściu. Wiesz, dlaczego kazałam ci tu pozostać. Oto, aby módz ci noc w noc, gdy kłaść się będziesz do łóżka i każdego rana szeptać do ucha: zamorduję twego kochanka. Nie zaznam spokoju, póki cię nie zobaczę w żałobie, przy trumnie narzeczonego i wtedy urągać będę twej boleści, jak ty urągasz mojej w tej chwili swą obojętnością. O, drogi Ottonie!

Alfonsyna rzuciła się na kanapę i oddychała z głębi piersi. Oddech jej podobnym był do dyszenia tygrysicy, gdy z krwiożerczą lubieżnością pastwi się nad swoją ofiarą.

Edyta, drżąc cała, wysłuchała wybuchów wściekłości tej Medei, a gdy spostrzegła, że Alfonsyna popadła w letarg chwilowy, spowodowany ogromnem wytężeniem sił fizycznych i moralnych, wysunęła się cichaczem z salonu i udała się do dawnej swej izdebki, gdzie wszystko znalazła po dawnemu.

A kiedy spoczywała na skromnem swem łóżeczku, zdawało się jej, że otaczająca ją ciemność zaludniona rzeczywiście postaciami, które żyją, ruszają się i w fantastyczne układają grupy; i widziała, jak z jednej grupy wysuwa się postać, której oblicze straszniejsze niż noc, potworniejsze niż piekło, nachyla się ku niej i szepcze do ucha:

— Zabiję ich, wymorduję!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

БІБЛІОТЕКИ
АН—УРСР

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
097612

Biblioteka WSP Kielce
0163002